

**David Morrell**

# **RAMBO 3**

**Przełożył Maciej Pertyński**

Od autora

W mojej książce Pierwsza krew Rambo umiera. W filmie żyje nadal.

Z podziękowaniami dla Andy'ego Vajny, Mario Kassara i ich zespołu w wytwórni Carolco (tu specjalny ukłon w stronę Jeanne Joe, Xochitl Contis, Stephanie PondSmith, Toma Graya, Rolanda Neveu i Yonny'ego Lucasa, bez których przygotowania do napisania tej książki trwałyby wieki).

Nóż używany przez Rambo w tej książce został stworzony przez Gila Hibbeña, P.O. Box 24213, Louisville, Kentucky 40224. Trzysta pięćdziesiąt sztuk takich noży, opatrzonych jego podpisem i numerem seryjnym rozprowadzono wśród kolekcjonerów. W sprzedaży osiągalna jest bliżej nieokreślona liczba lekko różniących się egzemplarzy.

Łuk i strzały z tej książki, zmodyfikowane wersje opisywanych w książce Rambo. Pierwsza krew II są dziełem Pracowni Łucznictwa Hoyt Easton, 605 North Challenger Road, Salt Lake City, Utah 84116. Składam tu podziękowania Joe Johnstonowi za uświadomienie mnie, jak bardzo wymyślne to twory.

Walka duchowa jest równie brutalna, jak walka ludzi. Ale wizja sprawiedliwości jest czystą przyjemnością dla Boga.

Arthur Rimbaud

## CZĘŚĆ PIERWSZA

## Rozdział 1

Życie to cierpienie, Pograżając się w medytacji nad tą pierwszą z Czterech Prawd Buddy, Rambo zacisnął dłoń na gładkiej bambusowej powierzchni wspaniałego kilkusetletniego łuku. Opuścił go nisko przy lewym boku, zamknął oczy i głęboko oddychając, usiłował zapanować nad zamętem w duszy. Przez jego muskularny tors przebiegały fale napięcia, potężna klatka piersiowa i szerokie mięśnie grzbietu naprężyły się i rozluźniały. Po chwili szpiczaste dachy buddyjskiego klasztoru w Bangkoku, w Tajlandii, zniknęły z jego myśli tak, jak zniknęły mu z oczu, kiedy je zamknął. Przestały dla niego istnieć zdobne złoceniami iglice świątyni i poblask zachodzącego słońca, odbijający się od terakoty i marmuru.

Ale inne zmysły wciąż reagowały. Rambo słyszał pobrzękiwanie poruszanych wiatrem dzwonek modlitewnych, a nozdrza drażnił mu aromat kadzideł. Łuk wciąż przypominał o swym istnieniu niezwykłą twardością uchwytu. Rozdrażniony, że nie jest w stanie odciąć się od wszystkich rozprasających go bodźców, Rambo otworzył oczy i skupił się tylko na celu.

Był to oddalony o trzydzieści metrów piętnastocentymetrowy kwadratowy kawałek drewna, przymocowany do grubej, ciasno splecionej wiązki słomy, opartej o gładki kamienny mur po drugiej stronie dziedzińca klasztorowego. Rambo wpatrywał się w drewno, aż wreszcie wydało mu się, że cel rośnie i pod pływa do niego, zasłaniając całe pole widzenia. Nie słyszał już dzwonek, nie czuł kadzideł ani twardości łuku. Znikły dachy i iglice klasztoru, nie istniało już zachodzące słońce, nie było mnichów, rozpoczynających wieczorne modlitwy. Był tylko cel. I jego targana niepokojami dusza.

Cale życie jest cierpieniem, nauczał Budda.

Rambo nauczył się tego dobrze. Krzyżujące się, długie, głębokie blizny na jego plecach i piersi, poszarpane brzegi szramy na jego prawym bicepsie, nierówne rozcięcie lewej kości policzkowej, te i inne ślady po ostrzach bagnatów i noży, pocisków karabinowych i odłamkach szrapnela, torturach zadawanych drutem kolczastym i ogniem, wszystkie one były potwierdzeniem prawdziwości nauk Buddy:

Życie to ból.

Wpatrując się w cel, Rambo na nowo przeżywał Wietnam... upał, robactwo, pełną pijawek dżunglę... niezliczone strzelaniny... nie kończący się chaos wrzasków i wybuchów, ryku śmigłowców i wizgu pocisków smugowych; gwizdu moździerzy i suchych eksplozji min, tryskającej krwi i rozrywanych ciał.

Ponownie czuł cierpienie swego uwięzienia i sześciomiesięcznych tortur, morderczą ucieczkę. Ale jedną wojnę zastąpiła druga.

W Ameryce.

Ten gliniarz! Dlaczego on mi nie dał spokoju? Chciałem tylko tego, co osiągnąłem, wolności wyboru dokąd iść i co robić, nie wchodząc nikomu w drogę. Dlaczego musiał być taki wredny?

Ale przecież ty byłeś jeszcze wredniejszy!

Nie miałem wyboru!

Na początku miałeś! Mogłeś przecież zrobić to, czego chciałem. Mogłeś się wynieść.

Ale czy właśnie po to walczyłem w Wietnamie? Żeby mnie przepędzali, kiedy wreszcie wróciłem do domu? Przecież mam jakieś prawa!

Jak cholera! I na pewno nauczyłeś tego gliniarza, że je masz. Ale rzecz polega na czym innym. Kiedy już rozpieprzyłeś jego miasto na strzepy i kiedy cię wreszcie zamknęli w więzieniu, jakie tam miałeś prawa? Prawo do walenia młotem w kamieniołomie? Prawo do czucia, jak ściany twojej celi spadają ci na głowę? Gdyby pułkownik nie dotrzymał słowa i cię nie wyciągnął...

Pułkownik. Tak. Rambo uśmiechnął się. Pułkownik. Trautman, który go szkolił, który był jego dowódcą w Wietnamie, który był dla niego jak ojciec.

Jedyny człowiek, któremu Rambo ufał.

Dzięki interwencji Trautmana u władz, Rambo odkupił swą wolność za cenę zgody na powrót do piekła, na powtórny wyjazd do Wietnamu i obozu jenieckiego, gdzie kiedyś był więziony i torturowany. Wciąż trzymano tam amerykańskich żołnierzy, których Rambo miał uratować. Zrobił to. Wiele lat po zakończeniu wojny wreszcie ją wygrał. Zrobił to, a przy okazji zdołał pokonać jeszcze jednego wroga - ucieleśniony w jednym człowieku, odrażający i pełen hipokryzji system, który wysyłał na tę wojnę amerykańskich żołnierzy, ale nie zwracał sobie głowy zapewnieniem im środków do jej wygrania.

O tak, wypełnił misję.

Ale jakim kosztem! Nie tylko dla swego ciała. Prawdziwe rany odniosła jego dusza, bo za każdym razem, kiedy kogoś zabijał, kiedy widział czyjąś śmierć, część jego duszy także umierała. Bóg jeden wie, ile razy umarł.

Szczególnie jedna śmierć niemal go zabiła. Jej imię samo wspomnienie było torturą - brzmiało Co. Wietnamska dziewczyna, dwadzieścia kilka lat. Niebywałe delikatna. Prześliczna. Była jego łącznikiem, kiedy zrzucano go na spadochronie w Wietnamie. Pomogła mu uratować więźniów. Jemu też uratowała życie.

A po drodze nauczyła go czegoś, co uważał za niemożliwe. Kochać.

Ale nie było czasu na miłość. Bo Co zginęła.

A Rambo przeżył. Przeżył, bo furia i wściekłość po jej śmierci dała mu siły. Choć nieżywa, Co znów uratowała mu życie.

Rozpacz i ból szarpały jego duszą. Jego potężna pierś unosiła się w szybkim oddechu, kiedy tak stał na dziedzińcu klasztoru, ścisnął łuk i wpatrywał się w oddalony o trzydzieści metrów cel. Medytacja odniosła skutek. Cel był wszystkim.

Z jednym wyjątkiem. Rzemyk wokół jego szyi. A na nim miniaturowy Budda.

Ten wisiołek należał do Co. Zdjął go z jej zwłok. A teraz rzemyk parzył jego szyję jak rozżarzony węgielek.

## Rozdział 2

Cierpienie wywołane jest żądzą posiadania rzeczy nietrwałych. To Druga Prawda Buddy.

Rambo przyłożył długą na metr strzałę do blisko dwumetrowego łuku. Postępując ściśle według wielowiekowego rytuału, jakiemu podlegało napinanie łuku przez strzelca zen, wyprostował przed sobą obie ręce. Lewa dłoń trzymała łuk, a prawa strzałę. Z jednakową siłą zaczął rozciągać ramiona, zginając łuk, napinając cięciwę i ciągnąc strzałę. Nawet gdyby zastosował normalny sposób napinania łuku, ten, którego nauczył go czarownik, kiedy Rambo jeszcze jako mały chłopiec mieszkał w rezerwacie Navajów w Arizonie, to i tak byłoby to niezwykle trudne zadanie, ponieważ wymagało zastosowania siły wynoszącej czterdzieści pięć kilogramów. Do czegoś takiego był zdolny tylko ktoś o fizycznych możliwościach Rambo.

Ale napinanie łuku w niekonwencjonalny sposób tylko utrudniało całe zadanie. Mięśnie ramion Johna zaczęły drżeć. Czoło pokryło się potem.

Wszystko, co żyje, umiera, pomyślał. Wszystko, co fizyczne, rozpada się w pył.

Wojna potwierdzała mądrość Buddy. W tym świecie przemocy poszukiwanie szczęścia w innej osobie lub rzeczy oznaczało skazywanie się na gorycz rozczarowania. Bo rzeczy wybuchały, a ludzie ginęli od strzałów karabinowych.

Tak, jak zginęła Co.

Wyteżył siły do maksimum, napinając wyciągnięte przed siebie ramiona i ciągnąc łuk w lewo, a strzałę w prawo. W normalnych okolicznościach nie dałby rady; ale skupienie i medytacja splotły ducha z ciałem i podwoiły jego moc.

A może była to czysta siła duchowa? Jeśli Budda miał rację, nic, co fizyczne, nie było realne, również łuk. Prawdziwy był tylko duch, zginający wyimaginowany łuk.

Drżąc z wysiłku, rozciągnął ramiona na całą długość strzały. Zgięty łuki napięta cięciwa tworzyły teraz niemal koło. Koło, pełnię istnienia, wszechpełność Boga, zupełność Tego, Który Jest Wszystkim.

Zastygł w tej zabójczej dla ciała pozycji. Pot już nie kapał mu na czoło, lał się strumieniami na opinającą naprężone mięśnie skórę.

### Rozdział 3

Cierpienie się kończy, kiedy to, co nietrwale, zostaje odrzucone. Trzecia Prawda Buddy.

Żaden przedmiot i żadna osoba nie jest w stanie dać szczęścia. W świecie przemocy i bólu, zniszczenia i śmierci, warto dążyć tylko do celów wiecznych.

Miłość do Co napełniała go przygnębieniem, bo gdyby Co nie umarła rok temu, i tak umarłaby za jakiś czas. A każde uczucie ma swój odpowiednik w przeciwnym i równorzędnym uczuciu w przyszłości.

Ale przecież... jeśli Budda miał racje... Rambo niemal się zdekoncentrował... jeśli Budda miał rację, przyszłość nie istnieje. Jest tylko teraz.

Czy to oznacza, że miłość do kogoś, nawet trwająca tylko sekundę, powinna być chwyтана i hołubiona, bo ten moment jest wieczny?

Miał ochotę krzyknąć. Pod wpływem strasznego wysiłku, z jakim odciągał od siebie łuk i cięciwę, wygięty koniec łuku wpierał się z coraz większą siłą w jego pierś, drżąc od strasznego napięcia. Strzała skierowana była w lewą stronę, tak jak lewy bark łucznika, wskazujący cel. Wystarczyło teraz tylko zwrócić w lewo również głowę. Wzrok Rambo podążył wzdłuż strzały i skupił się na celu.



## Rozdział 4

Poszukuj tego, co wieczne. Tego, co trwa zawsze. Boga. Czwarta Prawda Buddy.

Ale Rambo musiał już, natychmiast, pokonać targające nim niepokoje.

Czegóż chcesz?

Spokoju!

Zwolnił cięciwę łuku. Strzała wyleciała w powietrze z przerażającą siłą. Cięciwa jęknęła, wibrując i oddając energię, dostrajając się do pulsu wszechświata.

Rambo właściwie nie celował. Raczej prowadził strzałę siłą woli. Jego dusza, cięciwa i strzała zlały się w mistyczną jedność z celem.

Strzała nie tylko trafiła w cel, ale go rozniosła. Ostry trzask rozszczepianego drewna przytłaczał swą siłą. Rozpryskujące się kawałki celu z hałaśliwym klekotem posypały się na kamienne płyty dziedzińca. Echo zrykoszetowało o ściany i mury, aby w końcu uderzyć w bębunki uszne strzelca. Rambo poczuł, jak odgłos wwierca się w jego umysł. Czas się wydłużył.

Rozciągnął.

Pogłębił.

Zatrzymał.

Terazniejszość stała się wiecznością. Teraz było zawsze.

## Rozdział 5

Z kolejnym uderzeniem serca czas znów ruszył, Rambo opuścił łuk i powoli odetchnął. Potrząsnął głową, rozprostował barki i stopniowo wrócił do rzeczywistości. Terakota i marmury klasztoru. Dzwonki modlitewne i zapach kadzideł. Po przeciwnej stronie dziedzińca ogromna złota statua BuddjMśniła, odbijając promienie zachodzącego słońca. Wielki Nauczyciel siedział ze skrzyżowanymi nogami, opierając dłonie na kolanach, uchwycony w pozie wiecznego nauczania.

Rambo powoli zbliżył się do niego, czując się niczym w porównaniu ze wspaniałością statuy. Stał przed Buddą i pochylił głowę. Choć był pół-Włochem (wychowywanym w duchu katolickim) i pół-Navajo (którego namawiano do poddania się nakazom religii szczepu), studiował religię buddyjską u przewodnika z Montagnard, który uratował mu życie i pielęgnował go po tym, jak Oddział A, macierzysta jednostka Rambo, został rozbity w zasadzce w Północnym Wietnamie.

Ból nie jest realny. Nie istnieje. Poza duchem wszystko jest iluzją.

W tym piekielnym świecie była to atrakcyjna teoria. Ale mimo niej piekło wciąż istniało.

Czego ja chcę, na Boga? - powtarzał Rambo w myślach. Ale odpowiedzi już nie wykrzyczał. Wyszeptał ją do siebie.

Spokoju.

Odwrócił się od olbrzymiego posągu złotego Buddy i znieruchomiał pod przeszywającym wzrokiem wpatrującego się weń z drugiej strony dziedzińca mnicha. To właśnie ten tajski mnich wziął na siebie odpowiedzialność za Johna, kiedy Rambo błąkał się po Bangkoku po powrocie ze swego drugiego koszmaru w Wietnamie, by w końcu zapukać do wrót klasztoru i poprosić o pozwolenie na pobyt w nim.

Wówczas mnich odparł:

- Mój synu, wybac mi, nie jesteś jednym z nas. Nie potrafisz pojąć naszych myśli. Jaka według ciebie jest twoja religia?

- Zen.

- Na czym ją opierasz?

- Budda... zanim został mędrce... był wojownikiem. Ja również jestem wojownikiem.

- Tak?

- I z całego serca pragnę wybrać mądrość, nie wojnę.

## Rozdział 6

### Brzdęki

Potężny młot spadł na kawałek rozgrzanego do czerwoności metalu. Siła uderzenia miażdżyła uszy. Mimo że dźwięk był wysoki, grzmiał. Pełne dymu pomieszczenie odpowiedziało huczącym pogłosem.

Rambo mocniej zacisnął prawą dłoń na młocie i uderzył jeszcze silniej, napinając mięśnie lewej ręki na kleszczach, którymi trzymał rozjarzony kawałek metalu na starym kowadle.

Brzdęk!

Siła uderzenia wprawiała w drzenie całe jego ciało. Znowu opuścił młot.

I znowu. Pod coraz potężniejszymi ciosami młota dygotało kowadło. Kawałek metalu w kleszczach zaczął ustępować pod upartymi uderzeniami.

Rozpłaszczył się, powiększył, zaczął przybierać kształt płytki.

Metalem był brąz. Dużo wcześniej, w innej części tej kuźni, jeszcze chyba starszej niż masywne kowadło, miedź i cyna zostały stopione ze sobą w stosunku siedem do jednego.

Dodano do nich niewielką ilość cynku i magnezu, po czym płynnym stopem napełniono formy, gdzie wystygł i stwardniał w blokach. Teraz jeden z nich roztopiono i poddano nieustępliwym atakom młota, trzymanego przez Rambo.

Brąz.

Legendarny stop starożytności. Mocny i sprężysty. Twardy i niełamliwy. Materiał na miecze i tarcze, które przetrwały walczących nimi wojowników.

Wieczny.

Tak, jak wieczna jest wojna.

Ale i piękno jest wieczne. Artefakty starożytności, brązowe medaliony i bransolety przodków również przetrwały wieki, były równie trwałe, jak atrybuty wojny.

I przekują swoje miecze na lemiesz, a swoje włócznie na sierpy.

Żaden naród nie podniesie miecza przeciwko drugiemu narodowi i nie będą się już uczyć sztuki wojennej.

Biblijny Izajasz był marzycielem. To, czego narody nauczyły się najlepiej, to wszczynanie i prowadzenie wojen.

Ale nie ja! Rambo z furią uderzył młotem w rozgrzany do czerwoności kawał brązu. Już nie!

## Rozdział 7

Nauczył się kowalstwa od tego samego czarownika z plemienia jego matki, który szkolił go w łucznictwie.

- Poszukuj dyscypliny i siły - powiedział mu starzec. Zmień myśl w czyn. Naucz się szanować umiejętności rzemieślnika. Naucz się rozumieć, że dobrze wykonane zadanie wydaje się łatwe, ale w istocie jest potwornie trudne. Wygląd jest zwodniczy. Oto lekcja kowalstwa. Przedmioty wokół ciebie, które wyglądają tak trwale, są zmienne. Podkowa może być medalionem, a miecz lemieszem. Tylko duch, zamknięty w metalu, pozostaje stały.

Duch. Prawda Indian Navajo. A także prawda buddystów.

Przez lata, jakie minęły od opuszczenia rezerwatu, zapomniał już, jaką satysfakcję odczuwał, kiedy ciężko pracował pod okiem mędrca w wioskowej kuźni - przyjemność twórczego wysiłku, związane z nim poczucie godności. Ale przed tygodniem, kiedy nawet kojąca atmosfera buddyjskiego klasztoru nie wystarczała, by uciec przed demonami, nagle przypomniał sobie dzieciństwo i tak bardzo podobnego do mnicha mądrego starca, który był jego pierwszym nauczycielem.

Odwroćcie się od świata nie jest odpowiedzią. Świat nie jest realny. Bez wątplenia to tylko iluzja, jaką Bóg zgotował mu, żeby miał przeciwność do pokonania.

Musiał działać, tworzyć, pracować. Jego mięśnie aż do bólu domagały się ruchu. Ale nie dla prowadzenia wojny. Dla tworzenia piękna.

Włóczęc się po wąskich, zatłoczonych uliczkach Bangkoku, Rambo odkrył tę kuźnię brązu tuż nad rzeką. Wiedziony wewnętrznym przymusem, a nie świadomym wyborem, wszedł do wypełnionego gryzącym dymem, dusznego, ciasnego wnętrza. Jako biały spotkał się z wrogim przyjęciem. Ale właściciel kuźni, raz po raz obrzucając wzrokiem potężną muskulaturę Rambo, dał się skusić, kiedy się dowiedział, że będzie mógł płacić temu Okrągłookiemu mniej niż swym zwykłym pracownikom. Zgodził się, żeby Rambo udowodnił swoją użyteczność. W ciągu dwóch dni zrozumiał, że ubił wyjątkowy interes.

Iskry leciały na boki. W nieznośnym skwarze nagi tors kowala spływał kaskadami potu. Kiedy Rambo znów napiął mięśnie, krople trysnęły na kuty kawał brązu. Metal zasyczał.

Chciał cierpieć na tyle, by zapamiętać.

O śmierci Co;

O wojnie.

O tym, co robił najlepiej i czego najbardziej nienawidził.

Ale zapomnieć nie potrafił. Grzmiące odgłosy uderzeń młota o kowadło przypominały wybuchy i wystrzały. Słyszając je, miał przed oczami inny młot, uderzający w inny metal... w uszach

dźwięczały mu odgłosy walenia młotem w klin, wbity w skałę w więziennym kamieniołomie, gdzie odbywał karę za obronę swych praw przed tym skurwysyńskim gliniarzem, któremu nie podobał się jego wygląd.

Uderzył wściekle.

Brzdęk!

Chciałem tylko spokoju.

Brzdęk!

Ale medytacja mi nie wystarczyła.

Brzdęk! .

Umiejętności, jakich go nauczył jego pierwszy mentor, też nie wystarczyły. Co muszę uczynić?

## Rozdział 8

Ryk tłumu wstrząsał falistą blachą ścian magazynu. Hałas wydostawał się z budynku drzwiami i oknami, odbijając się echem od chat stojących nad kanałem i ginąc wśród neonów oświetlających wejścia do pobliskich barów i burdeli.

Rambo zatrzymał się w drodze powrotnej z kuźni do klasztoru. Poczł woń rozkładających się ryb, gnijących nieczystości i czegoś jeszcze, czegoś ostrzejszego, cierpkiego - marihuany. Zwrócił głowę w stronę, skąd dolatywał gryzący dym, w stronę otwartych drzwi magazynu, w stronę wrzasków, z których istnienia zdał sobie nagle sprawę. Zmarszczył brwi zastanawiając się przez chwilę, po czym podjął swój marsz wzdłuż kanału.

Ale nagła fala głośniejszego ryku zmusiła go do ponownego zatrzymania się. Znow zerknął na otwarte drzwi. Za nimi dojrzał przyćmiony kłębam dymu papierosowego poblask reflektorów, w świetle których tańczyły ludzkie cienie, wiły się, drżały i skręcały, przywodząc mu na myśl dusze w piekle. Jak przedtem u progu kuźni, poczuł wewnętrzny przymus i przekroczył wrota magazynu.

Budynek był wielki, wysoki i szeroki, a jego metalowe ściany ciemniały olbrzymimi plamami rdzy. Zawieszane na długich kablach żarówki chwiały się pod topornymi kloszami, oświetlając co najmniej pięciuset ściśniętych mężczyzn. Wszyscy oni wrzeszczeli, podskakiwali, zaciągali się "tajskimi laskami" - grubymi papierosami z marihuaną - i wymachiwali pięściami, w których ściskali zwitki banknotów.

Czterej Azjaci, ubrani w drogie garnitury i obwieszeni złotą biżuterią, stali na rogach pustej kwadratowej przestrzeni pośrodku pomieszczenia i odwrzaskiwali coś w Odpowiedzi tłumowi, łapczywie wrywając wyciągane w ich stronę zmięte pieniądze. Z rzadka też, z wyraźną niechęcią, oddawali komuś kilka banknotów. Bukmacherzy. Scena przywodziła na myśl walki kogutów, psów lub knurów.

Ale na otwartej przestrzeni pomiędzy bukmacherami stali ludzie, a nie zwierzęta. Jeśli nie liczyć opasek na biodrach, byli zupełnie nadzy. Ich napięte mięśnie lśniły od potu, zmrużone oczy jarzyły się nienawiścią, a ciała aż drżały z wywołanej przyływu adrenaliny niecierpliwości.

Po prawej stronie od wejścia Rambo dostrzegł drewnianą skrzynię. Wdrapawszy się na nią miał lepszy widok i wówczas zauważył, że mężczyźni mieli bosc stopy, a w każdej dłoni trzymali dwudziestocentymetrowe pałki.

Człowiek z błyszczącym złotym zębem, najwyraźniej sędzia, zaskrzeczał coś do ustnika megafonu. Tłum znow zawył, aby po chwili wpaść w amok, kiedy przeciwnicy rzucili się na siebie, kopiąc się i okładając pałkami.

Rambo pokręcił głową z obrzydzeniem; Zdolność człowieka do wymyślania nowych form brutalności nie miała granic. To spotkanie było kombinacją boks syjamskiego, tajskiej sztuki walki, z escrima - pochodzącą z Filipin metodą walki pałkami. Dla zaspokojenia prymitywnych instynktów publiczności i na potrzeby hazardu połączono dwie śmiertelne formy sztuki wojennej.

Krew trysnęła, kiedy pałka trafiła w szczękę. Rambo ześlizgnął się ze skrzyni i wyszedł w rozświetloną neonami noc. Bezwiednie maszerował coraz szybciej wzdłuż śmierdzącego rybami resztkami kanału. Wzywał go klasztor.

## Rozdział 9

Ale następnej nocy, po zakończeniu morderczej pracy w kuźni, znów znalazł się nad tym samym kanałem, znów szedł obok - a może w stronę - tego samego magazynu, znów - jak poprzedniej nocy - zatrzymał się, czując ostrą woń marihuany i słysząc brutalny ryk tłumu.

I znowu posłuchał impulsu, znowu wszedł do magazynu, znowu przyglądał się chaosowi walki.

Tak, jak przedtem, odwrócił się i wyszedł.

Ale następnej nocy, mimo powziętego postanowienia, wrócił.

I następnej nocy.

I następnej.



## Rozdział 10

Na czole zawiązał sobie przepaskę. Jego przeciwnik czaił się w przeciwnym narożniku. Rozwrzeszczane usta kibiców wykrzykiwały stawki. Rambo czuł tętnienie w uszach. Nozdrza bolały go od dymu. Miał zawroty głowy.

Wszystko, byle odzyskać spokój.

Przykucnął na sposób azjatycki i oddychał głęboko. Gdybym się nie opierał temu gliniarzowi, nie poszedłbym do więzienia.

Nie wróciłbym do Wietnamu.

Co by nie umarła.

Złotozęby sędzia w pośpiechu opuścił ring. Przeciwnik Rambo, wysoki, chudy Taj, rzucił się naprzód, mając jeden cel - zniszczyć tego wymarzonego, idealnego wroga, ucieleśnienie zła, Okrąglookiego.

Rambo uniknął pierwszego kopnięcia, sparował cios pałką i z półobrotu zadał uderzenie stopą.

Ale nie wykorzystał całej siły ani zręczności.

Co się ze mną dzieje?

Jego przeciwnik z łatwością uchylił się przed wstrzymanym kopnięciem Rambo i skontrował dziką kombinacją uderzenia pałką w pierś Johna i ciosem wyprostowaną stopą w jego bok.

Rambo cofnął się i zachwiał z bólu.

Poczuł się bezsilny.

Taj zasypał go gradem brutalnych ciosów pałkami i kopniaków. Krew zalała oczy Rambo.

Jego ciało nie chciało go słuchać. Znowu dostał pałką i stopą. I jeszcze raz. Cofnął się jeszcze bardziej i uniósł ramiona, żeby się bronić, ale ciało nie poddawało się woli.

Pałka dźgnęła jego potężnie umięśnioną pierś. Gwałtownie wypuścił powietrze, jego instynkt domagał się natychmiastowej reakcji.

Ale nie był w stanie się zmusić. Nagle zrozumiał. Pojął, dlaczego tu przyszedł. Nie po to, żeby podjąć próbę odpędzenia demonów przez robienie tego, czego najbardziej nienawidził. Nie przyszedł tu, żeby walczyć.

Chciał tylko ponieść karę.

Za to, kim był.

Za stawianie się policjantowi.

Za zapoczątkowanie łańcucha wydarzeń, w wyniku którego zginęła Co.

Zamrugnął oczami i przez krew popatrzył na tłum. Mimo że ledwie stał na nogach, zauważył mężczyznę zbyt wyróżniającego się, żeby zniknąć w ciżbie.

Wyższego od wszystkich innych kibiców. Ubranego w mundur Armii Stanów Zjednoczonych. Jedyne biały w tłumie Azjatów.

Twarz mężczyzny była pociągła, prostokątna, sucha, nieprzystępna, a jednak przystojna. Twarz wojownika, niezłomnego przywódcy, kochającego ojca.

Nie!

## Rozdział 11

Trautman Samuel, pułkownik, Armia Stanów Zjednoczonych, Siły Specjalne.

Z mieszaniną żalu i rozpacz na pełnej bólu twarzy patrzył, jak człowiek, o którym myślał jak o swoim własnym synu, pozwala się bezlitośnie katować. Szramy i skaleczenia na ciele Rambo bolały Trautmana jak własne. Tak silnie identyfikował się z Johnem, że czuł w ustach gorący, słony smak krwi, spływającej po twarzy i wargach Rambo. Porażony tym wszystkim, chciał odwrócić się i wyjść. Nie do zniesienia był widok najlepszego ucznia i najwybitniejszego żołnierza, jakiego miał honor poznać, odmawiającego obrony. Urodzony wojownik, który otrzymał najwyższe odznaczenie swego kraju, Congressional Medal of Honor, jak mógł odrzucać siebie samego, jak mógł odmawiać podporządkowania się swym instynktom i skrywać swe wyjątkowe umiejętności?!

Ale Trautman zdawał sobie sprawę, że nie ośmieli się odwrócić i wyjść. Nie mógł przecież poddać się słabości. Nie wolno mu odbierać temu bohaterowi jedynej szansy na odzyskanie szacunku do własnego ja.

Muszę zostać i patrzeć, pomyślał Trautman. Nie mogę go spuścić z oka. Kiedy Rambo mnie zauważył, wyglądał na zawstydzonego. Nie chce, żebym widział, co sobie robi.

Jeśli tylko zdołam nadal patrzeć... Jeśli zdołam wciąż okazywać obrzydzenie...

## Rozdział 12

Z przemożnym poczuciem wstydu Rambo gwałtownie odwrócił twarz od przenikliwego spojrzenia pułkownika. Ale natychmiast cios w ramię okręcił go i John znów zobaczył wzrok Trautmana.

Jego zmrużone oczy patrzyły z pełną obrzydzenia dezaprobatą. Przeszywały duszę Johna jak lasery.

Nie!

Bezlitosne uderzenie stopą w żołądek zgięło go wpół. Pochylony ku podłodze, Rambo niewyraźnie widział kapiącą mu z czoła na brudny beton ringu krew.

I wciąż czuł na sobie błyszczące, pełne wstrętu oczy Trautmana.

Wbita nagle w prawą nerkę pałka odrzuciła go na bok. Ból był niewyobrażalny. Rambo niemal upadł.

Thum zawył. Ale jeszcze głośniej zabrzmiał jeden, ochryply z oburzenia głos:

- Na Boga, John! Weź się w garść!

Kiedy napompowany żądzą zniszczenia Taj, dźgnął go pałką w żebra, Rambo się wściekł.

Rok wcześniej, kiedy tak straszliwie wyładował swą wściekłość na ludziach winnych śmierci Co, uznał, że już na zawsze wyzbył się tego uczucia. Zemsta przenicowała go.

A może tylko mu się tak wydawało? Bo teraz uświadomił sobie, że tak naprawdę to nie pozbył się gniewu. Medytacja i ciężka praca zdusiły go tylko, trzymały pod kontrolą.

Ale to już się skończyło. Coś w nim wybuchło.

Zalała go wrząca furia.

Sparował uderzenie pałką, wyprowadzone w jego zęby, uniknął wycelowanego w pachwinę kopniaka i dźgnął pałką zewnętrzną stroną uda przeciwnika, kiedy mijalo jego tors. Świetnie wymierzone uderzenie trafiło w splot nerwowy w mięśniu czwórgłowym. Twarz Taja wykrzywił straszny ból. Odskoczył, oszczędzając niemal sparaliżowaną nogę, i by zyskać na czasie, próbował odwrócić uwagę Rambo, pozorując cios pałką w oczy Johna.

Rambo uchylił się i wyprowadził cios w drugą nogę Taja. Ale ten przewidział to i zablokował atak, waląc Rambo pałką w nadgarstek. Pałka wypadła ze zdrętwiałej dłoni Johna. Zaskoczony, powstrzymując się, by nie zacisnąć odruchowo drugą dłonią zranionego nadgarstka, Rambo odskoczył przed kolejnym atakiem przeciwnika.

Ale obrażenia zwolniły jego ruchy i reakcje. Zalane krwią oczy źle oceniły dystans. Następne wyprowadzone przez niego uderzenie pałką ześlizgnęło się po zlanym potem ramieniu Taja, który swobodnie odskoczył. Wyraz bólu na jego wykrzywionej twarzy ustąpił żądzy krwi, co świadczyło o tym, że Taj odzyskiwał już władzę w nodze.

Rambo zdołał uniknąć kolejnego ataku, ale wpadł na zbity, wyjący tłum. Straciwszy równowagę upadł, przetoczył się, sparował skierowany w twarz kopniak i zerwał się na nogi. Zachwiał się pod następnym uderzeniem, znów zatoczył się na kibiców, ale tym razem rozstąpili się, a ich dzikie wycie odprowadziło go, niesionego impetem ciosu, aż do ściany magazynu. Przerdzewiały metal jęknął, jakby miał się rozsypać.

Taj wciąż atakował, a jego pałki migały przed oczami Johna.

- Na miłość boską, John! - krzyknął pułkownik.

W przypiływie zranionej dumy Rambo odbił się od ściany. Błyskawicznie wykonał obrót wokół własnej osi i wyprowadził straszliwe kopnięcie, po czym nie ustając w ataku, zasypał Taja lawiną tak strasznych ciosów pałkami i stopami, że ten podjął szaleńczy odwrót.

Taj zatoczył się po potwornym ciosie w zranioną nogę. Zwinął się wpół od kopnięcia w splot słoneczny. Szarpnął konwulsyjnie głową po łamiącym obojczyk uderzeniu pałką.

Rambo wykopał spod niego zdrową nogę. Padającego dosięgł jeszcze straszliwy cios w kark. Czoło z głuchym łomotem uderzyło o beton.

Taj leżał w kałuży krwi, półprzytomny, jęczący.

## Rozdział 13

Ryk tłumu wybuchł jak bomba. Magazyn wypełnił chaos rozwrzeszczanych twarzy i machających rąk, pieniędzy branych i dawanych, zakładów wygranych i przegranych.

Rambo zignorował to zamieszanie. Skupił wzrok na jedynym człowieku w magazynie, który się liczył: na Trautmanie, który jeszcze bardziej zmrużył oczy, ale tym razem w wyrazie zadowolenia, i który skinął głową z szacunkiem i aprobatą.

Usta pułkownika złożyły się w bezgłośnie zdanie:

- Dobra robota, John.

Rambo przeniósł wzrok na podłogę. Jego pokonany i zakrwawiony przeciwnik wciąż jęczał z bólu.

Nie Chciałem ci zrobić krzywdy, pomyślał Rambo.

Chciałem, żeby było na odwrót.

To ty miałeś mnie pobić.

Rambo przykucnął i dotknął skrzywionego z bólu, spływającego potem karku przeciwnika.

Ale ból, który nadal przeszywał mu nadgarstek, czoło i klatkę piersiową, przypomniał mu, że Taj zrobił wszystko, co w jego mocy, żeby go zniszczyć

No cóż, dostałeś szansę.

Niech więc tak będzie.

Rambo wyprostował się i wstał, wciąż nie zwracając uwagi na wycie tłumu. Ktoś wcisnął mu w dłoń jakiś wilgotny, przeпоcony zwitek, ale Rambo i to zignorował. Dostrzegwał tylko ciągle wbite w niego, pełne aprobaty spojrzenie Trautmana.

Rozpychając się łokciami pomiędzy przeliczającymi wygraną kibicami, przedarł się do ściany magazynu i porwał swe dżinsy i bluzę, które tam porzucił, przygotowując się do walki. Nie ubierając się, skoczył do wyjścia z budynku, ledwie zauważając, że na ringu czekają Już następni przeciwnicy, gotowi skoczyć sobie do gardeł dla przyjemności tłumu.

Wychynawszy z zadymionego oparami marihuany wnętrza odetchnął głęboko, zmieniając gryzący dym w płucach na rybnie wylizany kanał.

Poczuł się znieważony przez poświatę neonów nad barami i burdelami.

Co ja tutaj robię?

Proszę, Trautman! Proszę, nie wychodź za mną! Nie chcę, żebyś mnie takim widział! Nie chcę...

- Johnny, zaczekaj!

## Rozdział 14

Rambo zamarł. Zanikł nagle zachrypiony hałas ruchu ulicznego i głosów nocy. Świat zniknął. Istnieli tylko Trautman i on.

Opływając potem i krwią, ściskając w rękach ubranie i to coś, co mu wciśnięto w dłoń, Rambo odwrócił się powoli.

Zamrugał i z wysiłkiem odegnął z umysłu oszołomienie, by wyraźnie zobaczyć swego dowódcę, człowieka, o którym myślał jak o ojcu.

- Dobra. - Skrzyżował spocone i zakrwawione ramiona. - Pułkowniku, przykro mi, że widział mnie pan w takim stanie. Nie chciałem, żeby pan się o tym dowiedział. Ale teraz jestem cywilem. Tak że to nie pana interes.

- John, ty i ja to coś więcej niż interesy.

- A kimże jesteśmy?

- Rodziną.

- Tak - wychrypiał Rambo i przełknął z trudem ślinę. - Tak. - Oparł się o jakąś chatę. - No tak. A więc, co pan tu robi? Jak mnie pan znalazł?

- Wszystko po kolei, John. Ubierz się. Tam, w środku, wyglądałeś świetnie, ale tutaj... - Pułkownik wzruszył ramionami.

Rambo niemal się uśmiechnął.

- Rozumiem, że chciałby pan powiedzieć, że mój mundur nie jest w porządku. - Wciągnął bluzę na zakrwawione ramiona, zmienił przepaskę biodrową na schowane w kieszeni dzinsów slipy, po czym włożył spodnie.

Skończywszy się ubierać zauważył, że to coś, co mu wciśnięto w dłoń, było zwitkiem banknotów, równowartością dwustu dolarów amerykańskich. Nagroda za wygranie walki.

- Krew potaniała.

- A wątpiłeś w to kiedyś?

- Nie - odparł Rambo. - Nigdy. Pytałem... jak mnie pan znalazł?

Półkownik znowu wzruszył ramionami.

- Mam swoje sposoby.

- W przekładzie.,, kazał mnie pan śledzić? , - Musiałem trzymać rękę na pulsie. Musiałem wiedzieć, co robisz.

- Po co?

- Bo jesteśmy sobie bliscy.

- Z całym należnym panu szacunkiem, pułkowniku, proszę mnie zostawić w spokoju.

- Teraz moja kolej.

- Co?

- Zadać pytanie. Dlaczego? - Trautman podszedł bliżej. Podniósł ręce, jakby chciał Johnem potrząsnąć. Dlaczego chciałeś się zniszczyć?

- A dlaczego nie? , ~ John, ty jesteś kimś wyjątkowym!

Rambo parsknął.

- Wyjątkowym! - powtórzył Trautman. - Po tym, co przeżyłeś rok temu w Wietnamie, spytałem cię, jak teraz będziesz żył. Odpowiedziałeś, że z dnia na dzień. Wtedy uznałem, że należy mieć oko na twoje poczynania. I cieszę się, że tak zrobiłem.

Rambo z ironiczną miną uniósł dłoń pełną banknotów. - Jak pan widzi, po prostu zarabiam na życie.

- Zabijasz się!

- A co to za różnica? - spytał Rambo.

- Duża. Powiedziałem ci już, ty jesteś wyjątkowy.

- Wyjątkowym zabójcą?

- Nie zabójcą. Wojownikiem. - Janie widzę różnicy.

- Tak, Wiem o tym. I na tym polega kłopot. - Trautman wreszcie położył dłonie na barkach Johna. - Mój przyjacielu, jesteś jednym z największych żołnierzy, jakich kiedykolwiek znałem. To nie czas i miejsce, żeby ci powiedzieć, dlaczego tu jestem. Jesteś zmęczony. Masz rany do opatrzenia. Ale jutro poproszę cię o przysługę.

- Nie będę słuchał.

- Jeszcze nie wiesz, o co chodzi.

- Ale sobie wyobrażam. To oznacza więcej tego, co chciałem dzisiaj odpokutować. !

- Nie możesz odrzucać swego przeznaczenia.

- Budda nie wierzy w przeznaczenie..

~ Zgadza się - odrzekł Trautman. - Budda odrzuca przeszłość. Odrzuca konsekwencje. Wierzy w teraz. Ale, mój przyjacielu, właśnie teraz jesteś na bardzo kiepskiej drodze. Proponuję więc, żebyś jutro wysłuchał mnie dokładnie. Może - tylko może - potrafię uratować twoją duszę.

- Wątpię. - Rambo spojrzał pułkownikowi w oczy. Tak na dowód, że nie zapomniałem, czego mnie pan nauczył... wiedziałem, że ktoś mnie śledzi. Nie domyślałem się, kto nadał ten ogon, ale właściwie mnie to nie obchodziło. Niemniej, ogon był dobry. Może nie dla kogoś, kogo pan wyszkolił, ale naprawdę niezły. Należy mu się premia.

Odwrócił się w stronę ciemności nad samym brzegiem kanału.

- Chodź tu, chłopcze!

Ciemności pozostały ciche i nieruchome.



- Powiedziałem, chodź tutaj! Dwieście dolarów! Pomyśl! To więcej, niż zarobisz - czy ukradniesz - przez rok!

W ciemności nic się nie poruszyło.

- W porządku - powiedział Rambo. - Jak nie chcesz, to niech ryby je wydadzą. - Podniósł rękę, jakby chciał wrzucić pieniądze do kanału.

Poruszył się jakiś cień. Z mroku wynurzył się mały, owinięty w łachmany chłopiec, Taj. «'

Rambo posłał mu uśmiech.

- Masz, kup sobie loda.

Wyrostek nerwowo zbliżył się do mężczyzn, rozejrzał się na boki, porwał pieniądze i znikł w ciemnościach.

Rambo z wyrazem zadowolenia na twarzy odwrócił się z powrotem do pułkownika.

- Zawsze mówiłem, John, że masz styl, - Jasne - odparł Rambo, cofnął się i pogрузzył w mroku.

## Rozdział 15

Mimo otulającego Bangkok smogu poranne słońce świeciło mocno. Trautman zerkał z powoli sunącej taksówki na hałaśliwą ulicę, wypełnioną rowerami, motorynkami, motocyklami, trzykołowymi riksami, autobusami i samochodami. Powietrze było tak gęste od spalin, że mimo coraz większego, upału w taksówce pułkownik powstrzymał się od otwarcia okna. Pot nasączył materiał jego munduru. Żeby odwrócić uwagę od upału, Trautman zaczął się przyglądać ulicznym sprzedawcom, zastanawiając się, jakim cudem unikają zdeptania przez przelewające się chodnikami tłumy.

- W tym tempie zajmie nam to jeszcze godzinę. Głos siedzącego obok niego mężczyzny, zwykle, miękki i gładki, znużenie zabarwiło szorstką chrypką, - Szybciej byłoby na piechotę.

- Pięć mil?

- Dla zdrowia. W Waszyngtonie codziennie biegam wzdłuż Potomacu.

- Ale to jest Bangkok - przypomniał mu Trautman. To kąpiel parowa zaprawiona tlenkiem węgla. Nie sądzę, żeby się panu spodobał taki spacer.

Mężczyzna - czterdziestopięciolatek w szarym garniturze dyplomaty - przejechał palcem po wewnętrznej stronie kołnierzyka. „».

- Ta sauna na kółkach też jest niewiele lepsza. Niech pan powie taksówkarzowi, żeby włączył klimatyzację.

- Zapewne nie działa. A nawet jeśli działa, i tak jej pewnie nie włączy. Klimatyzacja pożera paliwo, a tego tutaj brakuje. Pewnie pan zauważył, że jak tylko stajemy, kierowca wyłącza silnik. Upał to nasz problem, nie-jego. On jest przyzwyczajony.

Cywil przetarł czoło chusteczką. Miał metr siedemdziesiąt sześć wzrostu, lekką nadwagę, dystyngowane szpakowate włosy i wyrachowane oczy biurokraty.

- No cóż, mam nadzieję, że przynajmniej jest to warte naszych wysiłków. Myśli pan, że on na to pójdzie?

Trautman przez chwilę nie odpowiadał.

- To zależy.

- Od czego?

- Od tego, jak bardzo on odrzuca samego siebie.

Taksówka przyspieszyła. Jej kierowca dojrzał lukę w korku, wcisnął się w nią i skręcił w boczną uliczkę. Dziesięć minut później przedarł się przez zbity tłum rowerzystów, niemal przejechał kobietę pchającą wózek wyładowany warzywami i w końcu zatrzymał się w zdewastowanej, przemysłowej dzielnicy miasta, nad samą rzeką.

Trautman wysiadł. Na wprost niego z wentylatorów dużego, obskurnego metalowego budynku wydobywał się dym.

- Proszę pamiętać - powiedział pułkownik. - On nie toleruje wciskania gówna.

- To nie problem. Moją specjalnością jest przedstawianie gówna tak, żeby pachniało jak fiołki.

- Niech mi pan wierzy, on doskonale zna różnicę.

Weszli do budynku. Trautman powiedział właścicielowi po tajsku, o co im chodzi. W miarę jak szli w głąb, przechodząc obok warsztatów, -gdzie brąz był rzeźbiony i szlifowany, coraz bardziej narastał brzęk metalu o metal... I upał. Im bardziej zbliżali się do serca kuźni, tym większy odczuwali upał. Twarz Trautmana ociekała potem.

Cywil zatrzymał się z wyrazem przerażenia w oczach.

- Mój Boże! Czy to on?

Potężny mężczyzna - wyraźnie pochodzący z Zachodu

- walił młotem w rozżarzony kawałek brązu, umieszczony na wiekowym kowadle. Na muskularnych plecach kowala rysowały się węzły mięśni.

Trautman z dumą pokiwał głową.

- Nie miałem pojęcia... - sapnął cywil.

- Mówiłem panu...

- Myślałem, że pan przesadza.

- Wręcz przeciwnie. On jest jedyny w swoim rodzaju.

- Słowa Trautmana były ledwie słyszalne w łomocie uderzeń młota o metal. - Niech pan tu lepiej zaczeka.

- Dlaczego, na Boga? Wiem o tej misji o wiele więcej niż pan.

- Ale nie zna pan jego.

## Rozdział 16

Choć był odwrócony plecami do drzwi, chociaż jego młot zagłuszał wszystkie dźwięki, Rambo wyczuł obecność obcych. Zerknął na obsługującego miechy Taja i dostrzegł zwięzłe, pełne podejrzliwości spojrzenie.

A więc to biali. Odłożył młot i odwrócił się, stając twarz w twarz z Trautmanem, który właśnie do niego podszedł.

- Powiedziałem, żeby pan tu nie przychodził, pułkowniku.

- Nie tylko ty jesteś uparty, - Na miłość boską!

- John! Nie przyszedłbym, gdybym naprawdę nie uważał, że to jest ważne. Ale mam jeszcze ważniejszy powód.

Rambo czekał.

- Ciebie - dokończył Trautman.

Rambo wyprostował się, niespokojnie napinając mięśnie.

- Opuściłem służbę. Już nie jest pan za mnie odpowiedzialny.

- Zbyt wiele razem przeszliśmy.

- Tak - odparł Rambo. - Zbyt wiele., - To ja cię wyszkoliłem, i jestem odpowiedzialny. Za ciebie i przed tobą. To, czy opuściłeś służbę nie ma żadnego znaczenia. Wiąż między nami ma charakter osobisty.

- Powiedziałem panu wczoraj wieczorem, żeby mnie pan o nic nie prosił. Nie będę przechodził przez to jeszcze raz.

- Ale powiedziałaś mi też, że mnie wysłuchasz:

- Nie słuchał mnie pan. Powiedziałem, że nie będę słuchał.

- Do cholery! Spójrz na siebie z boku! Zobacz, co z siebie robisz! Jesteś zagubiony! I tylko dlatego, że nie chcesz zaakceptować tego, kim jesteś!

- A dlaczego mam być tym, czego nienawidzę?

- To nie jest nienawiść, tylko rozczarowanie. Zaakceptuj siebie!

- Czyli moje przeznaczenie? Wczoraj mówiłem, że nie wierzę w przeznaczenie!

- Taaak. I to jest właśnie cały problem. Przyglądali się sobie przez chwilę.

- John, proszę cię o przysługę. Chciałbym, żebyś z kimś porozmawiał.

- Z tym szarym garniturem w progę? Trautman podniósł ręce w wyrazie rozpaczy.

- A co ja mogę? Muszę działać w systemie. Ale to, co on ma ci do powiedzenia, jest naprawdę ważne. Proszę cię jako przyjaciel. Wysłuchaj go. Kiedy skończy, wyślij go w cholere, jeśli Chcesz. Ale zrób mi tę przysługę...

- Dobrze - rzucił chrapliwie Rambo.

- Co? - Trautman zamrugał z zaskoczeniem.

- Dla pana. To żadne wielkie mi co. Gadanie nic nie kosztuje. Ale, pułkowniku... - Rambo zawahał się. - Jeśli go spuszczę do kanału...

- No?

- To nie będzie w tym nic osobistego.

- Zgoda. - Trautman westchnął i odprężył się. trzymam cię za słowo. Masz naprawdę słuchać, John. W dobrej wierze; Obiecujesz?

Słowo honoru. Ale lepiej, żeby to brzmiało przekonująco.

- Od tej chwili przekonywanie cię to jego problem. Trautman wykrzywił twarz w pełnym nadziei uśmiechu.

- Tak czy inaczej, ufam panu, pułkowniku. Mam nadzieję, że nie będę tego żałował.

- Tylko o to proszę, John. Zaufaj mi.

Rambo niechętnie podszedł do mężczyzny o wyrachowanych oczach, reprezentującego system, od którego John uciekł.

- To jest Robert Briggs - powiedział Trautman. Pracuje dla Departamentu Stanu, w wywiadzie.

- Aha - mruknął Rambo.

- Jest akredytowany przy tutejszej ambasadzie, ale jego strefa działania jest...

- Nie ma potrzeby wchodzić w szczegóły - wtrącił szybko Briggs.

- ...o wiele szersza. Pomógł mi cię odnaleźć - dokończył Trautman.

- Po co? - spytał Rambo.

Powiedzmy , odparł z uśmiechem Briggs - że dobrych ludzi trudno znaleźć. - Przesunął chusteczkę po spoconym czole. - Czy moglibyśmy porozmawiać w jakimś wygodniejszym miejscu?

Rambo pokręcił głową.

- Przykro mi. Pracuję.

Briggs skrzywił się i znów wytarł czoło.

- W takim razie - ruchem głowy wskazał tajskiego asystenta Johna - niech pan mu powie, żeby odszedł. Nie chcę, żeby nas ktoś podsłuchiwał.

Rambo rzucił kilka słów po tajsku. Chłopak wyszedł z pomieszczenia. Rambo westchnął i zwrócił się do Briggsa: - No więc, o co chodzi? Mówiłem już, że pracuję.

- Skoro takie ma być pana nastawienie... - Briggs zmarszczył czoło. - No więc, szesnaście dni temu niezależny amerykański dziennikarz telewizyjny zniknął w Afganistanie. On i jego ekipa dokumentalistów próbowali przedostać się do strefy wojennej.

- Niezależny dziennikarz telewizyjny?

- A co, coś nie tak?

- Ciekawe, dlaczego wydaje mi się, że to była przykrywka? To był pana człowiek, tak?

Agent wywiadu?

Briggs przeniósł na chwilę wzrok na Trautmana, a potem znowu popatrzył Johnowi w oczy.

- Pańskie na wierzchu. Ma pan rację. Był jednym z naszych ludzi. Jego zadaniem było dostarczenie rozpaczliwie potrzebnej broni i lekarstw dla afgańskich powstańców. A przy okazji miał zbierać informacje, robić zdjęcia, dostarczyć cokolwiek, co potwierdziłoby oskarżenia, że Rosjanie dopuszczają się okrucieństw. Podejrzewamy, że szykują nową, generalną ofensywę przeciw powstańcom. Niestety, raporty naszego człowieka nie nadeszły o czasie. Musimy przyjąć, że został zdemaskowany. Ale chcielibyśmy się upewnić.

- Rozumiem - powiedział Rambo.

- Na szali leży istnienie całego narodu. A w efekcie i całego tego regionu.

- Powiedziałem, że rozumiem. Ale to nie mój interes - odparł Rambo.

- Co takiego?

- To nie moja wojna.

- John, ci bojownicy o wolność stawiają czoło najpotężniejszym śmigłowcom wojskowym świata! I wszystko, co mogą przeciwstawić, to rozkalibrowane i popsute pięćdziesięcioletnie strzelby! - wysapał Trautman.

- A co oni mają wspólnego z panem, pułkowniku?

- Ja się do nich przyłączam.

Wydało się, że pomieszczenie nagle się skurczyło.

- Nie - powiedział Rambo. - Pan...

- John, oni wierzą w wolność! Co innego mógłbym zrobić?

- Pan już wygrał swoje wojny! Dorobił się pan już medali! Niech pan oleje takich dupków jak ten! - Wskazał Briggs. - Niech sobie wysyłają na śmierć kogo innego!

John odwrócił się i chciał wrócić do kowadła. - Rambo! Chcę, żebyś poszedł ze mną! Żebyś poprowadził misję!

- Ma mnie pan za idiotę? - spytał Rambo. - Amerykański pułkownik nie może ryzykować wkroczenia do Afganistanu. Gdyby Rosjanie pana złapali, odnieśliby niesamowity sukces propagandowy. Schwytnie pana odwróciłoby uwagę od samej rosyjskiej inwazji. ONZ by się...

Trautman pokręcił głową.

- Ja nie przekroczę granicy. Moim zadaniem jest pozostać w Pakistanie i szkolić uchodźców afgańskich, żeby mogli wrócić i walczyć.

- Cóż więc ja miałbym...

- Przejść na drugą stronę z grupą Afgańczyków, dowiedzieć się, co się stało z dziennikarzem, i dokończyć jego robotę. Zrobić zdjęcia. Zdobyć dowody, że Rosjanie planują ofensywę. Zweryfikować doniesienia o okrucieństwach. Dostarczyć cokolwiek, co zwróciłoby opinię publiczną przeciw inwazji.

- Zdjęcia? To brzmi znajomo. Właśnie to miałem zrobić ostatnim razem. Czy dostanę pełne wsparcie od rządu?

Trautman zaprzeczył ruchem głowy.

- To ściśle tajna misja.

- Jasne! Tak jak poprzednim razem. Jeśli mnie złapią, będę robił za niezależnego ochotnika. Rząd się do mnie nie przyzna i nie udzieli mi pomocy: Dzięki, ale nic z tego. To cuchnie, pułkowniku.

Briggs wznosił ręce i powiedział z zaskoczeniem w głosie:

- I to ma być ten wspaniały żołnierz, o którym się tyle nasłuchałem?

- Ja jestem już niczym -odparł Rambo. - Moja wojna się skończyła.

- O, tak - zaszydził Briggs. - Dzisiaj to nie jest wojna Stanów Zjednoczonych. A jutro?

- Jutro nie istnieje.

- Pan tak uważa. Jutro - czy pan w to wierzy, czy nie

- wszyscy możemy być w nią bardziej uwikłani; niż się panu wydaje.

- Nie ja - powiedział Rambo i odszedł.

- Ale... - protestował Briggs.

- Wykonałem swój obowiązek. Teraz kolej na kogoś innego. - Rambo ze smutkiem obejrzał się na Trautmana.

- Chciałbym tylko żeby nie padło na pana, pułkowniku.

- Oddychał z trudem. - Nie ma pan mi za złe?

- Obiecałem ci, John. Nic osobistego. Rambo poczuł ból w klatce piersiowej.

- Dzięki! "± Przełknął z widocznym trudem i wyszedł z pomieszczenia.

## Rozdział 17

Taaaaak - powiedział Briggs takim tonem, że zabrzmiało to jak ciężkie przekleństwo. - Powinien był pan mnie ostrzec, że ten pana bohater to primadonna. Od początku wiedziałem, że tylko tracimy czas.

- Miał prawo nas spławić ~ odparł Trautman. - On już nie musi wykonywać rozkazów.

- Praktycznie zmusił mnie do błagania. Trautman wzruszył ramionami. ,

- Wystrzeliliśmy z najgrubszej rury, a on po prostu tego nie kupił. Ale cóż, zasłużył sobie, żeby go zostawić w spokoju. Nie musi nadstawiać dupy, jeśli nie ma na to ochoty.

- Właśnie to miałem na myśli mówiąc, że marnowaliśmy czas. Nadstawiać dupy? O, z pewnością nie ma na to ochoty. Kurczę, ten pana wojownik po prostu wsadził dudy w miech!

- O czym pan mówi, do cholery?!

- Ta misja rok temu najzwyczajniej w świecie go wykończyła. Zmiękł. Nie wróci do akcji, bo jest tchórzem.

Trautman się zjeżył.

- Ten człowiek zrobił dla swojego kraju więcej niż pan i ja, - Ależ ja nie neguję jego dokonań. Przystudiowałem jego akta. Jego kariera robi wrażenie. Wrażenie? Dwie srebrne gwiazdy i cztery brązowe, dwa Soldier's Cross, cztery Vietnamese Cross of Gallantry, tuzin Purple Hearts i Congressional Medal of Honor! Masz pan cholerną rację, psiakrew, że to robi wrażenie!

- Nie zapomniałem o tym wszystkim. Cały problem, pułkownika, polega na tym, że to już historia. A ja martwię się tym, co dziś i jutro. Nie tym, co zaszło wczoraj czy piętnaście lat temu - powiedział spokojnie Briggs.

- Skurwiel!

- Ale bardzo praktyczny skurwiel, pułkownika. Świat jest w kiepskiej formie. Gdyby tak wszyscy się wycofali... Niech pan spojrzy na siebie, pułkownika. Odwalił pan już swoją działkę wojenną. Ale wciąż wraca pan po jeszcze. Odwrotnie, niż ten pana bohater.

- To nie znaczy, że jestem odważniejszy od niego powiedział cicho Trautman.

- A cóż innego?

- Że jestem idiotą.

- A więc dziękuję - Bogu za idiotów, pułkownika. Niech pan się zbiera. Jutro ma pan być w Pakistanie.



## CZĘŚĆ DRUGA

## Rozdział 1

Przełęcz była wąska, a jej zbocza strome. Trautman jeszcze nigdy nie napotkał tak surowego i odpychającego krajobrazu. Mimo migotania gwiazd, ciemności były niemal zupełne, więc pułkownik raczej wyczuwał niż widział olbrzymie, czerniejące głązy i chwiejne cienie posuwającej się gęsiego karawany. W nocnej ciszy dźwięki były wyrazistsze - poświsty wiatru, szurnięcia końskich kopyt o kamienie. Liny skrzypiały pod obciążeniem skrzyń, które przymocowano na końskich grzbietach.

Rozrzedzone górskie powietrze przyprawiało o zawroty głowy i lekkie mdłości, a mimo owiniętego wokół ramion koca, Trautman drżał z zimna. Potknął się o niewidoczny kamień i zachwiał, a odzyskując równowagę zeszywniał, usłyszawszy nowy dźwięk, przerażający, natrętny - niskie, regularne łup-łup-łup-łup. Obcy, nienaturalnie brzmiący hałas dochodził gdzieś z przodu. Serce Trautmana załomotało. Dźwięk zbliżał się szybko, przechodząc w ryk.

Karawana zatrzymała się gwałtownie. Tubylcy zaczęli coś do siebie krzyceć. Chociaż Trautman nie rozumiał ich języka, nie potrzebował tłumacza, żeby zrozumieć, co do siebie wołają w panice. Ukryć się!

Cholera, ukryć się, ale gdzie?! - pomyślał Trautman, z napięciem rozglądając się w otaczającej go ciemności. Przełęcz była zupełnie odkryta! Leżące w jej pobliżu głązy w żaden sposób nie zdołają skryć karawany przed nadciągającą śmiercią! Kiedy jednak ryczące łup-łup-łup-łup stało się ogłuszające, Trautman wyczuł dookoła siebie poruszenie - to tubylcy zeskakiwali z koni i zmuszali je do położenia się na ziemi.

Nie potrafił zrozumieć, dlaczego tak robią. A potem, nagle, dotarło to do niego i wtedy pulsowanie w jego skroniach zmieniło się w łomot. Pośpiesznie poszedł w ślady krajowców. Zdarł z siebie koc i narzucił go na głowę, po czym zamarł w bezruchu. Jeśli skała nie może ci dać schronienia, dlaczego samemu nie zmienić się w skałę? Jediną nadzieją jest kamuflaż.

Źródło przerażającego dźwięku musiało już być bardzo blisko, bo hałas stał się wszechogarniający, wręcz bolesny. Zerkając przez szparę w kryjącym go kocu, Trautman dostrzegł trzy masywne obiekty, poruszające się przed nim i zasłaniające gwiazdy. Obiekty te kształtem i wielkością przypominały wagony towarowe, ale akurat te wagony miały skrzydła, a wiszące pod nimi niewyraźne cienie były rakietami, działkami i karabinami maszynowymi. Radzieckie helikoptery bojowe Mi-24 o nieprawdopodobnie niszczycielskiej sile ognia. Trautman poczuł, że martwieje.

Jeden ze śmigłowców włączył szperacz. Jego punktowe światło przeszukiwało opustoszałą przełęcz. Po chwili zapalił się drugi szperacz, a potem trzeci. Prześlizgiwały się w przód i w tył, zbliżając się do kryjówek.

Trautman wtulił się w piasek, bojąc się drgnąć, lękając się odetchnąć. Sto jardów od niego potężne rotory podrywały tumany kurzu. Jezu! - pomyślał pułkownik - jeśli podlecą ociupinkę bliżej, to zdmuchną z nas koce! Zobaczą nas! A potem...

Nagle maszyny zawisły w bezruchu. Nie zmieniały położenia przez potwornie długie kilka sekund, jakby ich piloci mieli zamiar torturować swe ofiary. Potem, niespodziewanie, odpadły w bok, zmieniły kierunek lotu i odleciały w stronę lewego stoku przełęczy. Wznosiły się, światło ich szperaczy zanikało, a łomot silników zmieniał się powoli w daleki pogłos.

Kurz opadł.

Trautman niespiesznie podniósł się na nogi. Odetchnął głęboko. Ale zimne powietrze nocy nie zgasiło ognia w jego płucach.

## Rozdział 2

Głęboką nocą, w swojej klasztornej celi, Rambo obudził się zdenerwowany. Sen był płytki, niespokojny, nerwowy. Od tygodnia, od kiedy odmówił wyprawy z Trautmanem do Pakistanu, miał wyrzuty sumienia. Nie był w stanie skoncentrować się na niczym innym, ciągle myślał o odrzuceniu prośby pułkownika. Medytacja była niemożliwa. Łuk zen opierał się jego wysiłkom i nie dawał się napiąć. Praca w kuźni nie dostarczała już zapomnienia. Rambo był niespokojny i niepewny. Niezależnie od wysiłków, jakie wkładał w odpędzanie od siebie tych myśli, ciągle się samooskarżał.

Zawiodłeś pułkownika. Potrzebował twojej pomocy, a ty się odwróciłeś do niego plecami. On by dla ciebie zrobił wszystko, ale ty nie zdobyłeś się nawet na wyświadczenie mu przysługi.

A niech to wszystko szlag trafi! Powinienem być pójsć!

Targające Johnem niepokoje były silniejsze niż wyrzuty sumienia, poczucie winy czy wstyd. Poprzedniej nocy i teraz znowu - miał poczucie zagrożenia. Wnętrznosci skręcało mu jakieś straszliwe przecucie.

Coś jest nie tak. Coś się stanie.

Pułkownik mnie potrzebuje. Prosił o pomoc. Ale zawiodłem go i nie będzie mnie przy nim, kiedy wpadnie w kłopoty.

“Kiedy”? A nie “jeśli”?

Kiedy. Coś się stanie.

Rambo nie miał wątpliwości.

### Rozdział 3

Trautman w północy trzymał się siodła, skulony nad grzbietem konia. Za każdym razem, gdy wierzchowca przekraczał jakąś przeszkodę pułkownik chwiało się niepewnie. Karawana nieprzerwanie posuwała się w głąb nocy, wspinając się coraz wyżej w góry. Kiedy koń się zatrzymał, Trautman poderwał głowę, od razu zupełnie rozbudzony. O co chodzi tym razem? - pomyślał.

Cała karawana się zatrzymała. Krajowcy wpatrywali się w jakiś punkt na szlaku, powyżej, Trautman zmrużył oczy, usiłując dostrzec coś przed sobą.

Co to mogło być? Skala? Szałas?

Ale w przyćmionym świetle księżyca nie był w stanie tego ocenić.

Jego towarzysze wyciągnęli z plecaków karabiny M-16, ześlizgnęli się z koni i wspięli na zbocze ponad szlakiem. Trautman również zsiadł z wierzchowca, wyjął swój pistolet, odbezpieczył go i podążył za innymi. Kiedy podszedł bliżej, kształt na szlaku przybrał wyraźniejsze formy. Był to...

Mężczyzna na wielbłądzie. Trautman zmarszczył czoło. Wielbłąd? Tutaj? Mars na jego czole pogłębił się jeszcze, gdy rozpoznał spoczywającą w rękach obcego broń jako AK-47.

Ludzie z karawany zatrzymali się w bezpiecznej odległości od jeźdźcy. Kilku z nich wydało podejrzliwe i zdziwione pomruki. Jeden z nich zawołał coś do obcego, a ten odkrzyknął. Nastąpiła szorstkobrzmiąca wymiana zdań, - Co oni mówią? - spytał Trautman swego tłumacza.

- Człowiek na wielbłąd mówić jego ludzie zabici. On chce jechać z nami.

- A można mu zaufać? - dopytywał się pułkownik, tłumacz wzruszył ramionami.

I znów jeden z towarzyszy Trautmana zawołał coś do jeźdźcy, a obcy odkrzyknął coś ostro.

Tłumacz nerwowo cofnął się do Trautmana.

- Człowiek na wielbłąd mówić że on z Jegdeleg. To nasza wieś. Ja znać tam każdy. Jego nie znać.

Podenerwowany mężczyzna z karawany otworzył nagle ogień. Kiedy z twarzy mężczyzny na wielbłądzie trysnęła krew, noc zmieniła się nagle w chaos, ryczący i błyskający wybuchami granatów, pełen terkoczącego jazgotu broni maszynowej.

Trautman zanurkował na bok szlaku, kuląc się na czworakach za skałką. Z każdej strony nadlatywały pociski z wrogiej broni automatycznej, tworząc morderczą zaporę nie do przebycia. Zewsząd dobiegały wrzaski i jęki umierających i rannych.

Trautman strzelał, póki nie opróżnił magazynka. Szybko wyrzucił pusty i wsadził nowy, a kiedy już kładł palec na spuście, zorientował się, że noc znów jest cicha. Poza jękami rannych ludzi

i kwikiem postrzelonych w brzuchy koni słyszał tylko dzwonięcie w uszach. Czuł woń kordytu, ekskrementów i krwi.

Ciszę przerwały gniewne głosy, porykujące wokół niego. Z ukrycia wychynęli rządowi żołnierze afgańscy. Ciężkie buty zaskrzypiały na kamieniach.

Pułkownika otoczyły lufy karabinów. Jakiś żołnierz wyrwał mu broń z dłoni. Trautman uniósł ręce w geście poddania, po czym z jękiem zwinął się z bólu, gdy kolba karabinu wbiła mu się w żołądek, powalając go na ziemię.

Kopnięcie w żebra przekreśliło go na bok, a wtedy poczuł straszliwe uderzenie w tył czaszki. Noc wybuchła czerwienią.

## Rozdział 4

Proszę pana, to jest ambasada Stanów Zjednoczonych Ameryki, a nie biuro osób zaginionych. - Siedzący za biurkiem w przeszklonej budce przy wejściu do hallu niski rangą urzędnik zerkał ponad okularami na Johna Rambo..- A nawet gdyby to było biuro osób zaginionych, to tu jest Tajlandia, a sam pan mówi, że człowiek, którego pan szuka, pojechał do Pakistanu.

Rambo z wysiłkiem zachowywał uprzejmość. Urzędnikowi najwyraźniej nie podobało się jego ubranie. Zamiast garnitur, białej koszuli i krawata, których zresztą i tak nigdy nie posiadał, Rambo miał na sobie sprane dżinsy i świeżą dżinsową koszulę. W panującym w Bangkoku upale podwinął rękawy i rozpiął dwa górne guziki koszuli. Urzędnik obrzucił niechętnym wzrokiem długie, gęste włosy Johna, potężne mięśnie ramion i klatki piersiowej, buddyjski medalion Co na jego szyi i bliznę na kości policzkowej. Rambo wyraźnie mu się nie podobał;

- Nie powiedziałem, że chcę, żeby ambasada odnalazła mojego przyjaciela - powiedział Rambo. :

- A więc proszę jeszcze raz powiedzieć, o co panu chodzi. Czego dokładnie pan chce? - Urzędnik trzymał długopis nad imponująco wyglądającym dokumentem. Rambo miał ochotę wcisnąć mu ten papier do gardła.

- Chcę się(widzieć z Robertem Briggssem. Urzędnik poskrobał się po policzku.

- Briggs? Nie przypominam sobie, żeby tu pracował ktokolwiek o tym nazwisku.

- Jest z wywiadu, z Departamentu Stanu.

- Oni nie podają nazwisk swojego personelu. Skąd więc akurat pan miałby wiedzieć, że on jest z wywiadu?

- Proszę go po prostu spytać, czy ze mną porozmawia.

- System działa w nieco inny sposób. Nie może pan po prostu wejść z ulicy i zażądać rozmowy z oficerem wywiadu. Skąd mamy znać pana motywy? Może pan być terrorystą. Tak przy okazji, czy można spytać, co pan robi w Tajlandii?

- W tej chwili właśnie zaczynam tracić cierpliwość. Urzędnik zeszytniał.

- Proszę pozostawić swoje nazwisko, adres i numer telefonu, jeśli on będzie chciał z panem porozmawiać...

- Proszę go wezwać - przerwał mu Rambo. - Teraz.

- Chyba już dość czasu zmarnowaliśmy na tę sprawę. Chciałbym tylko dodać, że jest pan tym typem Amerykanina, który szkodzi naszemu obliczu za granicą. - Urzędnik postukał długopisem w blat biurka. - A teraz... Może pan wyjść z własnej woli... Albo w inny sposób.

- Niech pan nie dotyka tego guzika - powiedział zimnym głosem Rambo.

- Czy pan mi grozi?

Rambo nie odpowiedział, tylko ruszył korytarzem.

- Hej! Dokąd się pan wybiera?!

Rambo przyspieszył kroku, zerkając po drodze do mijanych biur.

- Briggs! Słyszysz mnie, Briggs?! Chcę z tobą pogadać!

Personel ambasady podnosił na niego zdziwione spojrzenia.

- Briggs! - Zatrzymajcie go!

- Chcę mówić z Briggsem!

- Koleś, stój no tam, gdzie jesteś!

Rambo odwrócił się i spojrział przez ramię. Młody, mocno zbudowany komandos wyjmował pistolet z pochwy przy pasie.

- Chcę się widzieć z Briggsem! - zawołał Rambo, nie przerywając marszu.

- Stój!-krzyknął komandos.

Dołączyło do niego jeszcze dwóch żołnierzy. ; - Może być uzbrojony! Groził mi!

- Briiiggs!

- Stój!

Rambo doszedł do schodów.

Komandosi z głośnym trzaskiem odbezpieczyli pistolety.

- Czekać! Nie strzelać! - zawołał jakiś głos. Rambo zatrzymał się, obejrzał i po drugiej stronie hallu zobaczył Briggsa.

- Wszystko w porządku, sierżancie, znam tego człowieka. Schowajcie broń.

- Nie..., - Powiedziałem: w porządku.

Żołnierze wyglądali na niepewnych i rozdrażnionych.

- Skoro pan wyraża zgodę...

- Sierżancie, zrobiliście, co do was należało. Ale teraz wy i wasi żołnierze możecie odpocząć. Sytuacja jest pod kontrolą.

Żołnierze niechętnie zabezpieczyli i schowali broń. Briggs podszedł do Johna.

- Musimy pogadać - powiedział Rambo.

- Tak, chyba tak.

- Miejcie na niego oko! - dorzucił spod budki urzędnik.



## Rozdział 5

Briggs zamknął drzwi swojego biura. - Niech pan siada. Chce pan kawy czy...

- Przyszedłem tu z powodu pułkownika - przerwał mu Rambo.

- Domyślam się tego. Nie wiem tylko, jakim cudem, do cholery, dowiedział się pan o tym?

Trzymaliśmy wszystko w tajemnicy. Dziennikarze nie dostaną żadnej informacji, póki się nie zorientujemy, jak się rozwija sytuacja.

- Dziennikarze? O czym pan mówi, do diabła?

- O pułkowniku. Powiedział pan, że jest pan tu z jego powodu... O, mój Boże! Pan nic nie wie!

- Przyszedłem, żeby dostać wskazówki, jak się do niego przyłączyć. Co się stało, do kurwy nędzy?!

- Nie jestem upoważniony do..., - Briggs, jeśli coś się stało pułkownikowi, a pan mi o tym nie powie...

W pokoju zapadła cisza.

Rambo podszedł o krok do urzędnika.

- No, dobrze - rzucił Briggs, mrugając szybko. Spokojnie! - Obszedł biurko i usiadł na fotelu.

- Briggs...

- To była prosta operacja, która się skomplikowała. Briggs westchnął. - Jeszcze nie znamy wszystkich faktów. Wiemy tyle, że pułkownik szkolił uciekinierów w Pakistanie, aby mogli wrócić do Afganistanu i walczyć z Rosjanami. Najwyraźniej chciał mieć informacje z pierwszej ręki na temat trudności, na jakie natrafiają uchodźcy przy powrocie do domu przez góry. Poszedł więc z karawaną mudzahedinów, ale chciał wrócić, kiedy dotrą do granicy afgańskiej. Z tym, że tam nie ma żadnych szlabanów dla oznaczenia granicy. Powstańcy musieli źle ocenić dystans, a może tylko przewodnik Trautmana się pomylił. Jakkolwiek by było, Trautman znalazł się w Afganistanie. Karawana została zaatakowana przez afgańskie wojska rządowe. Jeden powstaniec zdołał uciec. Widział, że pułkownik został wzięty do niewoli. Nie wiemy, co się stało dalej, ale możemy sobie to dośpiewać. Żołnierze przekażą Trautmana radzieckiemu dowódcy okręgu.

- I co macie zamiar z tym zrobić?

- Niewiele możemy zrobić, biorąc pod uwagę propagandowy cyrk, jaki zrobią z tego Rosjanie.

- Jeszcze raz: co macie zamiar z tym zrobić? - powiedział dobitnie Rambo.

- Mamy związane ręce.

- Macie tyle swobody działania, ile chcecie. - Będę wobec pana szczery. Jest pan byłym żołnierzem, a nie dyplomata. W tej chwili nie możemy nawet przyznać, że coś takiego przytrafiło się pułkownikowi Trautmanowi. Takie oświadczenie zagroziłoby delikatnym negocjacjom, jakie toczą się obecnie w sprawie zakładników w innych częściach świata.

- Chce pan przez to powiedzieć, że najpierw chcecie doprowadzić do uwolnienia innych zakładników, a potem zaczniecie organizować uwolnienie jego?

- Nie jesteśmy nawet pewni, czy będziemy mogli "organizować" uwolnienie Trautmana. Cholera jasna, a co będzie, jeśli Rosjanie będą go torturować albo potraktują go środkami chemicznymi, a on pęknie?

- Nie pęknie - odparł spokojnie Rambo.

- A jeżeli? Załóżmy, że zmuszą go do przyznania, że Stany finansują, zbroją i szkolą powstańców afgańskich. A jeśli zmuszą go do kłamstwa? Do powiedzenia, że celowo wszedł na terytorium Afganistanu? Za zgodą rządu Stanów Zjednoczonych?

- Niech mi pan wierzy na słowo, nigdy go do tego nie zmuszą - odrzekł John.

- Cenię pana lojalność, ale fakty polityczne są takie: może się okazać, że Stany Zjednoczone będą zmuszone upierać się, że Trautman to samowolny ochotnik, a nasz rząd nie miał najmniejszego pojęcia o tym, co on robi. Być może będziemy musieli się od niego odciąć.

- Skurwieli!

- Tak samo nazwał mnie Trautman. Ale na tym polega moja praca. Niemniej to, co panu właśnie przedstawiłem, to najgorszy hipotetyczny scenariusz. Być może do tego nie dojdzie. Może nie będziemy musieli się od niego odcinać. Wszystko teraz zależy od Rosjan. Mogą wcale nie wykorzystać schwytania pułkownika jako podstawy do ogromnej akcji propagandowej. Możliwe, że zgodzą się go wypuścić w zamian za naszą obietnicę wstrzymania kampanii potępiającej ich inwazję. A może wydadzą go, jeśli my wydamy jednego z ich schwytanych szpiegów. Kto wie? W każdym razie teraz siedzimy na dupach i czekamy, co z tego będzie. Proszę mi wierzyć, dostanie wszelką oficjalną pomoc, kiedy nadejdzie czas.

- Czas już nadszedł. Im dłużej się czeka, tym łatwiej zapomnieć.

- Ależ teraz nie możemy udzielić mu żadnej oficjalnej pomocy!

- No to udzielcie nieoficjalnej! -Co?

- Dajcie mi wszystko, czego mi potrzeba. A potem zapomnijcie, że istnieję.

- Zgłasza się pan na ochotnika, żeby za nim pójść? Głos Briggsa był pełen zaskoczenia. - A co będzie, jeśli pana też złapią?

- Żeby panu ulżyć... jeżeli mnie złapią, możecie powiedzieć prasie, że jestem napalonym eks-żołnierzem, który chciał koniecznie wrócić na wojnę. Rząd może powiedzieć, że jest zadowolony, że ma mnie z głowy.

- Wrócić na wojnę? Tydzień temu odmówił pan. Dlaczego więc pan to robi?

- Bo pułkownik zrobiłby to dla mnie.

## Rozdział 6

Z szaleńczym wysiłkiem Rambo pompował miechem powietrze do paleniska. Leżący w nim węgiel osiągnął już oślepiająco białą barwę. John kąpał się we własnym pocie. Jego potężne mięśnie przęły się i napinały w rytm ciężkiej pracy. Przestał wreszcie pompować, i za pomocą kleszczy wyciągnął z węgla rozżarzony do 440 stopni Celsjusza duży kawałek najwyższej jakości stali nierdzewnej. Wziął do ręki ogromny młot i zaczął rytmicznie walić nim w rozgrzany do czerwoności metal. Brzdęk! Jego uderzenia były tak potężne, że wstrząsały nie tylko trzymanym w kleszczach metalem, ale ogromnym kowadłem i jego ciałem. Ramię bolało go od wysiłku, ale wciąż kuł. Kształtował. Dla Trautmana. Muszę go znaleźć! Muszę go uratować! Brzdęk!

Skończywszy kucie, obejrzał narzędzie, jakie stworzył. Było płaskie, miało trzydzieści centymetrów długości, sześć i pół szerokości i pół centymetra grubości. Było obosieczne, z lekkim zakrzywieniem na czubku. Osiem nacięć - po cztery z każdej strony - oznaczało ośmiu członków Oddziału A, przyjaciół, którzy zginęli w Wietnamie. Broń była tak ciężka, że musiał ją odchudzić. Wyciął więc po obu stronach długie rowki w połowie szerokości ostrza. Zredukowało to wagę, a dodatkowo załatwiło kwestię tak zwanej rynnny na krew. Rynna taka zabezpiecza przed prawdopodobieństwem zassania się noża w klatce piersiowej i ( umożliwia jego bezproblemowe wydobywanie z rany.

Za kilka godzin, po całkowitym zahartowaniu, wypolerowaniu i naostrzeniu, ten obosieczny nóż stanie się najmocniejszym i najlepszym, jaki kiedykolwiek stworzył kowal. A kiedy na koniec Rambo osadzi go w trzonku -. ukształtowanym ukośnie dla zapewnienia wygodniejszej dźwigni przy cięciach w dół - cała broń będzie miała blisko pół metra długości. Bojowe narzędzie. Nóż będący zmodyfikowaną i zmniejszoną wersją miecza afgańskiego - bo przecież Rambo miał wkrótce wkroczyć do kraju, gdzie nowoczesna technika wojskowa zmagala się z bronią pochodzącą wprost ze średniowiecza. Kraju, w którym stulecia zachodziły na siebie, i w którym "wówczas" i "teraz" to określenia bez znaczenia.

Kiwając głową z goryczą, Rambo wrzucił rozżarzone ostrze do wiadra z wodą. Nóż zasyczał, jakby ożył. I zniknął w kłębach pary.

## Rozdział 7

Trautman jęknął i obudził się powoli. Poczuł natychmiast potworny ból w brzuchu, boku, kręgosłupie i głowie. Ogarnął go lęk, że kolby karabinów połamały mu żebra lub uszkodziły kości czaszki. Skręcały go suche torsje. Oślepiiony ostrym światłem, zamknął szybko oczy. Zakręciło mu się w głowie. Zebrawszy wszystkie siły, zdołał ponownie rozewrzeć powieki i skoncentrować wzrok. Leżał w małej kamiennej celi z żelaznymi drzwiami. Kilka skrzyżowanych prętów tworzyło w nich niewielkie, wąskie i wysokie okienko. Przez kraty widać było fragment czegoś, co zapewne było korytarzem. Przelamując ból, Trautman rozejrzał się po celi i stwierdził, że w jej ścianach nie ma okien. Cella była pusta. Nie było w niej ani legowiska, ani nawet latryny. Oślepiające żarówki skrywała pancerna szybka pod sufitem.

Walczył ze sobą przez chwilę, chcąc zebrać myśli i zmusić się do otrzeźwienia. Przypominał sobie, że po wzięciu do niewoli przez wojska rządowe został pobity do nieprzytomności. Pamiętał, że na krótko obudził się, kiedy żołnierze wpychali go do radzieckiego śmigłowca. Sam lot, podczas którego ciągle wymiotował, pamiętał jako mętny koszmar. Ale kiedy śmigłowiec wylądował, a jego przenoszono na nosze, niewyraźnie zobaczył miejsce swego przeznaczenia.

Oświetlona zamglonym blaskiem wczesnego poranka, z piaszczystej nicości wyrastała nieprawdopodobna forteca. Zwoje kolczastego drutu otaczały ogromne granitowe mury. Na każdym narożniku stała wieżyczka strażnicza, a radzieckie patrole przechadzały się na zewnątrz murów i po ich parapetach. Wszędzie unosił się kurz, wzniesiony przez przybywające i opuszczające fortecę czołgi i transportery opancerzone. Gigantyczne śmigłowce wznosiły się z łomotem z wnętrza fortyfikacji.

Wspomnienia Trautmana przerwało chrobotanie klucza w zamku. Pułkownik z niepokojem obserwował, jak otwierają się drzwi. Wszedł potężnie zbudowany, szczupły oficer radziecki. Miał około czterdziestu pięciu lat, krótkie, siwe włosy i roztaczał atmosferę władzy.

Chrapliwym głosem odezwał się po angielsku do Trautmana:

- Jestem pułkownik Zajsan. Pana znaczek identyfikacyjny mówi, że jest pan Samuelem Trautmanem, pułkownikiem Armii Stanów Zjednoczonych. Jednostka Sił Specjalnych. Czyli odpowiednik naszych grup operacyjnych Specnaz.

Trautman nie odpowiedział.

- Nasza znajomość może mieć dla pana charakter łagodny lub bolesny - ciągnął Rosjanin. - Wybór należy do pana. Mógłbym poinformować moich zwierzchników, że pana schwytaliśmy. Mógłbym pana odesłać do Kabulu. Ale ja nienawidzę tego kraju. Może mi pan pomóc w opuszczeniu go, ale do tego potrzebne mi są od pana informacje... istotne informacje. Będę mógł

wówczas zrobić na moich przełożonych wrażenie. W zamian gwarantuję, że nie poniesie pan żadnych dalszych obrażeń. A więc... zaczynamy. Dlaczego przyjechał pan do Afganistanu? Kto jeszcze ma przekroczyć granicę? Czy potwierdzi pan publicznie, że przysłał pana tutaj rząd? Czy wie pan, gdzie moi żołnierze mogą znaleźć przywódcę rebeliantów, niejakiego Mosaeda Hajdara, i jego bandę morderców? Chciałbym poznać odpowiedzi na te i inne pytania.

- Niech cię piekło pochłonie! - wyjął Trautman.

- Ależ to pan jest w piekle, pułkowniku. Przedstawię panu teraz sierżanta Kurowa.

Do pomieszczenia ociężale wkroczył ogromny żołnierz z ogoloną na łyso czaszką i okrucieństwem w oczach.

- Pan i sierżant Kurow dobrze się poznacie. Zajsan wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Kurow podszedł do Trautmana.

Pięć sekund później Trautman zrozumiał, że Zajsan miał rację.

Ciężki but uderzył go w szczękę. Pułkownik zwymiotował.

Ciężki but zmiażdżył mu jądra.

Trautman zrozumiał, że jest w piekle.

## CZEŚĆ TRZECIA

## Rozdział 1

Stojąc na zalanej słońcem równinie za Peszawarem w Zachodnim Pakistanie, Rambo spoglądał w stronę, gdzie popychało go przeznaczenie. Piętnaście kilometrów na zachód od niego legendarna przełęcz Khyber zygzakiem wspinała się pomiędzy wąskimi występami wysokich na trzysta metrów wapiennych bloków ku pokrytym śniegiem szczytom masywu gór Hindukusz.

A te góry były już w Afganistanie.

Słyszając rozpaczliwe okrzyki Rambo zniżył wzrok i rozejrzał się. Otaczał go chaos. Od czasu inwazji Związku Radzieckiego na Afganistan w 1979 roku 115 tysięcy żołnierzy Armii Czerwonej całkowicie zniszczyło ten kraj, pozbawiając życia około miliona osób, zmuszając do ucieczki do Iranu półtora miliona i trzy miliony tu, do Zachodniego Pakistanu. Większość z owych trzech milionów uchodźców tłoczyła się na każdym możliwym skrawku ziemi wokół miejsca, gdzie stał Rambo. Gazety nazywały to “obozem uchodźców”, ale słowo “obóz” zupełnie nie nadawało się do opisania tego koszmaru.

Trzy miliony uciekinierów. Liczba ta była zbyt wielka, żeby ją objąć rozumem. Ludzie mieszkali w namiotach zmajstrowanych z koców, a i te niepewne schronienia stały tak gęsto, że przejście pomiędzy nimi było prawie niemożliwe. Tak zwane szpitale w większości były punktami pierwszej pomocy, w których stale brakowało rąk do pracy i wyposażenia; po prostu ledwie odgrrodzone od otoczenia place, pozbawione jakiegokolwiek dachu, w których chorzy leżeli ciasno obok siebie, wystawieni na promienie słońca. Rambo dostrzegł dzieci, którym wybuchy urwały kończyny, kobiety, których ciała poparzyły miotacze ognia, starców, których oślepieno. Ranni bojownicy leżeli wpatrując się w niebo, cierpiąc w milczeniu, czasem tylko nagabując lekarzy o skuteczniejszą pomoc w powrocie do zdrowia i do walki.

Cierpienia dotyczyły w równym stopniu dusze, jak ciała. Rolnicy tęsknili za swą ziemią, wieśniacy za swymi domami. Pasterze stracili sens życia, pozbawieni swoich zwierząt. Zawołowane kobiety, przyzwyczajone do ukrywania się przed obcymi, przeżywały udrękę wstydu z powodu ciągłego wystawienia na widok publiczny. Dumny, niezależny lud, pozbawiony godności, jaką dawała samowystarczalność, zmienił się w podmiot dobroczynności, a pusty brzuch zmusił do wyciągania ręki po jałmużnę.

Po lewej ręce Johna ciągnęła się bezkresna kolejka ludzi z kanistrami po benzynie. Stali po wodę, dostarczaną ciężarówkami Czerwonego Krzyża. Po prawej, w równie pozbawionej życia kolejce, stali ludzie z rozsypującymi się koszykami z wikliny. Oni czekali na pochodzące z darów z Zachodu zboże. Poza herbatą i mlekiem w proszku to była cała dieta tych ludzi.

Jedyną ostoję dawała im religia, fanatyczna wiara w islam. Pięć razy na dzień - przed świtem, tuż po południu, późnym popołudniem, tuż po zachodzie słońca i dwie godziny po zmroku



- łączyli się we wspólnej modlitwie. Klękali, kierując twarze w stronę Mekki, dotykając czołami ziemi i modląc się głośno. Najważniejsza część każdej modlitwy była taka sama: Allah-o Akbar. Bóg jest wielki. Nie ma boga poza Allahem.

Nawet w piekle, dopowiedział w myślach Rambo. Przez chwilę nie słyszał modlitwy, tylko jęki i szlochy.

Czuł potrzebę ucieczki, a jednocześnie omal nie opadł na kolana, aby modlić się do boga chrześcijan, Navajo i buddystów, żeby pomógł temu najwyraźniej zapomnianemu ludowi.

Ale jeśli nawet Bóg im nie pomoże, on to zrobi.

Odpokutuje cierpienia cierpieniami.

Zemstą.

Ta myśl pojawiła się nagle i zaskoczyła go. Nie! To nie twoja wojna! Ty już skończyłeś z wojnami! To nie twój interes!

Cóż więc tutaj robisz?

Trautman, pomyślał.

Powtarzając w myślach to nazwisko jak mantrę, odwrócił się od koszmaru.

## Rozdział 2

Obskurny sklepik gnieździł się w bocznej uliczce na przedmieściach Peszawaru. Jego wnętrze było ciemne, a powietrze - mimo że chłodne w porównaniu z atmosferą ulicy - zataęchłe i zalatujące curry. Wysoki, chorobliwie chudy Pakistańczyk za ladą miał kruczoczarne włosy i rozszerzone marihuaną źrenice. Spoglądał na Rambo z mieszaniną chciwości i lęku w oczach.

Ze swej strony Rambo z zaciekawieniem przyglądał się towarom. Ściany od sufitu do podłogi pokryte były bronią niemal wszelkich typów. Strzelby myśliwskie, bazooki, pistolety i karabiny maszynowe, granatniki, rewolwery. Wszystkie one miały dwie cechy wspólne - były przestarzałe i w okropnym stanie. Jedna ściana zawieszona była wyłącznie nożami i szablami.

Handlarz bronią obejrzał dokładnie długi, wygięty nóż spoczywający w pochwie na pasie Johna.

- Ty przyjść w dobre miejsce. Ty chcieć kupić broń?

- Szukam człowieka o imieniu Musa, Handlarz wyprostował się. Jego twarz nabrała podejrzliwego wyrazu.

- Dlaczego ty tu przyjść? Dlaczego ty myśleć ty go tu znaleźć?

- On lubi patrzeć, jak góry rosna.

- A jak rosnać?

- Wtedy jęcza.

Handlarz skinął głową. Mimo prawidłowego hasła i odzewu, wciąż wykazywał ślady podejrzliwości, kiedy zniknął za zasłoną, kryjącą wejście do pokoju z tyłu sklepu.

Rambo zerknął w prawo. Nad stertą kul i lasek leżały wyłożone na wystawie sztuczne ręce i nogi. Rambo poczuł, że coś mu rośnie w gardle, a rysy twarzy nagle mu stwardniały.

Szelest zasłony kazał mu się odwrócić. Z tylnego pomieszczenia wyszedł handlarz bronią, a za nim jakiś mężczyzna o baryłkowatym tułowiu i pociągłej bladej twarzy, znaczonej głębokimi zmarszczkami. Miał gęstą czarną brodę i ciemne uprzejme oczy. Zauważywszy, że Rambo wpatrywał się w sztuczne kończyny, Afgańczyk odezwał się głębokim głosem:

- Ich dużo sprzedawać w mój rodzinny kraj. Ty od Briggs?

Rambo pokiwał głową.

- Ja Musa. A ty się zwać... Rambo? Rambo znów skinął głową.

- Ty i Musa mieć długa podróż. Ty chcieć jeść najpierw?

Rambo zaprzeczył ruchem głowy. Musa wzruszył ramionami.

- Długa podróż.

- Wiesz, gdzie jest amerykański pułkownik?

- Nie. My znaleźć w ten sektor powstańcy. Oni wiedzieć. Chodź. Jeść.

Rambo bez słowa podążył za nim do pokoju na zapleczu.

### Rozdział 3

Pokój był mały i zatęchły. W powietrzu wirowały drobiny kurzu, oświetlone cieniutkimi smugami światła słonecznego, sączącego się przez szpary w kruszących się, ceglanych ścianach.

Zamiast podać Johnowi coś do jedzenia, Musa otworzył skrzynkę.

- Briggs mówić ty tego potrzebować.

Rambo zajrzał do środka. Plastik, detonatory, przewody, zapalniki, baterie.

- Ty się cieszyć, ja mieć nadzieję, i robić dużo głośny hałas - dodał zadowolonym głosem Musa.

- Czy Briggs powiedział ci, czego jeszcze potrzebuję? Musa skinął głową w stronę drugiej skrzynki.

- Strzelby... i to. - Wręczył Johnowi długi płócienny worek.

Rambo otworzył go i zobaczył automatyczny karabinek z dołączonym pod lufą granatnikiem. W kieszeniach worka znalazł zapasowy magazynek, trzy pojemniki z nabojami i pudełko z czterdziestomilimetroowymi granatami, przypominającymi nieco z wyglądu wielkokalibrowe naboje. Zajrzał na spód magazynka i z zadowoleniem stwierdził, że pociski wewnątrz nie mają kalibru 5.56 (typ używany przez NATO i w M-16), lecz 7.62 (typ używany przez Rosjan w ich AK-47).

Dobrze. Briggs dokładnie wykonał instrukcje i przysłał specjalnie przerobiony M-203. Tam, dokąd udawał się

Rambo, istniały niewielkie szansę na zdobycie amunicji NATO, za to łatwo znaleźć mnóstwo amunicji radzieckiej, którą można będzie zastąpić używane przez niego pociski. Ten zmodyfikowany typ broni miał jeszcze jedną zaletę. Strzał z takiego M-203 brzmi jak z AK-47, a nie jak z M-16, a tym samym nie będzie zwracał na Johna uwagi w walce. Rosjanie mogą się nawet zawahać przed otwarciem do niego ognia, niepewni, czy przypadkiem nie wzięli za wroga jednego ze swoich.

Rambo włożył broń i amunicję z powrotem do worka.

- Jestem gotowy.

- Jeszcze nie.

Rambo zmarszczył brwi.

- Briggs przysłać ci coś jeszcze.

- Co? Nie rozumiem. To wszystko, o co prosiłem.

- Ja nie rozumiem, także. Briggs powiedziec, on ci przysłać coś stare, ale nowe. Mówić ty wiedzieć, co znaczyć. To mówiąc, Musa wręczył mu jeszcze dwa worki

Czoło Johna pokryło się zmarszczkami. Worki były mniejsze od tego, w którym spoczywał M-203. Oceniał, że mają jakieś dwie stopy długości. Zaciekawiony, zerwał rzepy mocujące pokrywy worków.

Na widok zawartości uśmiechnął się powoli.

Z pierwszego wyjął uchwyt i dwa ramiona rozłożonego łuku. Początkowo sądził, że jest to identyczna broń jak ta, której używał rok wcześniej, kiedy powrócił do Wietnamu, żeby wyciągnąć z obozu amerykańskich jeńców wojennych.

Łuk był czarny. Uchwyt wykonano z magnezu, a ramiona z włókna węglowego. Rozszcepiony koniec każdego z ramion zaopatrzono w krzywkowe kółka mimośrodowe. Kółka łączyły się ze sobą długą cięciwą, która dwukrotnie biegła pomiędzy końcami ramion. Sprawiało to wrażenie, że łuk ma trzy cięciwy, choć w rzeczywistości tylko jednej używano do osadzenia strzały.

Ten system krzywkowych kółek mimośrodkowych w połączeniu z linką cięciwy służył dwóm celom. Po pierwsze - przy napinaniu łuku kółka działając jak zwykły blok zmniejszały siłę potrzebną do naciągnięcia cięciwy, w wyniku czego siła czterdziestu pięciu kilogramów zredukowana była do połowy. Po drugie jednak - kiedy łucznik zwalniał cięciwę, kółka wracały do swego początkowego ustawienia, podwajając siłę wyrzucającą strzałę. W ten sposób strzała raczej "akceptowała" wyrzut, niż mu się poddawała. W rezultacie osiągało się minimum wysiłku ze strony łuczniczki i maksimum szybkości i dokładności strzału.

Ponieważ w pierwszej fazie system ten zmniejszał wkład energii, a w drugiej powodował sprzężenie sił, broń takiego typu nazwano "łukiem sprzężonym". Kiedy się go rozłożyło, jego części składowe - uchwyt i ramiona - można było wygodnie transportować w-długim na sześćdziesiąt centymetrów pokrowcu. Złożenie go zaś było równie niekłopotliwe i wygodne, jak transport. Proste, ciche, genialne śmiertelne narzędzie. ~

Oglądając łuk, Rambo musiał zrewidować swoje początkowe wrażenie, jakoby była to broń identyczna z tą, której używał rok wcześniej w Wietnamie. Zauważył bowiem kilka różnic. Po złożeniu ta wersja miała tylko metr długości, o dziesięć centymetrów mniej od poprzedniego modelu, co ułatwiało transport w walce. Kółka były większe, co nadawało większej mocy. Poza tym, z boku uchwytu zamocowano coś w rodzaju kołczanu, pozwalającego doczepić bezpośrednio do łuku siedem strzał.

Najciekawszą jednak nowinką było pojawienie się rynienki w części, na której układa się strzałę, czyli szczyrbiny strzeleckiej. Rynienka ta stanowiła wydłużenie szczyrbiny i tym samym umożliwiało użycie pocisków o piętnaście centymetrów krótszych niż zwykle, bez konieczności rezygnacji z rozpiętości łuku czy też odciągu cięciwy.

Rambo szybko sprawdził jeszcze zawartość drugiego worka i znalazł stosowny zapas złożonych strzał. Podobnie jak te, których używał rok wcześniej w Wietnamie i jak sam łuk, były czarne - a to dla kamuflażu, aby w nocy były niewidoczne, a w ciągu dnia nie odbijały promieni słońca. Zrobiono je z duraluminium, by w przeciwieństwie do drewna nie paczyły się od gorąca. Ich lotki wykonano z nylonu, trwalszego niż pióra.

Mimo jednak dużych podobieństw do używanych już wcześniej strzał, Rambo dostrzegł istotne różnice. Te były o piętnaście centymetrów krótsze, więc łatwiejsze w transporcie. Poza tym strzały używane w Wietnamie składając trzeba było skręcić, co zabierało mnóstwo cennego czasu, te zaś posiadały wewnątrz kurczliwą linkę. Cała więc operacja złożenia strzały polegała na ustawieniu obu jej części w jednej linii, po czym linka - kurcząc się - sama spajała męską i żeńską końcówkę ze sobą.

W worku, pod strzałami, znajdowało się jeszcze plastikowe pudełko, którego wewnątrz miało miękką wykładkę. Wypełnione było czworokanciastymi, ostrymi jak żyłki, ząbkowanymi grotami o długości ośmiu i szerokości dwóch i pół centymetra, czarnymi jak łuk i bełty. Można je było nakręcić na gwintowane końce strzał. Jeśli zaś łucznik nie chciał używać grotów, miał do wyboru do zamocowania na końcach strzał również ułożone w pudełku stożkowate główki z napisem "Granat" lub "Gaz łzawiący".

Łuk i strzały wymyślono sto tysięcy lat temu. Przez krótki moment Rambo wspomniiał, jak medytował przed napięciem łuku zen w buddyjskim klasztorze w Tajlandii. Zaraz też mignęły mu w pamięci potworne przeżycia związane z poprzednim modelem łuku sprężonego, kiedy wrócił do piekła Wietnamu.

Przećwiczywszy kilkakrotnie składanie i rozkładanie nowszej wersji tej antycznej, a przecież tak nowoczesnej broni, znów się uśmiechnął.

Odwrócił się do Musy.

- Taaak. Briggs miał rację. To jest coś starego, a jednak nowego.

- Ja ciągle nie rozumiem.

- Zrozumiesz.

Musa jednak nie uśmiechnął się w odpowiedzi na wesołość Johna. Wyglądał na zakłopotanego.

- Co się stało? - spytał Rambo.

Musa wskazał ręką dzinsy i koszulę Rambo.

- Musieć zmienić ubranie. Gdzie my iść, ty wyglądać dziwnie, tak?

Rambo zgodził się z Afgańczykiem i zaczął rozpinać guziki koszuli. Musa wciąż się nie rozluźniał.

- O co jeszcze chodzi?

Musa wpatrywał się w buddyjski medalion, zwisający z szyi Rambo. Medalion Co.

- Gdzie my iść, wszyscy muzułman. Nie buddyjski.

- Ale ten medalion jest dla mnie bardzo ważny! - Muzułman nie lubić Buddy!

Rambo spiął się w duchu. Wiedział, że Musa ma rację. Żołnierz musi być kameleonem, musi umieć wtopić się w zwyczaje ludzi, których pomocy potrzebuje. Ale zdjęcie z szyi medalionu Co to zdrada jej pamięci, to potwierdzenie jej śmierci.

Z drugiej jednak strony, jeśli go nie zdejmie, może spowodować własną śmierć.

Odetchnął z trudem. Przełamując niechęć, odwiązał rzemyk, zdjął medalion i schował go do kieszeni. Natychmiast poczuł się nagi.

- Dobrze - powiedział Musa. - Teraz my jeść.

## Rozdział 4

Koń, na którym jechał Rambo, miał grube, mocne nogi. Pochodził z rasy wyhodowanej specjalnie do znoszenia trudów podróży po stromych szlakach górskich. John w prawej ręce trzymał wodze, a w lewej linę, na której prowadził ciężko obciążonego konia jucznego. Podążający przodem Musa podróżował w ten sam sposób.

Obaj mężczyźni byli ubrani w tradycyjny afgański strój - obszerne spodnie i koszule z długimi połami, zwisającymi daleko poza biodra. Musa miał typowe dla mieszkańców tych terenów nakrycie głowy - ciasno zwinięty pas materiału, otaczający ściśle całą górną część głowy, zwieńczony miękkim kawałkiem wełny, Rambo zaś niczym włosów nie zakrył. Musa był w sandałach, Rambo miał na nogach ciężkie wojskowe buty. Po jednej stronie pasa Johna wisiał jego ogromny nóż, po drugiej worki zawierające rozłożony łuk i strzały. Pokrowiec z karabinem przywiązany był do siodła.

Mimo napięcia, z jakim myślał o tym, co miał już wkrótce napotkać, Rambo z przyjemnością oddychał słodkawym, zimnym górskim powietrzem. Jego aromat w połączeniu z rzeźbą krajobrazu przywodziły na myśl wycieczki, jakie odbywał w chłopięcych latach w górach północnej Arizony.

Kiedy wąski szlak zaczął zakręcać w górę, wiodąc pomiędzy stromymi, porośniętymi jodłami stokami, Musa odwrócił się i zawołał:

- Ja ci pokazać najlepszy szlaki. Ruski nie znaleźć. Wspaniały!
- Myślałem, że pójdziemy przez przełęcz Khyber.
- Khyber obserwowany przez Ruski. Ten droga lepszy. Trudniejszy. Ale lepszy.

Szlak stał się nagle bardzo stromy.

- Ja ci powiedzieć o Khyber - powiedział Musa. Najwięcej bitwy tam niż gdzie indziej zawsze. Najwięcej krwawe. W ostatni wiek Brytyjski dwa razy próbować podbić Afganistan. Pierwszy raz oni przegrać, więc przyjsć znowu. Drugi raz, oni dostać dobrze w dupa. Oni uciekać. Afgański wojownik czekać na skały Khyber. Niewiele, mało ludzi. Ale oni zabić szesnaście tysięcy Brytyjski żołnierze.

Szesnaście tysięcy? - pomyślał Rambo. Wszyscy jednego dnia, w jednym miejscu? Pokręcił głową w zamyśleniu. Trudno było to objąć rozumem.

Podążając szlakiem, przekroczyli grań i zaczęli schodzić stromą, krętą ścieżką w stronę większej ilości jodeł, porastających skalistą dolinę. Po drugiej stronie doliny wyrastał przeogromny masyw Hindukusz, lśniący pokrytymi śniegiem na szczytach sięgających siedmiu i pół tysiąca metrów.

Ale Musa zdawał się w ogóle nie zwracać na nie uwagi, pochłonięty swoimi słowami.



- Więcej od dwa tysiąc lat wojna. Afgański nigdy nie przegrać. Nie pobity. Twarda naród. Twarda ludzie, - Nie przerywając opowieści, Musa wprowadził konie pomiędzy dwa głązy, bez wysiłku odnajdując najlepsze miejsce do skręcenia w dół, do kolejnej nitki szlaku. - Aleksander Wielki i Dżyngis Chan, Perski, Mongoł, Brytyjski, a teraz Ruski, oni wszyscy próbować podbić moja kraj. Ale oni tego nie zrobić.

Wyszli na rozległą łąkę.

- Ty nie mówić dużo - powiedział Musa. - Dlaczego?

- Zostawiam to ludziom, którzy to robią lepiej.

- Jak ja?

- Jak ty - odparł z uśmiechem Rambo.

Otoczenie znów się zmieniło. Teraz szli pomiędzy drzewami.

- Jest sławny modlitwa. Ty chciałby usłyszeć?

- Czemu nie?

- Chronić nas przed jad od kobra, szczęki od tygrys i przed zemsta od Afgański. Ty rozumieć modlitwa?

- Zdaje się, że wy, chłopaki, się nie obcyndalacie.

- Prawda dokładny. Ruski bombardować nasz domy, pryskać trucizna na nasz zboże, gwałcić nasza kobiety, palić nasza dzieci, strzelać i zabijać do nasza zwierzęta, torturować nasza młody mężczyźni. Mówi ludzie, że w Ouarghai oni powiesić kobiety za nogi na drzewa i trenować rzut bagnety. W prowincja Logar, mówić ludzie, oni wiązać stara ludzie z wieś, rzucić ich na ziemia i rozjechać czołgiem. Każdy rok my walczyć mocniej. Każdy rok więcej Ruski umierać. My ich zmusić, oni żałować, że tu przyjsć. Oni się nauczyć o zemsta od Afgański. Ty nam pomóc być może?

- Nie - odparł Rambo. - Ja już swoje wojny odbębniłem. - Starał się nie uciec wzrokiem przed świdrującym spojrzeniem Musy. - Ja tu jestem tylko po to, żeby odnaleźć przyjaciela.

- No - mruknął Musa. - Ty nie Afgański. Dlaczego ty by miał rozumieć?

## Rozdział 5

Wczesnym popołudniem przekroczyli kolejną grań i zaczęli sprowadzać przestraszone konie po stromej, niemal niewidocznej ścieżce, opadającej w stronę wąwozu, który według szacunku Johna miał co najmniej półtora kilometra głębokości. Poruszone końskimi kopytami kamienie staczały się przez krawędź i spadały do rozszalałego strumienia. Rambo szedł przed swym koniem, gładząc go po pysku i uspokajająco przemawiając do jucznego wierzchowca.

- Ty dobry z konie - pochwalił go Musa.

- Wychowałem się z nimi. Mój wuj je hodował. Nauczył mnie, jak się z nimi obchodzić.

- On cię dobrze nauczył. Jeśli Allah zechce i ty wyratować twój przyjaciel, ty musi powiedzieć do twój wuj, że on ci bardzo pomagać.

- Mój wuj zmarł dwa lata temu.

- Przykro. Ruski zastrzelić mój wuj jeden miesiąc przed ostatni.

Szlak nagle się rozszerzył. Rambo ukrył swą reakcję na słowa Musy i podążył za nim, kiedy ścieżka odbiła od krawędzi wąwozu, prowadząc na łagodne, pokryte poszarpanymi jodłami zbocze.

Musa przyjrzał się słońcu, które przebyło już trzy czwarte nieboskłonu. Zatrzymał konia, zeskoczył i przywiązał zwierzę do drzewa. Z siodła zdjął dywanik i rozpostarł go na kawałku górskiej trawy.

Rambo również zsiadł i spętał konia, po czym odwrócił się, żeby się nieco oddalić i nie przeszkadzać Afgańczykowi w modlitwie.

- Ty nie modlić się często? - zatrzymało go pytanie Musy.

- Inaczej niż ty. Ja medytuję. Myślę o cierpieniu i o tym, jak go uniknąć.

- To głupie. Cierpienie nie można uniknąć. Jeśli cierpienie przyjsć, to musieć być wola od Allah. Wszystko wola od Allah.

- A Rosjanie, czy oni też są tu z woli Allaha?

- To próba dla moja lud. Jeśli Allah chcieć, my zmusieć najeźdźcy do odejść. Ale my musieć udowodnić, że my godni mieć wola od Allah, więc my walczyć.

- A czy Allah chciał śmierci twój wuj?

- Allah chcieć wszystko. Allah pozwolić mój wuj umrzeć, żeby próbować mnie. Jak ty, ja dużo myśleć o cierpieniu. Ale ja nie myśleć, że to wina od Allah. Ja myśleć, że to wina od Ruski. To oni zabić mój wuj. Allah tylko im na to pozwolić.

- Brzmi to bardzo skomplikowanie.

- Nie, to być proste. Życie to próba ile ty wart - Musa uważnie się rozglądał, chcąc się dokładnie zorientować w kierunkach. Potem ukląkł z twarzą w stronę Mekki. Dotykając czołem dywanika, modlił się w głos.

- Allah-o Akbar. Bóg jest wielki. Nie ma boga poza Allahem, a Muhammad jest jego prorokiem.

Rambo się oddalił.

## Rozdział 6

Kiedy słońce zaczynało się chować za górami, zdołali zejść do zadrzewionej doliny. Przeszli w bród przez płytki, rozmigotany strumień i zatrzymali się obok niskiej, zbitej z bali chaty. Z jej komina unosił się dym, a w zagrodzie na jej tyłach stało kilka koni, na oko wymęczonych do granic możliwości. Rambo znów wrócił pamięcią do młodych lat w Arizonie, gdzie również spotykał takie chaty.

- My tu pić herbata - powiedział Musa.

- Co? Herbatę?

- Afgański musi mieć swój herbata. To dobra zwyczaj. Potem my spać.

- Ale nie ma na to czasu! Musimy iść dalej!

- W noc? My spać z góra. Pułkownik mieć kłopoty, bo jego przewodnik iść w noc. Herbata być lepszy pomysł.

Wprowadzili konie do zagrody, rozsiodłali je i rozjuczylili, napoili je i nakarmili. Zwierzęta z zaciekawieniem rozdymały nozdrza, wężąc nieznaną zapach pozostałych koni.

- Ty tu czekać - powiedział Musa przy drzwiach chaty.

Rambo patrzył za nim, po czym usłyszał, jak Musa pozdrawia kogoś i coś tłumaczy. W odpowiedzi zabrzmiał pomruk kilku głosów.

Musa gestem ręki kazał mu wejść.

Pomieszczenie było jeszcze mniejsze i niższe, niż wyglądało z zewnątrz. Miało niecałe cztery na pięć metrów i nagie ściany. Między starymi kobiercami, pokrywającymi podłogę, prześwitywała goła ziemia. Z kiepsko skonstruowanego paleniska wydobywał się rodzynekowy zapach palących się sosnowych szczap.

Skupiona przy ogniu szóstka Afgańczyków skierowała na przybyszy podejrzliwe spojrzenia. Pięciu z nich miało pod trzydziestkę, szósty był starym, ale bardzo krzepkim mężczyzną i wyglądał na ich przywódcę. Ubrani byli w takie same obszerne spodnie i długie koszule, jakie miał na sobie Rambo, ich głowy zaś okrywały zawoje identyczne z nakryciem głowy Musy. Starzec miał na sobie dodatkowo wełnianą kamizelę.

Trzymając w dłoniach kubki z herbatą, popatrzyli taksująco na Johna, po czym zaczęli między sobą rozmawiać - cicho, ale bardzo żywo. Pasy z amunicją i zaniedbane strzelby Enfielda leżały obok nich.

Rambo zauważył, że jeden z młodych mężczyzn ma całe czoło pokryte bliznami po oparzeniach, a starcowi brakuje trzech palców u lewej dłoni.

- Oni nie lubić obcy, szczególnie niewierny - wyjaśnił mu Musa. - Ja opowiedzieć, ty nie zwykły niewierny, można ufać, ty przyjsz zabijać Ruski.

- Żeby uratować pułkownika - poprawił go Rambo.

- Ja zgiąć prawda to lepiej dla ciebie. Dobrze trzymać strzelba w pokrowiec.

Rambo bez słowa odstawił pokrowce z karabinem, łukiem i strzałami pod ścianę przy drzwiach.

- Oni to mudżahedin - mówił dalej Musa, siadając naprzeciw Afgańczyków. - Święty wojownicy. Żołnierz od Allah. Wszystkie powstańców nazywać mudżahedin. - Otworzył swój plecak i zaczął przygotowywać herbatę. - Oni walczyć dżihad, święta wojna przeciw Ruski. W nasza święta księga, Koran, Allah dawać pozwolenie dla walka przeciw tylko dwa wróg - niewierny i takie, nawet muzułman, kto nieuczciwy wyrzucać nas z dom. Ruski nie tylko niewierne. Oni ateista. Obrzydliwość. To święta wojna. Ci mudżahedin wracać z walka, jechać do Pakistan po zapasy i wracać do wojna.

- Ale czy Rosjanie nie przychodzą w góry?

- Cała czas.

- To dlaczego ci ludzie nie wystawili straży? Mogliśmy być Rosjanami!

- Może być oni mieć straż. Może być on uważać nas my nie groźny i puścić nas.

- Sześć koni w zagrodzie. Sześciu ludzi tutaj. Nie wygląda mi na to, żeby wystawili straż.

- Święty wojownik nie tak, jak zwykła żołnierz. Ufać w Bóg.

Kiedy mudżahedini przestali rozmawiać, jeden z nich zaczął śpiewać. Z początku jego głos był cichy i miękki, ale stopniowo stawał się coraz głośniejszy, a wówczas dołączyli do niego inni. Melodia była pełna grozy, śpiew energiczny choć smutny, wysoki, rytmiczny, a kilka nut powtarzało się monotonnie. Głosy brzmiały podobnie do nastrojonej po arabsku mandoliny.

- Oni błagać Allah, żeby być męczennik - wyjaśnił Musa. - Umrzeć w święta wojna to najwyższa zaszczyt. Męczennikowie iść natychmiast do raj. Przyjemność wszelka tam czekać na nie.

- Sens wojny polega na tym żeby pozostać przy życiu i zabijać wrogów.

- Oh, oni zabić mnóstwo Ruski - odparł Musa. Mudżahedin nie być męczennik, jak wróg nie umrzeć z nim razem. Afgański mieć święty dzień dla czcic dzielna śmierć. Dzień od męczennik.

W miarę, jak pieśń się rozwijała, Rambo coraz bardziej się denerwował. Głosy były z pewnością słyszalne nie tylko na zewnątrz chaty, ale też daleko w dolinie. A jeśli miał rację i mudżahedini nie wystawili warty, jeśli pieśń usłyszy rosyjski patrol...

- Mam nadzieję, że ich życzenie spełni się innym razem - powiedział. - Nie pali mi się do zostania męczennikiem.

- In sza' Allah - odpowiedział Musa.

- Co to znaczy?

- Jak Bóg zechceć. Teraz robić herbata. Jeść i odpoczywać. Długi dzień jutro.

## Rozdział 7

W oślepiających promieniach południowego słońca wyjechali na zadrzewiony wierzchołek i ujrzeni w dole przed sobą zupełnie pustą równinę. Jodły przechodziły szybko w skarłowaciałe, suche, splątane zarośla. Jeszcze niżej trawa kończyła się nagle, ustępując jałowemu piachowi. Całe to ponure pustkowie wznosiło się i opadało, jakby ugniatane olbrzymimi palcami.

- To być kiedyś pole- powiedział dziwnym głosem Musa. - Ruski rzucać chemia. Zabijać zboże.

Kiedy już zeszli na dół i ruszyli pustkowie, Musa nagle wskazał dłonią na niebo gdzieś nad końcem piaszczystego terenu. Rambo zmrużył oczy i wytyczył wzrok, niepewny, co takiego Musa chce mu pokazać.

Nagle zrozumiał i zachmurzył się. Daleko przed nimi błękit nieba zaczął nabierać szarej barwy. Białe obłoki pociemniały. Z ich ciężkich nagle brzuchów zaczęły opadać do ziemi czarne kolumny, wirując, liżąc piach i wsysając go w powietrze.

- Czarny wiatr iść prędko! - powiedział nerwowo Musa. - Tu zawsze coś trudne się pojawiać. My musieć stop i przygotować się.

Po tym wstępie Musa zaczął szybko wyrzucać z siebie instrukcje, które Rambo bez zwłoki i gadania wypełniał. W pośpiechu podjechali do zagłębienia, rozjuczyli konie i poustawiali swe bagaże w taki sposób, że tworzyły boki kwadratu. Potem zmusili konie do położenia się wewnątrz tego kwadratu, Kiedy jeden z koni nie chciał się podporządkować, Rambo otoczył jego kark ramieniem i zapaśniczym chwytem położył zwierzę na ziemi. Następnie okryli konie kocami, których końce przymocowali do siodła i skrzyń, otaczających to zaimprovizowane schronienie.

W powietrzu pojawiły się pierwsze wirujące tumany kurzu. Odległy, jękliwy ryk nabierał mocy.

- Szybko! - zakomenderował Musa.

Nie zwlekając wczłógali się pod koce i położyli na brzuchach pomiędzy swymi końmi, z całej siły przyciskając ramionami ich szyje do ziemi, aby je uspokoić i zmusić do leżenia. Mając wciąż wolne dłonie, mogli je teraz odwrócić wewnętrzną stroną do góry i zacisnąwszy mocno materiał, trzymać koce nieruchomo nad głowami.

Oddychanie stawało się coraz trudniejsze. Półmrok, jaki panował pod kocami, przeszedł w zupełną ciemność.

Rambo ledwie dosłyszał stłumiony głos Musy.

- Afganistan kiedyś zwać Yaghistan. -Co?

- To znaczyć "kraj niemożliwa do opanować".

- A co to ma wspólnego z...

- "Kraj wolna".
  - Nie gadaj teraz! Oszczędzaj siły.
  - My pokazać Ruski prawda o nazwa nasza kraj.
  - Powiedziałem: bądź cicho!
  - Ale Yaghistan znaczyć też...
  - Zamknij się!
  - ..."kraj poza kontrola".
- Czarny wiatr uderzył z potwornym rykiem.



## CZEŚĆ CZWARTA

## Rozdział 1

Już sam nie milknący ryk był straszliwą torturą. Ale w połączeniu z impetem huraganu zadawał cierpienia nie do wytrzymania. Rambo w każdej sekundzie czuł straszną siłę, dociskającą go do ziemi, a jednocześnie próbującą go od niej odessać. Zacisnął dłonie na kocu tak mocno, jak tylko potrafił, szepcząc jednocześnie uspokajające słowa do koni i wciąż trzymając je przy ziemi. Na powierzchni koca zaczął się zbierać piach, łącząc swój ciężar z impetem huraganu. W schronieniu zrobiło się gorąco, a powietrze szybko zatęchło i przestało dostarczać tlenu zmęczonym płucom. Rambo poczuł, że zaczynają mu się mącić myśli. Nagle ujrzał twarz Co, kiedy umierała na jego rękach, cała poszarpana kulami karabinowymi. Rozmazany obraz dziewczyny płynnie zmienił się w sylwetkę Trautmana, stojącego w drzwiach kuźni, jak wtedy, gdy widzieli się po raz ostatni, kiedy to Rambo odmówił przysługi, o jaką pułkownik go prosił. Gdzieś daleko rozbrzmiało echo słów Trautmana. "Obiecałem ci. Nic osobistego". Rambo poczuł, że ma ochotę krzyknąć. Nic osobistego? Cholera! To było tak osobiste, jak to tylko możliwe! Musi uratować...

Tak już przywykł do wycia wiatru, że słyszał je nawet wtedy, gdy ucichło. Nagle jednak zdał sobie sprawę, że słyszy jedynie ciężkie, rżące oddechy koni i spazmatyczną, świszczącą pracę swoich płuc. Dzwoniło mu w uszach.

Oddychać. Teraz. Już. Oddychać!

Puścił koc. Ale pokrywała go tak ciężka warstwa piachu, że nacisk nie zmienił się ani trochę. Rambo zdjął ramiona z końskich karków i trącąc zwierzęta łokciami, chciał je skłonić, by wstały. Konie jednak ledwie się poruszyły. Spróbował więc wyczołgać się tyłem spod koca.

Nie mógł.

Usiłował się podnieść.

Nie zdołał.

Brak powietrza. Był za słaby.

Stopniowo podciągnął pod siebie kolana, wparł szeroko rozpostarte dłonie w piach i prężąc plecy, spróbował choć poruszyć koc. Nic z tego. Wyteżył wszystkie siły, ponawiając próbę, ale bez rezultatów.

Udusimy się!

Konie już ledwo rżęły. Rambo sam był o krok od utraty przytomności. Czuł, że płoną mu płuca.

Nie!

Zwalczając przemożną chęć położenia się na ziemi i zaśnięcia, z bolesną powolnością i ogromnym wysiłkiem podciągnął koszulę ponad biodra. Teraz już zupełnie pozbawiony oddechu,

nie tracił czasu na próby zdobycia choć łyku powietrza. Skoncentrował się na jednym tylko celu, skierował całą resztę energii na jedno zadanie.

Nóż. Musi uchwycić nóż. Wyciągnąć go z pochwy. Przeciąć koc.

Kiedy wreszcie mu się to udało, piach zasypał mu głowę, wypełniając mu uszy, miażdżąc oczy i policzki. Konwulsyjnymi ruchami John zagarniał piach za siebie i pod siebie, wijąc się, przężąc i rozpychając. I cały czas napinając mięśnie skurczonych pod brzuchem nóg, pchał ciało w górę, Jego skatowane wysiłkiem i brakiem oddechu płuca buntowały się, pogłębiając cierpienia. Rambo jeszcze przez chwilę walczył z nimi, ale kiedy dług tlenowy dał znać o sobie, a świadomość poczęła zanikać, odruchy zwyciężyły. Wciągnął do płuc piach.

I wystrzelił ze swego grobu w pełne słońce, tak jasne i oślepiające, że poczuł się, jakby wbito mu w oczy igły. Wykaszłał z płuc piasek.

Zgięty w pół, zwymiotował.

Wyprostował się i zawył.

Wydawało mu się, że nigdy nie przestanie. Krzyk trwał i trwał, rozdzierając gardło. Nagle jednak John zrozumiał, co go jeszcze czeka, i umilkł. Wydostał się spod metrowej warstwy piachu! A przecież Musa i konie są, wciąż pod nią! Zginą, jeśli...

Jego ruchy były pełne szaleństwa. Potężnymi szarpnięciami odrzucał piach, zagarniając go raz za razem złożonymi ramionami. Potem zaczął kopać jak pies, wyrzucając piasek między nogami. Z triumfalnym jękiem dokopał się do koca, złapał rozcięty kawałek materiału i pociągnął do góry, odsłaniając pysk jednego z koni. Szarpnął bardziej w lewo i tym razem ukazała się głowa Musy, dociśnięta twarzą do ziemi.

Afgańczyk nie oddychał.

- Musaaa!!!

Rambo gwałtownie zgarnął piach z ciała przewodnika, odsłaniając przy okazji bok innego konia. Ciągnąc z całej siły; wywłókł Afgańczyka z grobu i przewrócił go na plecy. Zwykle śniada twarz Musy była szara. Oczy miał zamknięte, a jego klatka piersiowa się nie poruszała.

John zacisnął ręce na żebrach Musy, starając się zmusić jego płuca do pracy. Otworzył mu usta i sprawdził, czy nie są zatkane piachem, po czym pochylił się nad Afgańczykiem i dmuchnął mu z całych sił prosto w gardło. I jeszcze raz. I jeszcze.

I jeszcze.

I...

Musa zakaszłał.

Rambo powtórzył jeszcze raz sztuczne oddychanie, tym razem bardziej energicznie.

Musa znów zakaszłał. Jego pierś się uniosła, wysysając powietrze z płuc Johna. Kiedy Rambo znów przyłożył usta do twarzy Afgańczyka, Musa uniósł dłoń i słabym gestem powstrzymał go. Oddychał teraz głębiej, świszcząc, urywanie, chciwie.

Pozostawiwszy Musę samemu sobie, Rambo rzucił się ponownie do ledwo rozgrzebanej kupy piachu. Przedtem zdołał odkopać pysk jednego konia, teraz szaleńczo starał się odsłonić pozostałe.

Zmordowany katorżniczą pracą, uważnie obejrzał nozdrza zwierząt. Koce przynajmniej zapobiegły zachłyśnięciu się piachem. Nozdrza dwóch koni lekko drżały. Pozostałe dwa wierzchowce nie dawały znaków życia.

Jeszcze raz wrócił do kopania, żeby odkryć ciała zwierząt, a kiedy wreszcie zdołał usunąć cały kopiec, opadł bezsilnie na plecy. Obok leżał Musa, oddychając łapczywie, całymi płucami, wzdychając przy każdym wydechu.

- Taka cudowna rzecz - odezwał się wreszcie Afgańczyk. - Taki dar od Allah. Oddychać.

Dłonie Johna krwawiły. Ale w tych okolicznościach nawet ból sprawiał przyjemność. Uniósł się na łokciach i przyjrzał się koniom.

Dwa nie żyły. Boki pozostałych dwóch unosiły się i opadały w nierównym oddechu. Rambo podczołgał się do bukłaka, który udało mu się odnaleźć obok zwierząt, i wlał trochę wody do pysków koni. Ich języki natychmiast zaczęły oblizywać wargi. John spróbował skłonić zwierzęta do powstania.

Opierały się. Lekko pociągnął za wodze. Jeśli tylko nie miały ochoty wstać, to pół biedy. Ale jeśli nie mogły...? Jeśli... Ale konie podniosły się z niechęcią. Rambo wyciągnął z torby metalową miskę, napełnił ją wodą i napił je po kolei. Postanowił nie dawać im na razie więcej wody, żeby się nie pochorowały.

Pozostała do zrobienia jeszcze tylko jedna rzecz, a znużenie sprawiło, że wydała mu się najtrudniejszym zadaniem w życiu. Musiał przywiązać konie do wystających spod piachu, niezupełnie jeszcze odkopanych siodła. Kiedy tego dokonał, opadł obok Musy i podał mu bukłak.

- Nie - odparł słabo Afgańczyk. - Ty mi uratować życie. Pić ty pierwszy.

Rambo się nie kłócił. Przytknął bukłak do ust i wlał w spieczone gardło potężny łyk wody. Ocierając z brody krople, podał bukłak przewodnikowi, który tym razem chwycił go łapczywie.

- Mieliliśmy szczęście - powiedział Rambo. - Omal nie zabrakło mi sił, żeby...

- Nie, nie szczęście - przerwał mu Musa. - Allah chce, żeby ty mieć siła.

- A więc podziękuj Mu w moim imieniu.

- Dlaczego ty mu sam nie podziękować?

- Nie umiem.

- Ja ciebie nauczyć?

- Może.

## Rozdział 2

O świcie byli już na tyle wypoczęci, aby ruszać dalej. Pod opieką Johna konie odzyskały siły. Musa odprawił modły, potem razem zjedli i zakopali bagaże, jakie niosły padłe konie. Musa oznaczył miejsce sporym kamieniem, ale wyglądał na zaniepokojonego.

- Jeśli czarny wiatr nadejść, zanim my wrócimy, zasypać skała. My nigdy nie znajemy ten miejsce.

Wsiedli na konie i ruszyli w drogę.

Pustkowie stawało się coraz bardziej ponure. Pojawiły się leje po bombach, a krawędzie mijanych skał często były poczerńnięte i pokruszone. Gdzieś leżały szkielety bydła. Potem minęli kilka wypalonych wraków radzieckich czołgów i transporterów opancerzonych.

Kiedy dojechali do końca płaskowyżu i znaleźli się wśród postrzępionych skał podnóża gór, Rambo dostrzegł coś, czego jeszcze nigdy nie widział. Tak go to zaciekawiło, że aż zsiadł z konia, żeby się lepiej przyjrzeć. Przed nim, na zboczu góry, leżały porozrzucane w nieładzie małe zielone przedmioty. Były ich setki. Wyglądały na zabawki, przypominały bąki, jakimi się bawił w dzieciństwie.

Podprowadził bliżej konia i pochylił się, żeby podnieść jeden z nich.

- Nie! - krzyknął za nim Musa.

Strach w głosie Afgańczyka sprawił, że Rambo zamarł w bezruchu, z dłonią tuż nad zabawką.

Musa szarpnięciem zatrzymał konia obok Johna i zeskoczył z siodła.

- Patrz!

Z niezwykłą delikatnością podniósł zabawkę i obejrzał jak jakiegoś odrażającego robala. Potem ostrożnie odrzucił zabawkę w stronę, skąd przyszli.

Zabawka wybuchła z rykiem i silnym błyskiem, wyrzucając w powietrze odłamki i kamienie.

Rambo uspokoił przestraszonego konia.

- Wróg zostawiać zabawka dla dzieci - powiedział Musa. - Zabawka zielony, kolor od islam. Dzieci wierzyć. Oni bawić się bąki. Bum! Ręka nie ma, noga nie ma. Wszędzie być takie. Ruski nie chce zabijać dzieci. Chce ranny. Ranny w Afganistan znaczy umrzeć. Powoli. Bardzo powoli śmierć.

Rambo poczuł odrazę.

- Ty uratować moja życie - powiedział Musa. - Teraz ja uratować twoja.

- Dobry z nas zespół.

- In sza' Allah.

- Taaak - mruknął Rambo. - Jeśli Bóg zechce.

- Widzi? Ty się uczyć.

### Rozdział 3

Chcę, żebyś mnie uczył - powiedział Rambo. Musa rozpromienił się i ściągnął wodze. - O islam?

- Mówić po afgańsku. Musa pokręcił głową.

- Wiem, że w krótkim czasie nie zdołam się nauczyć tyle, żeby mówić dobrze - nalegał Rambo. - Ale jeśli będę rozumiał choć podstawowe słowa, będę mógł...

Urwał, bo Musa wciąż kręcił głową.

- W Afganistan dziesięć narodowości. Osiem różna język i trzydzieści dwa dialekt. Nie ma taki jak "mówić afgański".

Rambo przypomniał sobie, co Musa powiedział, kiedy nadciągał czarny wiatr. "Kraj poza kontrolą".

- A czy są jakieś języki używane częściej niż inne?

- Dwa. Pusztu i dari.

- A więc naucz mnie kilku słów w jednym z nich. Odległe, niejasne echo przeszło nagle w potężny ryk.

Rambo natychmiast ściągnął wodze i nastawił uszu, usiłując zorientować się, z której strony nadciąga. Był pewny, że to kolejny czarny wiatr. :

Ale wyteżywszy słuch rozpoznał wśród ryku rytmiczne łup-łup-łup-łup i natychmiast zrozumiał, że hałas ten powoduje coś stokroć gorszego niż najczarniejszy z wiatrów.

Spoza górskiego masywu wyleciały na czyste niebo przed nimi dwa radzieckie śmigłowce i pędziły niepowstrzymanie nad pustkowiem. MI-24, opływowe latające czołgi ze skrzydłami i groteskowo ukształtowanym uzbrojeniem podwieszonym pod spodem.

Rambo zeskoczył z konia i powłókł go biegiem pod osłonę skupiska sporych skał. Musa natychmiast poszedł w jego ślady. Ukrywszy się za kamieniami, obserwowali powiększające się szybko śmigłowce.

- Oni nas widzieć-sapnął Musa.

Rambo odwrócił się do swego siodła i złapał pokrowiec z karabinem, ale nie wyjął broni, bo śmigłowce nie zmniejszając szybkości zrobiły zwrot i podążyły do odległej o czterysta stóp krawędzi wąwozu, przeleciały nad nią i opadły, znikając z widoku. Pięć sekund później do uszu podróżników dotarł terkot karabinów maszynowych i grzechot setek rozrywających cel pocisków.

John błyskawicznym skokiem dosiadł konia i pogalopował w stronę krawędzi

- Nie!-wołał za nim Musa.



Ale Rambo ledwie go dosłyszał przez głośny stukot kopyt i odgłosy eksplozji dochodzące z wąwozu. Wstrzymał wierzchowca przed krawędzią i ostatnie kilka jardów przebiegł, pochylił się i wyjrzał.

Przed sobą, w dole, zobaczył szeroki pas ziemi, która w jakiś sposób do tej pory uniknęła zniszczenia przez Rosjan. Wszędzie, zieleniło się zboże. Pod przeciwległym zboczem wąwozu widać było strumień, a za nim, niemal u stóp pokrytych śniegiem gór, prostokątne, zbudowane z wyschniętego błota chaty, przypominające lepianki w pueblach na zboczach gór północnej Arizony. Było ich z pięćdziesiąt. Śmigłowce właśnie rozwalały je systematycznie za pomocą karabinów, działek, rakiet i bomb.

Wioska była położona około stu jardów poniżej miejsca, gdzie stał Rambo, i na tyle blisko, że dokładnie widział uciekających w panice Afgańczyków. Zakwefione kobiety łapały dzieci na ręce i wbiegały do domów. Mężczyźni strzelali do śmigłowców z potwornie starych skałówek, rozlatujących się, pochodzących z drugiej wojny światowej karabinów maszynowych.

Ale śmigłowce wisiały na takiej wysokości, że nawet gdyby przypadkiem jakiś pocisk z ziemi dosięgnął opancerzenia ich kadłubów, i tak nie wyrządziłby im krzywdy.

I cały czas odpalały rakiety, ciągle strzelały z działek i karabinów. Ziemia wybuchała fontannami płomieni i dymu. Chatka, w której schroniły się trzy kobiety z dziećmi, nagle przestała istnieć. Mężczyźni, którzy strzelali do Rosjan zza kamiennego zbiornika wodnego, zmienili się w krwawą mgłę.

A śmigłowce nadal strzelały i odpalały rakiety. Karabiny maszynowe obracały się na ich dziobach, siejąc śmierć i zniszczenie. Budynki zmieniały się w kupy pyłu.

Nagle Rambo poczuł, że nie jest już w stanie zapanować nad odruchami. Czara się przepełniła. Odwrócił się, podbiegł do swego konia i odpiął pokrowiec kryjący karabin. Wyszarpnął broń.

Galopując w jego stronę, Musa krzyczał:

- Oni cię zabić! Połóż się!

Lecz Rambo go zignorował i szybko uzbroił karabin. Wepchnął granat do wyrzutnika pod lufą i wrócił nad krawędź wąwozu. Zdążył jeszcze zobaczyć, jak jeden ze śmigłowców kończy dzieło - pięciu usiłujących bronić wioski mężczyzn zostało przeciętych w pół jedną serią potężnego ruchomego karabinu. Zerknąwszy w lewo, John dostrzegł, że drugi śmigłowiec bawi się w kotka i myszkę mała dziewczynka, którą panika oderwała od ciała martwej matki, biegła w stronę kępy drzew, a jej śladem podążała wybuchająca kurzem ścieżka pocisków z karabinu, ciągle tuż za dzieckiem, ale ciągle go nie doganiając. «:

Do dna wąwozu, w którym leżała wieś, było sto jardów, ale śmigłowce były o wiele bliżej. Rambo przyklęknął i unieruchomił lewą rękę, opierając jej łokieć na kolanie nogi. Wpatrzył się w przyrządy celownicze i wstrzymał oddech w koncentracji.

Dziewczynka niemal już dobiegła do drzew i obejrzała się z przerażeniem. Linia pocisków zatrzymała się u jej stóp.

Rambo pociągnął za spust. Granatnik szczeknął i szarpnął, a John odprowadził pocisk wzrokiem.

Trafił w dziób śmigłowca. Pleksiglasowe szyby kabiny rozprysły się na moment przed eksplozją kokpitu. Sekundę później cała maszyna wybuchła, pękając z rozbłyskiem. Wrak zawisł nieruchomo na ułamek sekundy, potem opadł, rozsiewając kaskady pogiętej stali wśród zboża, wbił się w ziemię i jeszcze raz eksplodował.

Rambo przeniósł wzrok na dziewczynkę, która chyba wyczuła, gdzie ukrył się niespodziewany wybawca. Popatrzyła przez sekundę na krawędź wąwozu, ukazując wykrzywioną potwornym strachem twarzyczkę, i wbiegła między drzewa.

W straszliwym huku eksplozji stok poniżej stanowiska Johna uniósł się, zwalając go z nóg. Rambo upadł między skałami, otoczony czarnym dymem. Kolejny wybuch zatrzęsł ziemią. Załoga drugiego śmigłowca widziała, co przytrafiło się kolegom, i teraz z wyciem turbin pędziła do miejsca, skąd nadleciał granat. Musa, który zdążył już podjechać do Johna i zatrzymał się, kiedy ten strzelał, zawrócił konia i popędził go, próbując uciec przed kolejnymi eksplozjami, które musiały zaraz nadejść.

Nadeszły. W ziemi pojawiła się nagle ogromna dziura, a wówczas koń Musy poniósł. Afgańczyk walczył, usiłując opanować panikę wierzchowca, który zdążył już dobiec do skał, za którymi ukrywali się przedtem. Nagle koń szarpnął się w bok i skoczył. Musa spadł.

Cały brzeg krawędzi wąwozu ruszał się, rozrywany pociskami karabinowymi. W gęstym, duszącym dymie kordytowym Rambo przetaczał się z miejsca na miejsce, ani na chwilę nie pozostając w bezruchu. Nagle usłyszał huk wybuchu i poczuł się, jakby nic nie ważył. Z jękiem bólu wylądował plecami na kamieniu. Przełamawszy oszołomienie zorientował się, że leży na dnie dziury, pozostałej po wyrwanym z ziemi głazie, a wokół niego gwiżdżą pociski, rozłupując kamienie na drzazgi. Znow wybuchła rakietą, a jego otoczyła gęsta chmura czarnego dymu.

Śmigłowiec wstrzymał ogień, ale grzmiące łup-łup-łup-łup dochodziło z tak bliska, że John natychmiast zrozumiał, iż Rosjanie zawisli w pobliżu i czekają na rozejście się dymu, żeby ocenić skutki swego ataku.

Czując, jak pękają mu bębunki uszne, Rambo przeładował broń i podczołgał się do krawędzi dziury. W kłębach torturującego nozdrza kordytowego dymu i kurzu nic nie było widać.

John wymierzył w stronę dochodzącego spoza dymu huk i wysilił wzrok, chcąc przebić oczami nieprzejrzystą zasłonę. Nagle dym się przeredził. Rambo dojrzał maszynę w tej samej chwili, kiedy pilot śmigłowca zobaczył jego. Byli tak blisko siebie, że Rambo widział pełne przerażenia oczy Rosjanina.

Spokojnym ruchem nacisnął spust, ale tym razem nie czekał na wynik, lecz skoczył natychmiast w tył, do dołu. Śmigłowiec rozpadł się. Rambo nie mógł widzieć eksplozji, ale usłyszał ją i poczuł. Wzmocniona niewyobrażalnym hukiem fala uderzeniowa wybuchu wcisnęła go w ziemię. Tuż obok dziury opadały fragmenty wraku. Poskręcana łopata rotora spadła w poprzek zagłębienia. Potem nastąpiła jeszcze jedna eksplozja, po czym Rambo dosłyszał łomot zginiatanych szczątków helikoptera.

Krzywiąc się z bólu wstał i niezdarnie wygrzebał się z dołu. W momencie trafienia granatem śmigłowiec musiał wisieć tuż nad krawędzią wąwozu, bo kiedy Rambo dowlókł się do miejsca, gdzie odpalił pierwszy pocisk, wrak maszyny wciąż jeszcze staczał się po stromiźnie ściany.

Odetchnął głęboko, czując wściekłość i triumf zarazem. Powoli zaczął odzyskiwać panowanie nad sobą. Napięte mięśnie stopniowo się rozluźniały. Ale zaraz dopadły go dreszcze i mdłości, jak zawsze po walce. Z zaskoczeniem poczuł też dawno zapomniane podniecenie, wywołane bliskością śmierci i satysfakcją z jej uniknięcia.

Czas, który przez długą chwilę się zatrzymał, znowu ruszył. Rambo zerknął w stronę dymiących resztek wsi, po czym przyjrzał się kępie drzew, w której znikła dziewczynka.

Obejrzał się w stronę, gdzie ostatnio widział Musę. W trakcie walki ledwie sobie uświadamiał, że Afgańczyk jechał do niego galopem, a potem zawrócił konia, uciekając przed atakiem drugiego śmigłowca. Słyszał wtedy przerażony kwik konia.

Teraz dojrzał zwierzę w oddali, pędzące wciąż przed siebie bez jeźdźca. Rozejrzał się w poszukiwaniu Musy. Za skałami, gdzie ukryli się przed atakiem, dostrzegł siedzącą chwiejnie na ziemi, pochyloną, trzymającą się za głowę postać.

Rambo poderwał się do biegu w stronę, gdzie zostawił swojego konia, chcąc go dosiąść i pojechać na ratunek Afgańczykowi. Ale zamarł w pół kroku, zobaczywszy wierzchowca. Leżał drgając trzydzieści jardów dalej na boku, a z ogromnej dziury w jego brzuchu wypływały poszarpane jelita. Rambo podszedł i zastrzelił go.

Widząc, że Musa niepewnie usiłuje wstać, ale przewraca się z powrotem na ziemię, Rambo szybko pobiegł w jego kierunku.

Afgańczyk był blady jak ściana.

- Postrzelili cię? - wysapał Rambo, opadając na kolana obok przewodnika.

- Nie, ten pies mnie zrzucić z grzbiet. - Musa znów wtulił głowę w ramiona.

John zerwał turban z głowy Afgańczyka i uważnie obejrzał czaszkę. Nie znalazł krwi, ale wyczuł wielkiego guza.

- Masz mdłości?

- Nie.

- Spójrz na mnie. Patrz na moją rękę.

Rambo przesunął palec w przód i w tył. Oczy Musy podążyły za palcem.

- Widzisz podwójnie?

- Nie.

Rambo wystawił cztery palce.

- Ile palców widzisz?

- Cztery.

John przyjrzał się grubym włosom Musy.

- To chyba właśnie one osłoniły ci głowę. Miałeś szczęście, że ci nie odpadła.

Musa zaczął protestować.

- Wiem, wiem - przerwał mu Rambo. - Wiem, co chcesz powiedzieć. To Allah chciał, żeby ci nie odpadła. Wszystko jest In sha'Allah.

Mimo bólu Afgańczyk się uśmiechnął. .

- Jak myślisz, poradzisz sobie, jak cię zostawię? spytał John. - W wiosce ktoś mógł przeżyć, a ja mam przeszkolenie paramedyczne. Może im zdołam pomóc.

- Niech Allah ciebie prowadzić. Rambo pobiegł do wąwozu.

## Rozdział 4

Przepełniony obrzydzeniem Rambo przeszukiwał ruiny i zgliszcza wioski. Mimo swych doświadczeń, na które zwykły człowiek nie zapracowałby żyjąc dziesięć razy, wciąż nie mógł się przyzwyczaić do szaleństwa wojny. Jeśli nie liczyć dwóch ścian, które jakimś cudem ostały się na miejscu, budynki zostały tak gruntownie zniszczone, spalone i rozwalone, że trudno byłoby się domyślić, iż kiedyś była tu wieś. Wszędzie leżały trupy. Niektóre były pozbawione głów, inne kończyn. Jeszcze inne zostały spalone, rozerwane lub wypatroszone, albo po prostu zmiażdżone upadającymi ścianami. Muchy kłębiły się wokół ran i kałuż krwi, a nad doliną krążyły sępy.

Słyszając dochodzący z ruin jęk, John podbiegł i odnalazł postrzelonego w czoło starca, który zmarł, kiedy tylko Rambo go dotknął.

Gdzieś z tyłu potoczył się kamień. Rambo odwrócił się szybko i dostrzegł czubek małej główki, znikającej za kupą gruzu. Pognął w tamtą stronę, ale dobiegł za późno, aby dogonić dziewczynkę, która przeskakując ruiny, pędziła już ścieżką w stronę kępy drzew za wioską. Doszedł do wniosku, że musi to być to samo dziecko, które widział przedtem ze szczytu wąwozu, więc zawołał za nią:

- Zaczekaj!

Dziewczynka biegła, jakby gonili ją wszyscy diabli

- Stój! Nie zrobię ci krzywdy!

To było bez sensu i wiedział o tym. I tak nie rozumiała, co on krzyczy. Niemniej spróbował jeszcze raz w nadziei, że mała wyczuje znaczenie słów z intonacji jego głosu.

- Proszę! Zatrzymaj się! Chcę ci pomóc! Nie zatrzymała się.

Biegąc za nią po ścieżce, Rambo poczuł nagle na twarzy powiew gorącego powietrza. Usłyszał odległe dudnienie, ale dźwięk ten nie oznaczał kolejnego ataku czarnego wiatru ani radzieckich śmigłowców. Rozpoznał natychmiast zarówno powiew, jak i dźwięk, pamiętał je z dzieciństwa w rezerwacie. Konie. Dużo koni.

Zawahał się i spojrzał w stronę, skąd dochodził tętent. Pomiędzy drzewami zagajnika dostrzegł u podnóża gór szybko zbliżającą się kurzawę. A w niej migające, ciemne figury. Jeźdźcy. Afgańska konnica.

Wystrzelili nagle ze środka kurzawy i odgradzili sobą dziewczynkę od Johna. Ich twarze wykrzywiała wściekłość. Nie wstrzymując koni, otoczyli go ruchomym kręgiem, potracając go, bijąc linami i pejczami.

Nagle zatrzymali się. Rambo stał twarzą w twarz z najwyższym z nich, siedzącym na największym koniu. Mężczyzna wyglądał na przywódcę jeźdźców. Spoglądał na Johna hardymi, dumnymi oczami, a jego brodata twarz przypominała zdjęcia z podręcznika historii.

- Russil - warknął jeździec.

Rambo nie potrzebował tłumacza, żeby zrozumieć, że został uznany za Rosjanina.

- Nie, jestem Amerykaninem!

- Russil - Przywódca rzucił jakieś rozkazy, których John nie zrozumiał.

Rambo poczuł uderzenie kolbą karabinu w kark. Poleciał w przód, a wówczas uderzono go kolbą w pierś. Krąg koni zacieśnił się wokół niego. Szyję Amerykanina otoczyła nagle lina. Jeden z jeźdźców złapał go za rękę i błyskawicznie obwiązał mu nadgarstek sznurem. Inny jeździec sekundę później zrobił to samo z jego drugą ręką. Obaj przywiązali sznury do siodła. Ramiona Johna napięły się boleśnie, rozciągnięte na całą szerokość. Jeźdźcy zaczęli ciągnąć sznury w przeciwnych kierunkach.

- Nie! Jestem Amerykaninem! Ja tylko chciałem... Jeźdźcy wbili pięty w boki koni. Rambo poczuł, że za chwilę ręce wypadną mu ze stawów.

Rozerwą mnie!

Ból wywołał furję. Rambo schwycił w dłonie oba sznury i pociągnął do siebie z całej siły. Konie zachwiały się. John podciągnął ramiona trochę bliżej tułowia. Jeźdźcy wykrzyknęli coś, co brzmiało jak przekleństwa, i zaczęli okładać konie pejcami.

- Przybyłem tu, żeby pomóc! - zawył Rambo, walcząc z linami. - Nie jestem "Russi"!

Afgański wódz splunął i wyrazistym gestem nakazał jeźdźcom, żeby wreszcie popędzili konie.

Rambo poczuł, że napięte do granic możliwości ściągna rąk są o krok od pęknięcia.

- Neeee! - wrzasnął.

Na jego krzyk nałożyło się wołanie kogoś innego. Był to Musa, który chwiejnie włókł się w stronę Afgańczyków i dobywając ze swego zmaltretowanego ciała resztki sił, krzyczał coś, co brzmiało jak protest.

Jeźdźcy się zawahali.

Musa wyrzucał z siebie szybki potok słów natarczywym, proszącym głosem. Przywódca oddziału dumnym ruchem głowy polecił Afgańczykom, żeby popuścili sznury.

- Nie wiem, co do nich mówisz - powiedział z wysiłkiem Rambo do Musy - ale mów to dalej.

Wódz zagadał do Musy, a ten mu natychmiast odpowiedział. Mudzahedin wskazał wrak jednego z śmigłowców i rzekł coś jeszcze.

Musa zwrócił się do Johna:

- On nie wierzyć ty zniszczyć śmigłowców, Nagle, na dźwięk cienkiego głosiku, mężczyźni odwrócili głowy. Na ścieżce prowadzącej do zagajnika stała dziewczynka. Po przeżytych szoku drżał jej głos. Ruchem rączki pokazała dymiące resztki śmigłowców, a potem Johna.

Grupa ponurych wojowników zamilkła nagle. Zerkali na siebie, a w miarę jak dziewczynka opowiadała, wyraz sceptycyzmu na ich twarzach zmieniał się powoli w zaskoczenie i zachwyt. Wysoki Afgańczyk, którego wzrok wyrażał najwyższy podziw, spojrział na Johna i rzucił coś do swoich ludzi. Ci natychmiast odwiązali sznury od siodeł i puścili je.

Napięte mięśnie jeszcze przez moment utrzymywały ramiona w powietrzu. Potem, powoli, Rambo opuścił ręce. Odwiązał sznury i zaczął rozcierać obolałe nadgarstki.

Przywódca zsiadł z konia i stanął przed Johnem. Wpatrzył się w jego oczy tak intensywnym wzrokiem, że Rambo miał wrażenie, iż Afgańczyk potrafi czytać w jego duszy. Wódz wypowiedział trzy słowa, brzmiące jak podziękowanie, położył muskularne dłonie na ramionach Johna i ucałował go w policzki.

Rambo poczuł na skórze szorstki dotyk brody Afgańczyka i dostrzegł w jego oczach coś, co mogło być łzami.

Wódz odwrócił się, podszedł do dziewczynki, przykucnął i objął ją. Szlochając, dziecko przytuliło się mocno do niego.

Musa stanął obok Johna.

- Jego imię Khalid. Wielka wojownik. To - wskazał na dymiące ruiny - jego wioska.

- Powiedz mu... - Rambo z trudem przełknął ślinę. Powiedz mu, że mi przykro.

- Kiedy czas przyjść. Ta dziewczynka być Halima. Khalid mieć dług do ciebie.

- Za zestrzelenie tych śmigłowców? I co to dało? Nie zdołałem uratować wsi.

- Ale ty uratować życie od jego córka. Rambo poczuł ucisk w piersi.

Jakieś hałasy odwróciły jego uwagę od Musy. Wszyscy Afgańczycy zsiadli z koni i przywiązywali je, gdzie się dało. Potem ze smutkiem wkroczyli na teren tego, co jeszcze tak niedawno było ich wsią.

- Oni teraz iść szukać trup od ich ukochani - wyjaśnił Musa. - Żeby pochować.

Do uszu Johna dotarły już pierwsze zawodzące okrzyki rozpacz. Ruszył do wioski.

- Co ty robić? - spytał Musa.

- Pomogę kopać groby.

## Rozdział 5

Pracowali tak szybko, jak to było możliwe, Za pomocą kawałków blachy z rozbitych śmigłowców Rambo i reszta mężczyzn wycinali w ziemi płytkie rowy. Nie było czasu na przygotowanie zwłok do porządnego pogrzebu, bo w każdej chwili mogły nadlecieć następne Śmigłowce, żeby sprawdzić, dlaczego załogi pierwszych dwóch nie odpowiadają, na wezwania radiowe. A ponieważ nie wystarczyłoby ani ludzi, ani koni do przetransportowania tak wielu zwłok do podnóża gór, gdzie możliwe byłoby odprawienie pogrzebowych ceremonii muzułmańskich, Afgańczycy zmuszeni byli zadowolić się podstawowymi czynnościami. Ciała z szacunkiem składano w rowach, po czym zasypywano ziemią. Na grobach układano kawałki materiału w kolorze islamu - zielonym. Po zasypaniu ostatniego ciała Afgańczycy zaintonowali modlitwy za zmarłych. Mimo że ich głosy były pełne smutku, Musa wytłumaczył Johnowi, że słowa modlitwy są radosne.

- Ci co umrzeć tu wszyscy męczennik. W raj teraz już, Rambo nie powtórzył swoich obiekcji na temat afgańskiego sposobu pojmowania męczeństwa. Ale w myślach kołatały mu zdania: "Czcij zmarłych za, ich poświęcenie. Ciesz się, że ich cierpienia się skończyły. Ale nie traktuj śmierci jako okazji! Nie śpiesz się do umierania! Spraw, żeby to wróg umarł!"

- Teraz przyjąć zemsta - powiedział Musa.

- To jest coś, w co i ja wierzę.

Khalid dał znak do zakończenia ceremonii. Jeszcze raz spojrzął ze smutkiem na grób swojej żony, odwrócił się, wziął na ręce rozszlochaną córeczkę i wsiadł na konia. Inni poszli za nim. Rambo i Musa wsiedli na konie za plecami dwóch jeźdźców i objęli ich rękami w pasie.

Ruszyli w stronę podnóża gór. W momencie gdy ostatniego z jeźdźców skryły gałęzie drzew w zagajniku, Rambo dosłyszał odległy pogłos ryku zbliżających się śmigłowców. W samą porę, pomyślał. Jeszcze parę minut, a przyłapałiby nas.

- Allah z nami - podsumował jego myśli Musa.



## Rozdział 6

Trautman drgnął, kiedy drzwi jego celi otworzyły się, uderzając o ścianę. Odbity bok bolał. Plecy płonęły, Wargi miał opuchnięte od niezliczonych uderzeń, a reszta twarzy składała się właściwie wyłącznie z ran i szram. Ale najbardziej bolały oczy. Nawet kiedy je zaciskał z całej siły, światło rzucane przez opancerzone żarówki w suficie celi przenikało powieki i torturowało gałki oczne. Czuł się, jakby w spojówki nasypano mu gorącego piasku. Spać. Gdybym tylko mógł się trochę przespać... W korytarzu, tuż obok otwartych na oścież drzwi, zabrzmiało chrapliwie:

- Poruczniku, czy on jest gotów mówić? Niepewny głos odpowiedział:

- Towarzyszu pułkownika, minęło trzydzieści sześć godzin, od kiedy spał ostatnio. Kiedy tylko zaczyna przysypiać, budzimy go tym.

Klakson zaryczał tak głośno, że Trautman krzyknął i złapał się za uszy, bojąc się, że popękają mu bębniaki.

Nagła cisza była błogosławieństwem. W celi zabrzmiały kroki. Ciężkie wojskowe buty. Zwinięty w kącie pustej celi, Trautman z wysiłkiem otworzył oczy i ujrzał szczupłego pułkownika, który przedstawił mu się jako Zajsan.

- Chcę, żeby mi pan teraz odpowiedział na pytania powiedział Zajsan głosem zupełnie wypranym z emocji.

Trautman zakrył dłonią oczy, chcąc je uchronić przed świdrującym mózg światłem. Suchym językiem usiłował oblizać napuchnięte, pokryte strupami wargi.

- Niepotrzebnie pan cierpi - ciągnął Zajsan. -Może łyk zimnej wody? Niech pan odpowie na pytania, a może pan pić. Czy przyzna się pan, że wysłał pana wasz rząd? Czy może mi pan powiedzieć, gdzie znaleźć przywódcę bandytów, Mosaeda Hajdara? Po co pan tu przybył?

- A po co pan tu przybył? - spytał Trautman. - Dlaczego się pan stąd nie wyniesie w cholerę?

- Niechże więc pan cierpi, skoro tak pan sobie życzy. Ja mam czas. - Zajsan skinął głową na kogoś, kto stał w korytarzu.

Do celi wszedł ten sam potężny, łysy sierżant o okrutnym grymasie ust, którego wcześniej Trautmanowi przedstawiono jako Kurowa.

Złapał Trautmana za włosy i uderzył jego głową o ścianę.

Znów zaczął się koszmar.

## CZEŚĆ PIĄTA

## Rozdział 1

Po pobycie na gorącym, gorzkim pustkowiu chłodne górskie powietrze przynosiło ulgę płucom. Ziemia pod końskimi kopytami była miękka i gliniasta. Siedząc za afgańskim jeźdźcem, Rambo zerkał ponad innymi Afgańczykami i Khalidem w przód, na szlak pomiędzy skałami. Ścieżka wznosiła się lekko w stronę sosen, których rodzynkowa woń wydała mu się teraz najmiłszym zapachem na ziemi. Między drzewami zauważył jakieś poruszenie i omal nie krzyknął ostrzegawczo, ale powstrzymał się, zorientowawszy się, że to dzieci. Podbiegły bliżej, skacząc i pokrzykując w radosnym powitaniu. Khalid zdołał przełamać swój ponury smutek na tyle, żeby przynajmniej udać uśmiech. Dzieciaki biegly już po chwili między końmi.

Wkrótce drzewa rozstały się, tworząc dużą polanę; jej przeciwległy brzeg stanowiło półkoliste strome zbocze, z którego niewielki wodospad spływał do sadzawki. Polana niemal w całości pokryta była namiotami, z których część miała maskujące siatki przeciwlotnicze. Zakwefione kobiety w szatach do kostek przygotowywały potrawy na bezdymnych paleniskach, inne miesiły chleb, naprawiały odzież lub zajmowały się zwierzętami. Mężczyźni siedzieli w grupkach, pijąc herbatę i czyszcząc stare strzelby Enfieldda. Kilku przyglądało się dwóm mocującym się chłopcom, wykrzykując rady i dopingując ich.

Kiedy Khalid i jego wojownicy wjechali do obozowiska, cała aktywność zamarła. Wieśniacy otoczyli oddział, zadowoleni z widoku mudzahedinów. Ale ich zadowolenie ustąpiło miejsca trosce wywołanej smutkiem wojowników i podejrzliwości na widok Rambo - obcego, niewiernego.

Zsiadłszy wraz z córką z konia, Khalid opowiedział, co się stało. Przez tłum przeleciał jęk rozpaczy.

Rambo stał z tyłu.

Podszedł do niego Musa.

- Czy to ich baza operacyjna? - spytał John.

- Aż Ruski znaleźć, tak. Khalid zdecydował, wieś za niebezpieczny. On wybrać ten miejsce i przenieść swoja ludzie tu. Ale nie na raz przenieść. Za dużo ludzie. Za dużo rzecz do nieść. On zostawić swój żona i córka w wieś, nie chceć wyróżniać. Dziś wrócić zabrać ich.

Rambo wyobraził sobie cierpienie, jakie musiało być udziałem Khalida. Dążenie do bycia sprawiedliwym kosztowało go utratę żony.

- Wkrótce Ruski znaleźć ten obóz - rzekł Musa. Ruszać do inna.

- I jeszcze innego - dokończył Rambo. - I tak bez końca, - Nie, to się skończyć. Kiedyś. In sza' Allah.

## Rozdział 2

W zbczu za namiotami było kilka jaskiń. Khalid wprowadził Johna i Musę do największej z nich. Była już mocno zacieniona, bo słońce chyliło się ku zachodowi.

Jaskinia okazała się lazaretem. Chorzy i ranni leżeli na kocach, wiązках siana lub pokrwawionych, pożółkłych kłębach płótna. Podobnie jak w sklepie handlarza bronią w Peszawarze, także i tu Rambo dojrzał kule i sztuczne kończyny. Niektóre były wykonane z drewna, inne topornie wycięte z metalu. W poprzek jaskini wisiał sznur, a na nim co kilka stóp lampy naftowe.

Khalid podprowadził swą córkę do postaci, która klęczała przy nieprzytomnym, rannym mężczyźnie i zmieniała opatrunek na jego piersi. Kiedy wstała, Rambo zobaczył, iż jest to znużona jasnowłosa kobieta w wieku czterdziestu kilku lat. Miała na sobie spłowiałą koszulę khaki i spodnie. Jej rysy twarzy były twarde, niemal męskie. Zapaliła papierosa.

Pełnym napięcia głosem Khalid powtórzył jej to samo, co powiedział już wieśniakom.

Oczy kobiety zwęziły się. Odpowiedziała coś przejętym tonem i zaczęła badać Halimę, której otępiała i pozbawiona życia twarz wskazywała, że dziewczynka wciąż ma przed oczami koszmarnie sceny z niedalekiej przeszłości. Pojawiła się zakwefiona kobieta, najwyraźniej pomoc medyczna. Khalid z troską patrzył, jak jego córce opatrywano rany i zadrapania. Odszedł z nią potem na bok i pocieszał, powstrzymując własną rozpacz.

Z papierosem w kąciku ust kobieta przyglądała się Johnowi.

- Jesteś Amerykaninem? - spytała z lekkim akcentem, który Rambo rozpoznał jako prawdopodobnie holenderski.

John skinął głową.

- Michelle Pillar - przedstawiła się, wyciągając rękę.

- Rambo. - Potrząsnął jej dłonią.

Kobieta nie poprzestała na tym. Nadal taksowała go wzrokiem.

- Nie masz kamery. Chyba nie jesteś dziennikarzem. Nie przyjechałeś obserwować wojny, robić zdjęć, a potem wyjechać jak wszyscy. Co tu robisz?

- Szukam kogoś.

- Kogo? - dopytywała się, zaciągnąwszy się papierosem.

- Przyjaciela. Też Amerykanina. Rosjanie go złapali.

- A więc niech Bóg ma go w swojej opiece. Gdzie go trzymają?

- Mam nadzieję, że ci ludzie mi to powiedzą. Nagle odezwał się Khalid.

- On mówić wy pogadać później - przetłumaczył Musa.

- Tak, później - powtórzyła Michelle jak echo.

- Ty iść teraz z nim - dodał Musa.

Khalid wyszedł z jaskini. Jak przedtem, Musa i Rambo posłusznie poszli za nim.

- On i wieśniaki mówić modlitwa. Potem ty mówić do rada.

### Rozdział 3

Była noc. Trzydziestu mudżahedinów siedziało półkolem, wpatrując się w Johna. Khalid siedział na lewym końcu półkola. Kiedy zebrała się rada, dojechało jeszcze dwóch przywódców plemiennych. Jednym był żylasty, gładko ogolony wojownik pod trzydziestkę. Na imię miał Rahim i najwyraźniej cieszył się reputacją podobną do Khalida. Twarz drugiego z nich, potężnego i wysokiego mężczyzny około czterdziestu pięciu lat, wykrzywił grymas gniewu, którego nie zdołała ukryć nawet krzaczasta, długa broda o siwych pasmach przy uszach. Wódz ten miał na imię Mosaed i traktowany był z szacunkiem należnym żywej legendzie. Mosaed nie próbował udawać, że lubi zadawać się z obcymi, a szczególnie niewiernymi.

Mosaed, Rahim i Khalid rozmawiali ze sobą ożywionymi głosami, a Musa siedział za Johnem i tłumaczył, ile zdołał.

- Mosaed mówić, że ty ruski szpieg.

- To się nie trzyma kupy - odparł Rambo. - Po co szpieg miałby rozwalać dwa swoje śmigłowce?

- Khalid opowiedzieć to. Mosaed mówić, Ruski nie dbać o życie człowieka, nawet kolega, Ruski. On mówić, Ruski zrobić wszystko, żeby oszukać i zabić mudżahedin i Afgański.

- Uratowałem też życie córce Khalida. To powinno dowodzić, że nie chcę ich skrzywdzić.

- Mosaed mówić, czemu ty nie uratować cała wieś. Khalid mówić, on ci ufać, mieć dług. Mosaed mówić, ty KGB. Rahim nie mieć - jak wy to nazywać? - zdanie.

Trzej wodzowie kłócili się, a reszta wojowników przysłuchiwała się pilnie. Musa tłumaczył dalej:

- Khalid przekonywać ty nie Ruski. Nie wyglądać Ruski, nie mówić jak Ruski.

- To dobrze.

- Ale ja nie myśleć, że to dużo pomóc. Wodzowie zwrócili się do Rambo. Musa przemówił do nich szybko, z szacunkiem, ale i z naciskiem, Rahim przerwał mu. Kiedy on i inni znów zaczęli rozmawiać, Musa tłumaczył.

- Twierdzisz, że jesteś Amerykaninem. To nieważne. Ameryka to dla nas żaden przyjaciel - powiedział Rahim. - Nam jest potrzebna pomoc w toczeniu tej wojny. Pomoc od innych narodów. Ale nie nadchodzi. Nie pomożemy tym, którzy nie pomagają nam.

Rambo chciał odpowiedzieć, ale Mosaed go powstrzymał.

- Słyszeliśmy, że twój kraj pomaga wielu narodom. W Afganistanie nie widać tej pomocy. My walczymy o przetrwanie. Sami.

Rambo dostał wreszcie szansę.

- Nie jestem tu z powodu mojego rządu - powiedział. - Przyszedłem sam, żeby odnaleźć przyjaciela. Poza tym, Ameryka przysłała wam pomoc. Mój przyjaciel miał właśnie sprawdzić, dlaczego wysłane przez mój kraj zapasy nie dotarły do was.

- Słowa - burknął Mosaed.

- Ale ta broń, którą ja przywiozłem, to nie tylko słowa.

Mosaed usiadł prosto.

- Broń?

- Karabiny i amunicja - odparł Rambo. - I materiały wybuchowe. Przywiozłem ich tyle, ile zdołały udźwignąć dwa juczne konie.

Rahim rozejrzał się demonstracyjnie.

- Gdzie są te juczne konie? Nie widzę żadnej broni.

- Konie zdechły po drodze. Mosaed pogardliwie wyduł wargi.

- Słowa. Te karabinki to kłamstwo.

- Zakopaliśmy broń i zaznaczyliśmy miejsce. Broń jest o trzy godziny jazdy stąd - bronił się John.

- Sądzisz, że potrafisz znaleźć to mityczne miejsce? spytał Mosaed.

- Nie.

- Oczywiście, że nie. Bo ta broń nie istnieje.

- Ale ja potrafię ją znaleźć - wtrącił od siebie Musa. Rahim pogładził się po gładkiej skórze policzka.

- Jesteś pewny?

- Jeśli wiatr nie zasypał znaku.

- Jeśli, jeśli nie znajdziesz broni, obaj umrzecie podsumował Mosaed.

Khalid, który milczał przez całą tę rozmowę, odezwał się w końcu:

- Ja wierzę Amerykaninowi. -Wierzę, że przywiózł broń. Jeśli nie będzie w stanie jej znaleźć, to nie jego wina. Ale przez wzgląd na życie mojej córki, nie pozwolę wam go zabić.

- Poczekamy do jutra i zobaczymy - powiedział spokojnie Mosaed.

- A co, jeśli broń się znajdzie? -spytał Rambo. Pomożecie mi odnaleźć mojego przyjaciela?

- Jeśli go schwytali Rosjanie, nie można mu już pomóc.

- Nie wierzę w to.

- Wielu powstańców schwytali. Torturowali. I zawsze zabijali. Nie można go uratować - powtórzył Musa.

- Muszę spróbować.

- A więc, jeśli my cię nie zabijemy, zabiją cię Rosjanie.

- Być może - odparł Rambo, a jego twarz stwardniała.



## Rozdział 4

O świcie, kiedy wieśniacy skończyli modlitwy, Rambo patrzył, jak Musa i trzech wojowników wyjeżdża z obozowiska, ciągnąc za sobą dwa luzaki. Jeden z wojowników pochodził ze szczepu Khalida, pozostali dwaj z oddziałów Rahima i Mosaeda, którzy chcieli mieć świadków przy poszukiwaniach broni.

Szukaj dobrze, pomyślał Rambo. Życie pułkownika zależy od ciebie. Znajdź te karabiny.

In sza' Allah.

Poszedł za jeźdźcami i przysiadł wśród sosen, patrząc, jak tamci znikają u podnóża gór. W oddali, na pustkowiu, widoczne były chmury kurzawy.

Rozejrzawszy się, zobaczył sporą polanę. Dziesięciu wojowników brało tam udział w grze. Galopując konno, starali się nadziać na dzidy wbitą w ziemię ośmiocentymetrowej wysokości przetyczkę, zwykle służącą do mocowania masztów namiotu.

Kiedy Rambo zbliżył się do polany, Afgańczycy zauważyli go i zaczęli galopować szybciej, popisując się i za wszelką cenę usiłując przebić przetyczkę.

- Jeśli znajdą broń, kiedy się spodziewasz ich powrotu?

Słyszac to pytanie, Rambo odwrócił się. Stała przed nim Michelle, Holenderka, którą poznał poprzedniego dnia w jaskini-lazarecie.

- Wczesnym popołudniem - odparł.

- Nie miej tym ludziom za złe podejrzliwości. Niełatwo im zaufać obcemu po tym, co przeszli.

- Mam tylko nadzieję...

- Jeśli ta broń ma być znaleziona, to będzie.

- Długo już jesteś w Afganistanie. Michelle uniosła brwi.

- Skąd wiesz?

- "Ma być znaleziona"? Myślisz jak muzułmanin wyjaśnił Rambo.

- W nauce islamu jest mnóstwo mądrości - odrzekła. - Taki sposób pojmowania przeznaczenia pomaga tym ludziom uwierzyć, że ich cierpienie ma jakiś cel.

Rambo smutno pokręcił głową.

- Nie potrafię tego zaakceptować. Nie wierzę w przeznaczenie, a cierpienie jest bez znaczenia.

- Ale jest też faktem, i trzeba z nim żyć; - Michelle wskazała ruchem głowy na wejście do jaskini-lazaretu. Ja muszę z nim żyć na co dzień. Nie dałabym sobie rady, gdybym niewierzyła, że ich cierpienie ma jakiś sens.

- A czy może już odkryłaś, jaki to sens?

- Jeszcze nie.

- Tak też myślałem - skwitował Rambo i na powrót skierował wzrok na grających.

Jeden z galopujących graczy zdołał nadziać przetyczkę na dzidę i wyrwał ją z ziemi.

Pozostali zaczęli wiwatować.

Kilku jeźdźców zwróciło się w stronę Johna.

Następny gracz chybił i został wyśmiany.

Teraz już wszyscy patrzyli na Rambo.

- Nie daj się zwieść ich beztronską - powiedziała Michelle. - Zawsze myślą o wojnie. Bawią się ze smutkiem... i dumą... żeby przypomnieć sobie, jaki kiedyś był ten kraj.

Jeden z tych graczy, którzy wypadli z zabawy, zawołał coś do Johna.

- Co on mówi? - spytał Rambo.

- Chce, żebyś się przyłączył do gry - wyjaśniła Michelle.

Afgańczyk kiwał na Johna, zachęcająco wskazując mu konia. Inny krzyknął coś głośno i wskazał na przetyczkę.

- Nie przyglądaj się, bo cię zmuszą do gry - powiedziała ostrzegawczo Michelle.

Następnych dwóch graczy wołało do niego. Pokręcił głową i podniósł obie ręce, chcąc im dać do zrozumienia, że nic nie wie o tej grze. Odpowiedzią były burkliwe okrzyki.

- Co mówią teraz?

- Zwykle afgańskie obelgi. Nie daj się nabrać.

- Powiedz mi.

- Oni uważają...

- Co?

- Nic...

- Powiedz!

- Myślą, że się boisz. Rambo zeszywniał.

- Tak nie może być. - Zstąpił na polanę.

- Nie! - zawołała za nim Michelle. - Oni się tak bawią od dzieciństwa. Kiedy oni się bawią, wygląda to łatwo, ale jest...

- Nie rozumiesz. Nie mogę dopuścić, żeby mnie nie szanowali.

Podszedł do graczy. Uśmiechnięty Afgańczyk podał mu wodze. Rambo wskoczył na konia i chwycił dzidę, którą mu podano.

Gracze zaczęli się potrącać łokciami.

Rambo skoncentrował się na oddalonej o pięćdziesiąt metrów przetyczce. Jak wtedy, gdy strzelał z łuku zen, tak bardzo wpatrzył się w przetyczkę, że wszystko inne znikło. Ale teraz

zamiast łuku trzymał dzidę. Wbił pięty w boki konia i zwierzę skoczyło w przód. Zabębniły podkowy. Potężny kłęb konia przeżył się pod jeźdźcem. Przetyczka rosła z ogromną szybkością.

Rambo ścisnął dzidę w dłoni i wycelował. Koń przyspieszył. Przetyczka była tuż.

John rzucił się w przód.

Dzida wbiła się w ziemię z taką siłą, że Rambo zawisł w powietrzu a koń wygalopował spod niego. Rambo spadł ciężko na ziemię, sapiąc z bólu i złości.

Afgańczycy wybuchnęli śmiechem.

John wstał powoli i przyjrzał się im chłodno.

Wieść o dowcipie rozeszła się po obozowisku. Nadeszło więcej Afgańczyków. Siadali na ziemi pomiędzy drzewami na obrzeżu polany.

Rambo podszedł do konia, z którego dopiero co spadł. Wskoczył na siodło.

- Nie rób tego! - krzyknęła Michelle. - Zabijesz się! John zignorował ją. Tym razem, kiedy uśmiechnięty wojownik wręczył mu dzidę, Rambo odmówił.

Afgańczyk przestał się uśmiechać. Gracze i publiczność popatrywali na siebie z zaskoczeniem.

Rambo podjechał do miejsca, z którego należało startować. Znowu skupił się na przetyczce. Determinacja wyostrzyła jego zmysły. Dyszała w nim duma.

Dźgnął konia piętami tak ostro, że zwierzę rzuciło się od razu galopem, nabierając szybkości jeszcze prędzej, niż poprzednio. Ogromnymi susami pędziło w stronę celu.

Cel rósł w oczach.

Nagłym ruchem Rambo wyrwał z pochwy swój olbrzymi nóż, puścił wodze i wychylił się w strzemionach tak nisko, że szorował włosami o ziemię. Wbił wzrok w przetyczkę, która teraz była na wysokości jego oczu. Jego długi, podobny do afgańskiego miecza nóż zalśnił w promieniach słońca, kiedy Rambo pchnął, przebił przetyczkę i wyrwał ją z ziemi. Trzymając błyszczący nóż wysoko, żeby każdy mógł go zobaczyć, podniósł się z powrotem na siodło i przegalopował wokół polany.

Afgańczycy nie byli w stanie ukryć reakcji. Cała polana zahuczała od wiwatów, pochwał i entuzjastycznych okrzyków.

Pochylając się znów w siodle, Rambo wetknął przetyczkę z powrotem w ziemię i wrócił do jeźdźca, od którego pożyczył konia.

Mosaed obserwował jego popis spomiędzy drzew. Wystąpił naprzód. Twarz miał kamienną, a jego głos brzmiał gburowato.

Rambo nie zrozumiał jego słów.

Michelle przetłumaczyła, nie potrafiąc przy tym ukryć troski.

- On mówi, że twój wyczyn zrobił na nim wrażenie. Chce wiedzieć, czy miałbyś ochotę na inną grę.

- Skoro trzeba - odparł Rambo. - Mówiłem ci, muszę go skłonić, żeby mi zaufał.

- Nie - rzekła Michelle. - Lepiej wymyśl sposób na grzeczne wyłganie się z tego. On chce cię wykiwać, chce, żebyś wyszedł na głupka.

- Wyjdę na głupka, jeśli nie zagram.

- Obawiam się, że wiem, o jakiej grze on myśli. Boję się, że to...

- Buzkaszi - powiedział Mosaed.

- ..Buzkaszi - dokończyła jednocześnie Michelle.

- Buzkaszi? - powtórzył Rambo jak echo. - Michelle, co to jest buzkaszi?

- Gra o barana.

- O barana?

- To narodowy sport afgański - wyjaśniła. - Mosaed to arcymistrz. Jego umiejętności są znane w całym kraju. Gra z nim to jak walka z czempionem wagi superciężkiej.

- A więc nie mam wyboru.

Mosaed czekał, patrząc wyzywająco. Oczy mu zabłysły, kiedy Rambo skinął głową.

- A teraz, Michelle, szybko, jak się gra w buzkaszi?

## Rozdział 5

Buzkaszi to gra - czy może raczej rodzaj sportu który uprawia się jadąc na koniu. Pozbawionego głowy barana umieszcza się w korycie, a cała zabawa polega na tym, żeby podbiec do koryta, walczyć z innymi uczestnikami o truchło, zdobyć je, przerzucić przez siodło, wskoczyć na konia i przejechać przez pole. Na jego końcu należy zawrócić konia wokół znaku, powtórnie przejechać przez pole i wrzucić zwierzę do tego samego koryta, z którego się je zabrało. Przez cały ten czas inni gracze, już konno, mają robić wszystko, co możliwe, żeby wydrzeć truchło z rąk jego posiadacza i samemu dowieść je do koryta.

Bardzo proste.

Szalone.

I brutalne.

Wokół polany zasiedli wszyscy mieszkańcy obozowiska, nawet chorzy i ranni; Ponieważ brakowało żywności, do zarżnięcia wybrano chorego barana. Kiedy tylko z jego szyi przestała tryskać krew, umieszczono go w płytkim zagłębieniu na końcu polany.

Rambo, Mosaed i inni wojownicy stali plecami do koni i czekali na rozpoczęcie gry. Mosaed rozstawił lekko nogi i wypiął pierś, jak mistrz, który chce pokazać, że wciąż jest najlepszy.

Wiejski kat miał być sędzią w tej grze, której jedyną zasadą było zrobić wszystko, żeby wygrać.

Rambo zdjął koszulę. Napiął, a potem rozluźnił szerokie, potężne mięśnie klatki piersiowej i ramion. Kat uniósł swój miecz i krzyknął. Gra się zaczęła.

Mosaed i inni Afgańczycy rzucili się w stronę koryta, a Rambo popędził za nimi. W jednej chwili koryto zmieniło się w szaleńczą płataninę kończyn; bijących na odlew rąk, kopiących i wierzgających nóg. Jakiś Afgańczyk stęknął i zgiął się wpół po potężnym uderzeniu w brzuch. Inny zdołał zacisnąć dłoń na nodze barana tylko po to, żeby natychmiast polecieć do tyłu w wyniku ciosu w plecy od rywala, który złapał truchło i uniósł je, ale równie szybko zwałił się na ziemię, uderzony w głowę. Z otwartej szyi barana wyciekała krew.

Zalała twarz i pierś Johna, który przedarł się brutalnie pomiędzy dwoma mudzahedinami i złapał zwierzę, ale upadł, kiedy kopniak omal nie złamał mu nóg.

Tym, który go przewrócił, był Mosaed. Wódz szarpał i pchał, wykręcał kończyny i walił na odlew, przedzierając się przez tłum. Złapawszy barana, kopnął jakiegoś rywala kolanem w krocze i rzucił się do konia. Rozciągnięty na ziemi Rambo złapał go za kostkę, szarpnął i przewrócił, po czym skoczył po truchło. Ale ktoś kopnął go w plecy, a inny przebiegł mu po głowie.

Plując ziemią, Rambo zerwał się na nogi i pognął obok

Mosaeda, żeby powstrzymać jednego z mudżahedinów przed przerwaniem truchła przez siodło. Mosaed odepchnął Johna, chcąc go pozbawić równowagi, ale Rambo utrzymał się na nogach i oddał cios. Potem złapał od tyłu innego rywala, przewrócił go, ominął zwodem dwóch następnych, uniknął uderzenia pięścią i dopadł gracza, który zdążył już położyć barana na siodle.

Ale Mosaed był tam przed nim. Powalił wojownika na kolana i wykorzystał jego przygięty grzbiet jako podnózek. Wskoczył na siodło pierwszy i kopnął konia piętami.

Rambo dogonił go, skoczył, schwycił Mosaeda za ramię i ściągnął go na ziemię. Upadli razem. Mosaed z wściekłym rykiem uderzył Johna oburącz w żebra i pognał za pozbawionym jeźdźcą koniem. Za nim biegła reszta graczy.

Baran zaczął się zsuwać z siodła. Ktoś popchnął go z powrotem i próbował dosiąść konia, ale został powalony na ziemię. Ten, który tego dokonał, padł pod ciosami sekundę później. Mosaed roztrącał rywali potężnymi ramionami na prawo i lewo. W końcu dopadł wierzchowca i wskoczył na siodło.

Rambo jako pierwszy z pozostałych dosiadł swojego konia. Kiedy rozgrzani walką na polanie kibice wykrzykiwali w ekstazie imię Mosaeda, John ścigał go galopem, a za nim jechali następni. Mosaed trzymał barana w poprzek siodła. Brzuch truchła spoczywał na łęku, a nogi zwisały po bokach konia.

Rambo doszedł Mosaeda i sięgnął po barana. Mosaed odtrącił jego rękę mocnym uderzeniem.

John powtórzył próbę. Mosaed machnął na odlew wodzami konia, bijąc Rambo po nadgarstkach, a potem po twarzy.

Czując pieczenie na twarzy, Rambo zamiast barana chwycił ramię Mosaeda. Nie zwracając uwagi na ból w rozciętych dłoniach, szarpnął ręką wodza z taką siłą, że

Mosaed niemal spadł z konia. Afgańczyk zdołał jednak odzyskać równowagę.

Ale nie zdołał już powstrzymać ręki Johna, który zdarł barana z siodła Mosaeda. Niespodziewany ciężar zwierzęcia tak zaskoczył Amerykanina, że w pierwszej chwili nie zdołał wciągnąć barana na siodło. Ten moment niezdecydowania wystarczył, aby Mosaed, który znowu pewnie trzymał się w siodle, pochylił się i schwycił truchło za nogę. Galopowali teraz obok siebie, ciągnąc w dwie strony rozhuśtane ciało zwierza, któremu już zaczynała pękać skóra.

Rozerwiemy go na strzępy! - pomyślał Rambo.

Ale już dopędzili ich inni gracze, atakując obu, bijąc ich i popychając, chcąc ich zmusić do porzucenia trofeum. Jakiś koń biegł tak blisko, że zaczął miażdżyć nogę Johna. Rambo zeszywniał z bólu, palce zaczęły mu się ześlizgiwać z nogi barana. Kiedy koń znów podjechał bliżej, Rambo stracił oddech z bólu i puścił truchło.

Splątana masa jeźdźców osiągnęła drugi koniec polany. Zdoławszy utrzymać barana w uścisku, Mosaed skłonił konia do zawrócenia wokół kamiennego znaku i zaczął galopować z powrotem. Kiedy Rambo mijał znak, dwa jadące obok niego konie zderzyły się, zrzucając jeźdźców.

Amerykanin popędził wierzchowca.

Baran zwisał z ręki Mosaeda, wlokąc nogi po ziemi. Na brzuchu zwierzęcia pojawiło się pęknięcie, przez które zaczęły się wylewać wnętrzności.

Doganiając Mosaeda, Rambo ominął zręcznie atakującego go Afgańczyka, zdołał uniknąć zablokowania przez innego, sam zaś skutecznie zablokował następnego.

Zbliżył się do triumfującego wodza. Mając go już w zasięgu ręki powiedział sobie, że nie jest istotne, czy

Mosaed wygra. Jeśli tylko wszyscy zobaczą, że Rambo próbował, będą go darzyć szacunkiem. Nawet lepiej, jeżeli to właśnie Mosaed będzie zwycięzcą. Gdybym to ja wygrał, myślał John, ten dumny wódz znienawidziłby mnie jeszcze bardziej i odmówiłby wszelkiej pomocy niezależnie od tego, czy broń się znajdzie, czy nie.

Rozdarty mieszanymi uczuciami, Rambo galopował obok Mosaeda i próbował złapać barana. Ale wówczas Mosaed kolejny raz uderzył go wodzami.

I jeszcze raz. I jeszcze.

W usta.

W nos i oczy.

Rambo poczuł się nagle, jakby go pożądlila setka szerszeni.

Ty skurwielu!!

Ze smakiem krwi w ustach rzucił się z furią na Mosaeda, złapał go za brodę i szarpnął bezlitośnie, pragnąc ją wyrwać z korzeniami.

Nie udało mu się to, ale Afgańczyk zawył i chwycił się za brodę, a wtedy Rambo złapał barana. Słyszając wokół tętent innych koni, zamachnął się truchłem, ale w ostatniej chwili zamiast na siodło, narzucił je sobie na ramiona, na kark. Zwierzę było naprawdę ciężkie, więc Rambo puścił wodze i oburącz przycisnął do siebie barana, a konia prowadził kolanami.

Z obu stron po barana sięgały ręce innych uczestników gry. Rambo wciąż galopował z pełną szybkością, a koryto zbliżało się w oczach. Mosaed zdołał zbić dłoń Johna z barana i złapał zwierzę za nogi, Rambo pewnie trzymał trupa lewą ręką, a prawą siłował się z wodzem, próbując mu rozewrzeć palce.

Baran rozciągnął się w poprzek ramion Amerykanina. Szczelina na jego brzuchu pękła, brzuch się otworzył. Johna zalały wnętrzności; żołądek, wątroba i jelita spłynęły na niego, owijając

go jak oślizgłe węże. Krew zlepiła mu włosy. Ciepła wilgoć pokryła go całego. Zemdlilo go od smrodu.

Wykręcał ramię Mosaeda z taką siłą, że był pewien, iż powinno już pęknąć. Ale Afgańczyk nie puścił. Nawet kiedy dojechali do koryta, wódz wciąż trzymał kurczowo. Rambo musiał schylić się na koniu tak nisko, że prawie podniósł Mosaeda z siodła, i dopiero wtedy udało mu się złamać chwyt Afgańczyka. Rambo stoczył się do koryta, lądując twardo na trupie, z twarzą wbitą we wnętrze zwierzęcia.

Przewrócił się potem i leżał na plecach, oddychając ciężko i walcząc z mdłościami.

Nagle zdał sobie sprawę, że własny oddech jest jedynym dźwiękiem, jaki słyszy. Gracze zamilkli, wieśniaków zatkało z zaskoczenia, że ten obcy, ten niewierny wygrał. Mosaed wpatrywał się w niego podobnymi do żarzących się węgli oczami.

Przywódca wyrzucił z siebie coś, co zabrzmiało jak przekleństwo. Zsunął się ze swego konia, podbiegł do koryta, schwycił Johna za barki i szarpnięciem postawił go na nogach.

Rambo się nie opierał. Wiedział, że należy mu się kara za to, że dał się ponieść emocjom, że pozwolił, aby gniew kazał mu wygrać.

Z kolejnym, brzmiącym jak przekleństwo okrzykiem, Mosaed uściskał go mocno.

Rambo zamrugał z zaskoczeniem.

Krew zbrukała koszulę wodza. Zmiażdżone wnętrze barana przylgnęły do jego brody. Ucałował Johna w policzki i potrząsnął jego ręką.

Teraz wieśniacy wiedzieli już, jakiej spodziewa się po nich reakcji. Polana napelniła się wiwatami. Inni gracze zebrali się wokół Johna, ściskając go i dzieląc z nim ciepłą lepkość krwi. Paplając coś jeden przez drugiego, całowali Amerykanina w policzki i potrząsali jego ręką.

Zupełnie zadziwiony Rambo, uśmiechał się tylko w odpowiedzi na te przejawy entuzjazmu.

Mosaed wygłosił krótkie przemówienie, podszedł do Khalida i Rahima, pokiwał głową i wskazał ręką na Johna.

Rozmawiając w podnieceniu, wieśniacy rozchodzili się powoli, znikając między drzewami, wracając do obozowiska. Zmęczeni gracze powrócili do swych koni, żeby zaopiekować się spoconymi zwierzętami.

Do Johna podeszła Michelle.

Zapaliła papierosa.

- Wygląda na to, że znalazłeś sobie przyjaciela. Wciąż nie mogąc się otrząsnąć z zaskoczenia, Rambo dotknął piekących szram na twarzy.



- Mosaed mówi - ciągnęła Michelle - że żaden Rosjanin nie zdołałby go pokonać w buzkaszi. Jego zdaniem ty absolutnie nie jesteś wrogiem. Od siebie mogłabym tylko dodać, że znasz się też na ludziach.

- Nie rozumiem - odrzekł Rambo, kuśtykając dalej od koryta.

- Na początku sądziłam, że będziesz na tyle mądry, żeby starać się, ale w końcu przegrać.

- Bo taki miałem zamiar.

- Ale przegrywanie nie leży w twojej naturze. Rambo rzucił okiem na swoje upaprane krwią, obwieszane flakami spodnie.

- Chyba na to wychodzi.

- Ci ludzie natychmiast wyczuwają, kiedy ktoś jest gotów wygrać lub umrzeć. Nie zdołałbyś ich nabrać. Mosaed by Cię znienawidził za powstrzymywanie się. I to właśnie miałam na myśli mówiąc, że znasz się na ludziach. Zrozumiałeś, że musisz wygrać, A honor każe Mosaedowi uznać cię za kogoś wyjątkowego. Mówi, że tylko ktoś naprawdę wyjątkowy może z nim wygrać. Tym samym sam staje się kimś wyjątkowym, mistrzem, który szlachetnie uznaje innego mistrza. Jesteś bardzo inteligentny.

- Prawdę mówiąc, nie przemyślałem tego. Ja tylko...

- Zrobiłeś to, co nakazał ci instynkt. - Michelle zaciągnęła się głęboko. - I to wystarczyło.

Mosaed nawet uścisnął ci rękę.

- I pocałował mnie w policzki.

- Nie rozumiesz afgańskich zwyczajów. Tutaj się powiada: "Pocałować kogoś w policzek to uprzejmość. Uścisnąć jego rękę to zapamiętać go na całe życie."

Rambo poczuł nową falę emocji.

- Chodź do lazaretu - powiedziała Michelle. - Zdezynfekuję ci rany.

- Nie, muszę jeszcze coś zrobić.

- Co?

- Zająć się tym koniem, którego mi pożyczyci. Afgańczycy z aprobatą patrzyli, jak John rozkulbacza konia i wyciera trawą jego spocone boki.

- Co sądzisz o buzkaszi?

- Ujmijmy to tak - odparł Rambo. - I tak nie zastąpi baseballu.

## Rozdział 6

Na skale stanął starzec z białą brodą i drżącym głosem zaintonował południową modlitwę. Afgańczycy zebrali się przed nim, rozkładając dywaniki modlitewne, i przyklękli twarzami w kierunku południowo-zachodnim.

W stronę Mekki.

Rambo wszedł w cień jaskini. Ranny mężczyzna, którego Michelle opatrywała poprzedniego dnia, zmarł w nocy, a na jego miejscu leżał chłopiec z twarzą czarną od poparzeń. Rambo poczuł gorzką gulę w gardle i z trudem przełknął ślinę.

Michelle podeszła do niego ze ściereczką i wiaderkiem wody.

- Idź za ten koc, zdejmij z siebie te ła chy i obmyj się. Trzeba zabrać stąd te śmierdzące rzeczy, zanim moi pacjenci jeszcze bardziej się pochorują.

- Aż tak mnie czuć tym baranem? - Rambo pokręcił głową. - Chyba już się przyzwyczailem.

- Człowiek jest w stanie się przyzwyczaić do wszystkiego.

- Nie - odparł stanowczo John, wskazując ruchem głowy poparzonego chłopca. - Nie do wszystkiego.

Wszedł za koc. Kiedy wrócił, Michelle obmyła i zdezynfekowała pręgi na jego nadgarstkach i twarzy.

- To nic poważnego - orzekła. - Nie będzie blizn.

- Chyba wystarczy tego, co już mam.

- Zauważyłam. - Oglądając znaczące jego ciało ślady po ranach, miała dziwny wyraz oczu.

- Kim ty właściwie jesteś?

- Po prostu szukam spokoju.

- Najwyraźniej jednak stale znajdujesz jego przeciwieństwo. Szukasz spokoju? - Westchnęła. - Taaak, właściwie wszyscy to robimy.

Słyszac stukanie drewna o kamienną podłogę jaskini, Rambo obejrzał się i zobaczył beznogiego starca, który niezdarnie wczłapywał do lazaretu, opierając się na lasce i kuli.

- Niewypał urwał mu nogi - wyjaśniła Michelle. Teraz to jest czołgający się wykrywacz min.

- Co takiego?

Czołga się przez pola minowe i odnajduje bezpieczne przejścia. Nie przejmuje się tym, że może potracić zapalnik, bo uważa, że nie ma wiele więcej do stracenia. Poza życiem. Ale jego życie znaczy tyle co nic, w porównaniu z jego krajem. On jest taki sam, jak reszta tych ludzi. Wielki duch i niewiele więcej.

Rambo wyszedł z jaskini z duszą szarpaną niepokojami. Zamknął oczy, próbując się opanować, a kiedy je otworzył, wybuchła w nim nadzieja. Zobaczył, że do obozowiska wjeżdża Musa, wiodąc swą trzyosobową eskortę i dwa objuczone skrzyniami konie.

Wieśniacy tłumnie zgromadzili się wokół koni i w pośpiechu zdejmowali ładunki. Khalid, Rahim i Mósaeed przepchnęli się przez ciżbę. Podważając wieko bagnetem, Mósaeed otworzył pierwszą ze skrzyń, zajrzał do środka i wyjął karabinek. Odwrócił się do stojącego u wejścia do jaskini Johna i oburącz uniósł wysoko nad głowę M-16.

Rambo zacisnął dłoń w pięść i także podniósł ją nad głowę, jakby też trzymał karabin.

Z jaskini wyszła Michelle;

- Taaak, teraz ci pomogą odnaleźć twojego przyjaciela.

## Rozdział 7

Trautman, straszliwie obolały, leżał na podłodze jaskrawo oświetlonej celi. W jego zapuchniętej, pokrytej otwartymi ranami i skrzepłą krwią twarzy trudno byłoby się jeszcze dopatrzeć oczu. Każdy ruch wywoływał potworny ból w karku, a kiedy pułkownik ostatnim razem oddawał mocz, był on czerwony od krwi.

Wokół niego stali pułkownik Zajsan, sierżant Kurow i jeszcze kilku Rosjan.

- Jest pan tu zdany tylko na siebie - powiedział jak zwykle zimnym głosem Zajsan. - Tylko na nas może pan jeszcze polegać. Nikt o pana nie pytał. Nikt nie starał się pana znaleźć. Pański rząd opuścił pana.

Trautman wpatrywał się w ścianę, ignorując Rosjanina.

- Obrzydzeniem napawa mnie sposób, w jaki obaj jesteście traktowani przez przełożonych. Dla nich stanowimy tylko przedmioty - ciągnął Zajsan. - Ale zapewniam pana, pułkowniku, że nie mam zamiaru stracić szansy, jaką pan stanowi dla mnie. Mam zamiar wydostać się z tego zadupia. Pytam więc pana jeszcze raz i proszę, niech pan sobie oszczędzi dalszych cierpień. Po co pan tu przybył?

Sierżant Kurow kopnął Trautmana w żołądek. Kolana pułkownika podskoczyły do klatki piersiowej, a jego jęk był bardziej zwierzęcy niż ludzki.

- Po co pan tu przybył?

- Nie... chciałem - wysapał Trautman - przekraczać granicy. To... była po... pomyłka.

- Proszę odpowiedzieć jeszcze raz, ale tym razem prawdę.

Kurow kopnął Trautmana w plecy.

- Co pan robił po tej stronie granicy?

- Rozglądałem się.

- Szpiegował pan. Ilu Amerykanów przeszło z panem?

- Żaden.

- Kłamie pan. Ilu Amerykanów przekroczyło granicę? Kurow kopnął Trautmana w krocze.

Ten zwymiotował.

- Niech pan nie marnuje mojego czasu i nie obraża mojej inteligencji - kontynuował chłodno Zajsan. Wczoraj zestrzelono dwa moje helikoptery. Coś takiego jeszcze nigdy się nie zdarzyło w moim sektorze. Czy sądzi pan, że uznam za zbieg okoliczności pana przybycie i wczorajszy atak na śmigłowce? Gdzie mogę znaleźć herszta bandytów o imieniu Mosaed Hajdar? A gdzie innego bandytę, znanego jako Khalid? I jeszcze jednego, Rahima? Przyszedł pan przecież tutaj, żeby im przyrzec broń, żeby im pomagać, szkolić ich i pokazywać, jak zabić więcej moich ludzi. Gdzie więc są ich obozowiska?

Kurow wbił pięść w ciastowatą twarz Trautmana.

- No, gdzie? Jeśli istnieje plan zdestabilizowania porządku w moim regionie, a tym samym zniszczenia mojej reputacji - mówił dalej Zajsan - to pan mi to powie, pułkowniku. A wówczas ten plan zostanie powstrzymany.

## CZĘŚĆ SZÓSTA

## Rozdział 1

Rambo siedział na skraju obozowiska między zabarwionymi zachodzącym słońcem drzewami. Czując jakiś nieokreślony niepokój, skończył czyścić swój karabino-granatnik i trzeci już raz sprawdził skrzynkę z materiałami wybuchowymi.

W obozowisku szykowało się wesele. Kobiety wkładały ozdobne suknie i czedory, mężczyźni za pomocą kawałków drewna nakładali na powieki cienkie kreski czerwonego, zielonego i niebieskiego barwnika. Kilku umocowało sobie do turbanów kwiaty. Muzykanci grali na dziwacznych instrumentach. Małe prostokątne pudełko, z jednej strony zaopatrzone w mieszek, z drugiej zaś w klawisze, przypominało brzmieniem akordeon, a długi, wąski, zaopatrzone w struny instrument dźwięczał jak wysoko nastrojona mandolina.

Ze skąpych zapasów żywnościowych wioski wydzielono nieco mięsa na poczęstunek weselny. Teraz jego mocno korzenny zapach, woń koziołka w curry i ryżu, przypomniały Johnowi, że jest głodny.

Pojawił się Musa.

- Czasami ja nie rozumiem ten życie. Ludzia się żenić rano, umierać wieczór. W wojna ludzie się śpieszyć.

- Tak - zgodził się Rambo. - W jeden dzień przeżywa się lata.

Jakiś zbliżający się dźwięk kazał mu schwycić broń i zwrócić się w stronę tętentu kopyt.

Do obozowiska wjechał jeździec, zeskoczył na ziemię i podbiegł do Khalida.

Zaczął coś mówić szybko. Jego wojskowy mundur poderwał Johna na nogi.

- Przecież to żołnierz rządowy - szepnął z naciskiem do Musy.

- Także szpieg dla nas. Po przyjsć tutaj, on już nie odważyć się wrócić do baza jego. Ale jego wieść być tego warte.

- Jakie wieści?

- On mówić, jutro Ruski wysłać w ta rejon wyprawa wojenny.

## Rozdział 2

Weselne bębenki i sitary brzęczały w ciemnościach, ale cienie poruszające się po obozowisku nie należały do tańczących. Mężczyźni szykowali się do tańca ze śmiercią.

Wiadomość o mającej się odbyć nazajutrz bitwie obiegnęła i inne wioski, i teraz ponad stu mudzahedinów kłębiło się pomiędzy namiotami, sprawdzając broń i doglądając zwierząt. Wielkookie dzieci przyglądały się z wnętrza grotty, jak ich matki i siostry uwijają się, by pomóc wojownikom.

Khalid, Rahim i Mosaed wyszli z namiotu. Wszyscy trzej mówili naraz, wyraźnie nie zgadzając się ze sobą.

Rambo obserwował ich z ciemności pod drzewami.

- Musa, o co oni się kłócą?

- Kto prowadzić ludzi. Kto planować atak. Wszystka wodze myśleć, oni mądrzejsza od inne. Wszystka myśleć, ich plan najlepsza. Wszystka myśleć, oni znać wola od Allah.

- A jeśli się nie zdecydują, wszyscy zginą - skwitował

Rambo.

Musa wzruszył ramionami.

- Zawsze oni kłócić się. Ten problem z powstańcy. Afganistan kraj od szczepy. Wszystka szczepy, wszystka wódz równe. Każda szczep iść swoja droga, nie pracować razem.

- W Ameryce mamy takie powiedzenie: Lepiej srać w jednym miejscu - powiedział w zadumie Rambo, przyglądając się przekrzykującym się wodzom. - Inaczej Rosjanie ich pobiją - dodał po chwili.

Rahim potrząsnął uparcie głową i odszedł. Khalid i Mosaed podążyli za nim, wciąż usiłując go przekonać do swoich racji.

Kłócąc się bez przerwy, doszli do drzew, pod którymi stał Rambo. Poblask ognia z obozowiska oświetlił nagle jego twarz.

Na ten widok wodzowie się zatrzymali.

Rambo wiedział, na co się zanosi. Przynajmniej co do tego jednego się zgadzają, pomyślał.

- Walczysz z nami, Amerykaninie - powiedział spokojnie Khalid, a Musa przetłumaczył.

- Nie, jestem tu, żeby odnaleźć mojego przyjaciela.

- To może zaczekać - przerwał mu Rahim. - Musimy zatrzymać radziecki konwój, nim żołnierze znajdą nasze obozowisko.

- A co z moim przyjacielem?

- Pomożemy naszym ludziom, zanim pomożemy tobie - powiedział z naciskiem Mosaed. - Walczysz, czy się przyglądasz?



No i stało się. Oto wyzwanie, pomyślał Rambo. Mosaed zrobił z tego sprawę honoru, Jeśli nie będę walczył, wyjdę na tchórza.

I wrócę do punktu wyjścia.

A tego nie chciał z całego serca.

- Gdzie chcecie zaatakować?

- W dolinie, dwadzieścia kilometrów stąd - odpowiedział Mosaed. - Wystarczająco daleko, żeby nie podejrzewali, gdzie się kryjemy.

- Chcę tam być na dwie godziny przed świtem. Będę potrzebował sześciu ludzi.

- Nie. Pójdiesz razem z nami - odrzekł chłodno Mosaed.

- Posłuchajcie mnie uważnie - powiedział Rambo głosem tak ostrym, jak nóż u jego boku. - Jeśli mam wam pomóc, zrobię to po swojemu.

Wodzowie zamrugali ze zdziwienia, usłyszawszy ton jego głosu. Jeszcze nikt, a już na pewno żaden obcy, nie mówił do nich w ten sposób. Popatrywali na siebie ze zdziwieniem.

Nagle Mosaed, jakby przypomniawszy sobie wspólne buzkaszi i powstała w jego wyniku więź między nim a Johnem, pogładził brodę i powoli skinął głową.

### Rozdział 3

Rambo ściągnął wodze wierzchowca i zatrzymał się na skraju opadającego do doliny zbocza. W świetle księżyca piasek na dnie doliny wyglądał jak rozsypany ług, a niezliczone skały jak ogromne czaszki.

- Co to za miejsce?

Musa zatrzymał konia obok sześciu mudżahedinów, którzy im towarzyszyli.

- Nazywać to Dolina od Ból.

Po prawej ręce Rambo zobaczył w poświacie prymitywną drogę, biegnącą przez wąski przesmyk. Ujście przesmyku lejkowato łączyło się ze zboczami otaczającymi równinę.

- , Tam - powiedział Rambo. - Właśnie tam założymy ładunki.

Zanim dotarli do miejsca, w którym zaczynały się zbocza przesmyku, pojawiła się pierwsza szarość przedświt. Rambo rozładował konia i postawił na ziemi skrzynkę z materiałami wybuchowymi. Zaczekał, aż nadejdzie świt, i dokładnie przyjrzał się ścianom okalającym ujście przesmyku. Potem zabrał się za przygotowywanie ładunków. Nałożył plastik C-4 do metalowych tub, wepchnął detonatory w materiał wybuchowy, po czym połączył detonatory przewodami do miniaturowych, zasilanych mikrobateriami odbiorników fal radiowych. Wreszcie zatkał tuby, - Musa! - odezwał się, zakończywszy pracę. Powiedz naszym ludziom, żeby obchodzili się z tymi paskudztwami tak delikatnie, jak z niemowlętami. Jeśli nie będą uważać, przy wstrząsie mogą się odzepić przewody detonatora albo sam detonator może eksplodować.

- Oni zrobić, jak ty mówić. Oni chcieć zginąć w walka, a nie przed walka.

- Żadnego gadania o umieraniu! - rzucił ze złością Rambo. Potem wskazał ręką strategiczne miejsca po obu stronach przesmyku i w samej dolinie. - Powiedz ludziom, żeby wtykali ładunki w szczeliny, wpychali je głęboko i zasypali kamieniami.

Mężczyźni bez słowa rzucili się do wykonywania rozkazów. Z niezwykłą zręcznością zaczęli się zsuwać kolejno po niemal pionowym zboczu. W blasku pierwszych promieni słońca Rambo przyglądał się, jak trzej z nich przebiegają na drugą stronę przesmyku i wspinają się na przeciwległy stok. Musa również zszedł do doliny. Rambo nie mógł dojrzeć, jak radzą sobie ci trzej, którym przypadło w udziale ukrywanie ładunków na zboczu bezpośrednio pod nim. Ale widząc, że reszta ściśle wypełnia instrukcje, przestał się niepokoić i zajął się rozmieszczaniem ładunków na szczycie krawędzi.

Musa powrócił z pozostałymi wojownikami po godzinie. Wtedy Rambo wręczył mu miniaturowy radionadajnik.

- Żeby wysadzić w powietrze ładunek musisz przekręcić ten przełącznik... on włącza cały nadajnik. Potem naciskasz ten guzik, a radio wysyła sygnał. Sygnał jest odczytywany przez odbiornik i wysyła prąd z baterii do detonatora. C-4 wybucha.

Musa skinął głową.

Rambo nie był pewny, czy Musa rzeczywiście zrozumiał, na czym polega zdalne detonowanie. Ale wtedy Musa go zaskoczył.

- Kiedy ja nacisnąć guzik, czy nie wszystko ładunek wybuchnąć?

- Nie, o ile zrobisz to prawidłowo. Tu, ponad guzikiem, masz pokrętkę z liczbami. Tym liczbom odpowiadają różne ładunki. Od jednego do sześciu to ładunki, które założyłeś na dnie doliny. Siedem do dwunastu to tamto, przeciwległe zbocze. Następne sześć wybuchnie w tym zboczu, a ja założyłem jeszcze sześć tu, na krawędzi. Jeśli więc chcesz odpalić na przykład numer dwunasty, po prostu przekręcasz tarczę na dwunastkę i naciskasz guzik.

- Trocha trudna, skomplikowany - odparł Musa, po czym skinął dumnie głową. - Ale ja zapamiętać.

Rambo uścisnął jego ramię.

- Wiem, że zapamiętasz.

- I ty też, także mieć nadajnik? - spytał Musa.

- Taki sam jak twój. Chcę się zabezpieczyć na wypadek, gdyby jeden z nich nie zadziałał.

- Albo jedna z nas umrzeć.

- Powiedziałem ci już, żadnego gadania o umieraniu! Zaprowadzili konie do sporej, niedaleko położonej niecki i przywiązali je do krzewów. Wróciwszy na miejsce nad krawędzią, Rambo wpatrzył się w drugi koniec doliny. Po chwili dojrzał jeźdźców, którzy zbliżali się do przesmyku. Wjechawszy do doliny, rozdzielili się. Część zniknęła po lewej, część po prawej stronie, jeszcze inni zatrzymali się w dolinie. Zsiedli z koni, ukryli je między skałami w bezpiecznej odległości od przesmyku i pośpieszyli na wyznaczone stanowiska. Osiągnąwszy je, przypadli do ziemi, naciągnęli na siebie piaskowego koloru peleryny i po chwili zupełnie złączyli się z otoczeniem.

- Kto was nauczył takiej metody walki?

- W ten sposób moja ludzka walczy od tysięcy lat. Rambo był pod wrażeniem, ale nie opuszczał go niepokój.

- Kiedy mają tu być Rosjanie?

- Za jedną godzinę.

Niepokój Johna wzrósł jeszcze bardziej. Amerykanin podczołgał się do przodu, żeby jeszcze raz sprawdzić przesmyk.

Miał złe przeczucia. I to coraz mocniejsze. Leżąc na brzuchu, wychylił się poza krawędź zbocza. Nadal nie był w stanie wypatrzeć ani jednego mudżahedina. Był również zupełnie pewny, że ładunki zostały założone prawidłowo. Ale i tak miał wrażenie, że coś nie gra.

- To mi za łatwo wygląda. Na miejscu Rosjan bałbym się właśnie takiego miejsca. I zanim bym tu wjechał, dobrze bym się zabezpieczył.

- Ruski myśleć, jego czołgi niewyciężony.

- Być może - mruknął nieprzekonany Rambo, starając się zwalczyć złe przeczucia. - Rozdzielmy się. Przejdę na drugą stronę.

Wsunął nadajnik detonatora do plecaka, zarzucił na ramię swój karabinek i ześlizgnął się z krawędzi. Zbocze miało sporo niewielkich, ale mocnych i wyrazistych występów, więc ani zejście, ani wspinaczka nie stanowiły problemu.

- Ty walczyć z nami razem. Teraz ty jeden z nas powiedział za nim Musa. - Niech Allah być z tobą.

- Iz tobą - odparł Rambo chrapliwym ze wzruszenia głosem.

## Rozdział 4

Był na środku drogi w przesmyku, kiedy nagły lęk zacisnął mu pierś stalową obręczą. Dobiegł go przerażający klekot gąsienic czołgów. Wzmocniony echem zwężającego się lejka przesmyku dźwięk szorowania metalu o kamienie sprawiał wrażenie bardzo bliskiego. Ryk dieslowskich silników narastał szybko.

Nie!

Rambo zerwał się do biegu. Dobiegłszy do przeciwległego zbocza rzucił się na ziemię, błyskawicznie wczołgał się pomiędzy głazy i skrył się za sięgającą piersi skałą.

Zauważył, że gdzieś po drodze skaleczył się głęboko w dłoń. Krwawiła silnie.

Z ujścia przesmyku wychynęła lufa armaty. Z rykiem silnika pojawił się pędzący osiemdziesiąt kilometrów na godzinę gąsienicowy transporter opancerzony. Maszyna była niska, długa i wąska. Nad armatą sterczał kierowany pocisk przeciwczołgowy, wieżyczkę wieńczył ciężki karabin maszynowy, a z płyty czołowej wystawały jeszcze dwa. Rambo znał tę konstrukcję. Licząca pięć osób załoga maszyny siedziała w przednim przedziale, w tylnym zaś mieściło się sześciu żołnierzy ze sprzętem.

Za transporterem pojawił się następny. I jeszcze jeden. Potem z przesmyku wyprysnął czołg, przy którym transportery wydały się niewielkie i kruche. Był wielki, a jego armata i karabiny maszynowe miały prawie dwukrotnie większy kaliber niż uzbrojenie transporterów. Za tym potworem podążały wyładowane żołnierzami ciężarówki. Cztery, pięć, sześć sztuk. Następne, jeszcze pięć, dojeżdżały właśnie do miejsca zasadzki. Za nimi widać było jeszcze jeden czołg i jeszcze dwa transportery opancerzone.

Cały ten konwój wypadł z przesmyku tak szybko, że Rambo nie miał czasu na ściągnięcie plecaka, otwarcie go, wyjęcie nadajnika, przekręcenie tarczy i wciśnięcie guzika.

Odpalaj ładunki, Musa!

Ale nic się nie stało.

Rambo nagle zrozumiał. Musa obawia się, że jestem zbyt blisko ładunków.

Wciśnij ten cholerny guzik, Musa!

Rambo jak szalenciec zerwał z siebie plecak i szarpał jego pokrywę.

Zrób to Musa!

Straszliwy błysk i eksplozja rzuciły go na plecy. Niemal natychmiast po pierwszym nastąpił drugi wybuch. Rambo zmusił porażone mięśnie do czynu i podczołgał się z powrotem pod osłonę skały. Podmuch poderwał piaskowe kurzawy w całym polu widzenia. Tuż obok kolana Amerykanina w ziemię wbił się odłamek skały o ostrych jak brzytwa krawędziach. Z obu ścian przesmyku strzelały kłęby dymu i pyłu. Zbocza uniosły się, zadrżały i opadły, posyłając tony

kamieni na pięć ciężarówek, dwa transportery i czołg, które wciąż jeszcze były pomiędzy ścianami przesmyku. Żołnierze wrzeszczeli, metal zgrzytał, a setki kilogramów pyłu kłębiło się w powietrzu.

Rambo wszystko to raczej poczuł, niż dostrzegł, oszołomiony siłą eksplozji. Ale jego ręce nie próżnowały. Zdołał się wreszcie uporać z zamknięciem plecaka, wyciągnął nadajnik i z karabinkiem w ręce pognął do tyłu, między dwa wielkie głązy.

Pojazdy, które zdążyły już opuścić przesmyk, zatrzymały się. Z małą zręcznością wyskakiwali z nich żołnierze, komandosi Specnazu, strzelając z biodra, w biegu, natychmiast po dotknięciu ziemi. Wieżyczki dwóch transporterów opancerzonych zaczęły się obracać, poszukując celów i siejąc seriami z karabinów. Z przodu czołgu odezwał się basowym staccato ciężki karabin maszynowy.

Mudżahedini odrzucili maskujące plandeki i otworzyli ogień do żołnierzy w tej samej chwili, kiedy zbocza przesmyku wyleciały w powietrze. Pojedyncze strzały z karabinów Enfielda z trudem dawały się usłyszeć wśród terkotu M-16, a jeszcze głośniejszy był natarczywy grzechot dwudziestoletniego, chińskiego karabinu maszynowego.

Żołnierze Specnazu padali, ale większość z nich zdołała dotrzeć pod osłonę skał. Odpowiadali w zorganizowany sposób ogniem swych Kałasznikowów, wspierani ciągłymi seriami z wozów bojowych. Działonowy jednego z transporterów znalazł cel i odrzut armaty wstrząsnął pojazdem. Moment później ryknęło potężne działo czołgu. Ziemia się zatrzęsała. Skały się rozpadły. Afgańscy bojownicy zostali rozerwani na strzępy. Fragmenty ich ciał trysnęły krwawym prysznicem na wszystkie strony.

Zwalone Ściany przesmyku tylko częściowo wykonały swoje zadanie. Trzy z pięciu ciężarówek i jeden transporter były uszkodzone, ale nie zniszczone. Wyskakiwali z nich teraz żołnierze, przedzierali się przez zwały gruzu i pędzili, żeby się przyłączyć do walki.

Rambo przekręcił numeryczną tarczę swego nadajnika i wcisnął guzik detonatora. W powietrze wyleciał kolejny fragment zbocza, przywalając odłamkami skał radzieckich żołnierzy, którzy wyrwawszy się spod pozostałości po poprzednich wybuchach, dotarli do wylotu przesmyku. Rambo przekręcił tarczę na następny numer, ale zanim zdążył wcisnąć guzik, przeciwległa ściana wybrzuszyła się i zrzuciła jeszcze więcej gruzu na gramolących się oszołomionych żołnierzy. Z satysfakcją uświadamiając sobie, że ten wybuch musiał być dziełem Musy, John spokojnie odpałił ładunki, na które nastawił tarczę swojego nadajnika. Do przesmyku poleciały z ogłuszającym łomotem kolejne tony kamieni i zwały ziemi.

Od skały, za którą schronił się Amerykanin, odbiła się jęklwym, ciężkim rykoszetem Szybka seria dużych pocisków. Piach wokół Johna ożył, siekany odłamkami kamienia. Rambo

zrozumiał natychmiast, że został namierzony przez załogę transportera opancerzonego. A skoro tak, to za moment jego działo...

Rambo błyskawicznie przekręcił tarczę, ustawiając ją przy cyfrze 5 i wcisnął guzik. Z gromem wybuchu przed wozem bojowym uniosła się ziemia, obsypując go gradem kamieni i piachem. Ten wybuch nie uczynił, oczywiście, żadnych szkód w opancerzonym cielsku maszyny, ale Rambo nie po to odpalił ten ładunek. Wiedział, że transporter stoi zbyt daleko od miejsca ukrycia materiału wybuchowego, ale wzniecona wybuchem kurzawa musiała całkowicie oślepić działowego, dając Johnowi szansę zmiany pozycji i znalezienia lepszego ukrycia.

Amerykanin szybko biegł do tyłu, ostrzeliwując się krótkimi, spokojnymi seriami. Wskoczył za sporą skałę i skrył się w tej samej chwili, kiedy transporter opancerzony wypalił. Celowniczy najwyraźniej postanowił mimo braku widoczności strzelić na pamięć. Był chyba bardzo dobry w tym, co robił, bo skała, za którą przed chwilą siedział Rambo, rozleciała się w pył. Gryzący dym dosięgnął nowego schronienia Johna, zapierając dech swą temperaturą i intensywnością.

Afgańczycy ani na moment nie przerywali ostrzału. Z gwizdem odezwało się ukryte w głębi doliny, wyreperowane domowymi metodami, 88-milimetrowe działo bezodrzutowe trafiając w burtę czołgu. Mimo potężnego ciosu, ciężkie opancerzenie czołgu nie poniosło większego szwanku, a załoga wozu natychmiast namierzyła obsługę działa i zaczęła ją kosić precyzyjnymi seriami cekaemu. Afgańczycy z wrzaskami bólu próbowali uciec, padali.

Wychylając lufę swego karabinka przez szczelinę między dwiema skałami, Rambo wystrzelił granat w stronę schronienia żołnierzy Specnazu. Głazy popękały, rozpadły się ciała. Trzech żołnierzy próbowało zająć Amerykanina z flanki, ale widząc zagrożenie, John zlikwidował komandosów krótką serią z karabinka.

Kątem oka dostrzegł, że po jego prawej ręce strzał z działa czołgu zmienił skupisko mudzahedinów w krwawą miazgę, a kilku innych Afgańczyków zostało przeciętych w pół pociskami karabinu czołgu.

W tej samej chwili ujście przesmyku z potwornym hukiem zmieniło się w kupę gruzu, grzebiąc specnazowców, którzy znaleźli tam schronienie. Znów Musa!

Rambo wciąż strzelał.

Nagle poczuł, że krew ścina mu się w żyłach. W kakofonię wybuchów i strzałów wdarł się wibrujący, przenikliwy świst, dobiegający z nieba. Ciągająca za sobą ogon dymu rakietą wdarła się do doliny i w ułamku sekundy zmieniła skupisko skał i kryjące się za nimi grupki mudzahedinów w parujący, pełen krwi krater. Ponad rozwalonym ujściem przesmyku zagrzmiały działka szybkostrzelne. Afgańczycy po prostu znikali, roznoszeni w strzępy ich potworną siłą rażenia.

Obrotowe, sześciolufowe ciężkie karabiny maszynowe siały śmierć i zniszczenie, wypluwając sto pocisków kalibru 7.62 na sekundę, zmieniając w proch wszystko, na co się skierowały.

Radziecki śmigłowiec. Przytłaczający hałas bitwy zagłuszył ryk silników zbliżającego się Mi-24. Niebywale wielki, wychynął w miejscu, gdzie jeszcze niedawno było ujście przesmyku, i spadł do doliny. Jego groteskowe skrzydła załśniły smugami Ognia, kiedy od śmigłowca oderwały się jeszcze dwie rakiety. Nieruchome działka pokładowe wybuchały regularnymi językami dymu, a obracające się lufy cekaemu zionęły ogniem.

Zasadzka zmieniła się w chaos. Ziemia drżała. Mudżahedininapotykali płonąca, przesywającą i wybuchającą śmierć wszędzie, gdzie się zwrócili:

Potężny rotor włączającego się do walki śmigłowca wzbijał tumany pyłu. Rosjanie natychmiast wyprowadzili kontratak, powiększając jeszcze zamieszanie. Powstańcy zaczęli się wycofywać.

Dopiero teraz Rambo zrozumiał, co nie dawało mu spokoju w trakcie ostatnich oględzin przesmyku przed nadejściem Rosjan. To miejsce było tak oczywistą pułapką, że Sowieci musieli zapewnić sobie wsparcie powietrzne. Ten Ptak Śmierci miał zapewne sprawdzić przesmyk przed przemarszem kolumny, ale coś musiało go powstrzymać i dlatego przybył o minutę za późno.

Zbyt późno, żeby powstrzymać atak, ale wystarczająco szybko, by zniszczyć atakujących.

Przelatując tuż nad krawędzią stromizny, z której o świcie Rambo studiował ukształtowanie terenu, śmigłowiec zakończył zataczanie koła nad polem bitwy i szykował się do nawrotu do kolejnej rundy śmierci. Znów był zwrócony dziobem w stronę powstańców, a jego podskrzydłowe uzbrojenie pluło dymem i ogniem. Rambo starał się utrzymać na nogach - ziemia wokół drżała. Afgańczycy ostrzeliwali śmigłowiec z karabinków M-16, ale wysiłki te były zupełnie bezcelowe. Nawet jeśli pociski dosięgały pędzącej maszyny, nie były w stanie zagrozić jej opancerzonemu cielisku.

Ale istniało coś, co mogło mu zagrozić. Czując łomotanie tętnic za uszami, Rambo przekręcił tarczę nadajnika.

W otaczającym go gęstym dymie ledwie widział cyfry. Eksplozje wstrząsały jego ciałem. Wyjący śmigłowiec znów przeleciał mu nad głową. Znowu zatoczył koło ponad polem bitwy, i znowu, kiedy rozwiął się dym, Rambo dostrzegł, że maszyna nadlatuje nad krawędź klifu.

Wcisnął guzik nadajnika. Klif wybuchł, ale zanim jeszcze zdążyła się poderwać ściana gruzów, Rambo znów przekręcał tarczę i ponownie naciskał guzik. Usłyszał następny grzmot eksplozji. W czasie gdy Musa i inni mudżahedini zakładali ładunki w ścianach i dnie przesmyku, Rambo zakopał własne miny wzdłuż krawędzi klifu.

Na wypadek, gdyby bitwa przeniosła się w tę stronę.



Na wypadek, gdyby powstańcy musieli tędy uciekać i potrzebowali czegoś, co opóźniłoby atak wroga.

Na wszelki wypadek; Zawsze trzeba być przygotowanym na niespodzianki.

Nauczył go tego Trautman.

Trautman.

Rambo przekręcił tarczę i znowu wcisnął guzik.

Pierwszy wybuch zachwiał śmigłowcem.

Drugi rzucił go na bok.

Ale maszyna nieprzerwanie pędziła naprzód.

Trzecia eksplozja odwróciła ją do góry brzuchem, W tej pozycji nawet tak potężne turbiny nie były w stanie powstrzymać nacisku ton stali.

“Uskrzydłony wagon towarowy” wisiał jeszcze przez ułamek sekundy w powietrzu.

Spadł leniwie, jakby jego katastrofa była sfilmowana w zwolnionym tempie.

Ale błysk eksplozji pojawił się bardzo szybko. Jęzor płomieni sięgnął połowy wysokości zbocza. Rambo zadrżał, kiedy fala uderzeniowa dotarła do jego kryjówki.

A jeśli Musa był blisko tego zbocza? Czyżbym go zabił?

Zadrżał ponownie, tym razem na dźwięk strzału z armaty transportera opancerzonego. Pocisk uderzył dwadzieścia metrów za nim. Ale kiedy Afgańczycy z wrzaskiem triumfu przerwali odwrót i z powrotem rzucili się do ataku, transporter ze szczękiem gąsienic ruszył im na spotkanie.

Wybuch pod jego brzuchem rozerwał blachy i wypatroszył pojazd. Wóz stanął w płomieniach, a z jego wnętrza dobiegło wycie palących się ludzi.

Ta eksplozja mogła nastąpić tylko z jednego powodu. Odpalił ładunek zdetonowany przez Musę. A więc przewodnik wciąż żył!

Afgańczycy mieli jeden granatnik przeciwpancerny RPG-7, broń znalezioną dwa miesiące wcześniej w zgliszczach po wygranej bitwie z Rosjanami. Broń hołubioną, trzymaną w rezerwie do czasu, kiedy strzelec będzie absolutnie pewny, że granat nie chybi celu. Trzymający granatnik mudżahedin spokojnie wymierzył, i wystrzelił kumulacyjny pocisk w drugi transporter. Niewielki otwór w burcie pojazdu zaowocował wydęciem pancerza całego wozu i imponującym wybuchem, kiedy znajdująca się wewnątrz amunicja eksplodowała.

Pozostali przy życiu żołnierze radzieccy rzucili się do ucieczki przez gruzy przesmyku. Mudżahedini ścigali ich, strzelając.

Lecz czołg wciąż stał nietknięty w miejscu, rzygając pociskami swych cekaemów i grmiąc z armaty. Przekonani o zwycięstwie wojownicy Świętej Wojny, którzy nieopatrznie pojawili się bez osłony, natychmiast osiągnęli tak wymarzony stan męczeństwa.

Czołg z rykiem skoczył w przód, niepowstrzymany, potężny, rozstrzelując wszystko na swej drodze. Coraz więcej mudżahedinów padało.

Ciężko ranny Afgańczyk wyrwał zawleczkę z własnej produkcji granatu - ładunku trotylu umieszczonego wraz z zapalnikiem w chlebaku. Przedśmiertnym, słabym ruchem usiłował rzucić granat w czołg, ale ładunek z płonąca spłonką wylądował o pięć stóp od martwej już ręki. Czołg zbliżał się błyskawicznie, ale nie aż tak szybko, by znaleźć się w polu rażenia trotylu w momencie wybuchu ładunku w chlebaku. Mudżahedini wciąż bezowocnie ostrzeliwali nadciągający z rykiem czołg, a jego wieżyczka obracała się, znajdując ciągle nowe cele i niszcząc je.

Rambo zerwał się na nogi i pognął do dymiącego chlebaka. Złapał go i pobiegł w stronę czołgu. Wieżyczka zaczęła się odwracać w jego kierunku, więc zanurkował pod wóz bojowy, rzucając chlebak w górę. Ładunek wylądował na wieżyczce. Czołg wciąż się zbliżał. Jego wielki cień dosięgnął już Johna, który przypadł bliżej do ziemi i przetoczył się tak, że brzuch ciężkiego pojazdu przeleciał z łoskotem gąsienic ponad nim. Widząc przez zasypane pyłem oczy światło za czołgiem, Rambo skoczył na nogi i wyrwał przed siebie. Płuca paliły, nogi sztywniały z wysiłku. Gorący podmuch eksplozji powalił go na ziemię.

Powoli odzyskując oddech, odwrócił się na plecy i obejrzał. Czołg stał, jego silnik nie pracował. Lufa Wielkiej armaty zwisała bezwładnie z wyrwanej z łoża wieżyczki. Wnętrze czołgu buchało płomieniami.

Rambo leżał na plecach, ciężko dysząc.

Poczuł cień na twarzy. Sięgnął po nóż.

Puścił broń na widok uśmiechniętej twarzy Mosaeda, który pochylił się i podał mu rękę, pomagając wstać.

## Rozdział 5

Z przesmyku słychać było sporadyczne strzały. Nie, był to jednak grzechot broni automatycznej, lecz pojedyncze szczeknięcia skałkowych Enfieldów - to mudżahedini ścigali uciekające niedobitki radzieckiego konwoju między ruinami i gruzami blokującymi przesmyk. Rambo z obrzydzeniem zorientował się, że Afgańczycy zabijają schwytanych żołnierzy.

Bitwa się skończyła. Kurz opadł. Bojownicy chodzili po polu walki, zbierając broń i amunicję Rosjan.

Jakiś Afgańczyk wbił bagnet w gardło rannego Rosjanina.

Rambo odwrócił wzrok.

To nie moja wojna!

Ci ludzie z trudem żywią się sami, cóż więc mówić o karmieniu więźniów. Mają zbyt wielu swoich rannych, żeby trwonić środki medyczne na rannych Rosjan. Gdyby zaś pozwolili im odejść, ci żołnierze wróciliby, zabijając więcej powstańców. Mudżahedini nie mają więc wyboru. Muszą zabijać jeńców.

Wciąż to samo...

To nie moja wojna!

Odwrócił się, słysząc jakiś gwar. Po jego lewej, w sporej odległości od pola bitwy, Afgańczycy uformowali podniecony krąg i naśmiewali się z czegoś.

Oczy Mosaeda zabłysły emocją. Pobiegł w stronę wrzeszczącego kręgu. Dołączyli do niego szybko Khalid i Rahim, przepychając się do środka kręgu.

Zmieszany, ale i zaciekawiony Rambo pośpieszył tam również. Zobaczył, z czego się śmiali, i zrobiło mu się niedobrze. Na piasku leżał skulony rosyjski żołnierz, najwyżej dwudziestolatek, otaczając głowę ramionami w obronie przed kamieniami, którymi obrzucali go rozbawieni Afgańczycy.

Jeden z mudżahedinów szarpnął za rękaw munduru, odrywając rękę Rosjanina od twarzy. Młody żołnierz zaryzykował pełne przerażenia spojrzenie w górę. Rambo pomyślał, że chłopak wygląda jak pies, co stracił ducha od zbyt wielu razów. Niebieskooki blondyn o chłopięcej twarzy, swą niewinnością przypominał raczej ofiarę niż agresora.

Afgańczycy schwycili go za ramiona i zakręcili nim jak bakiem. Wirujący w pyłe chłopak obrzucony został gradem kamieni. Przestał się kręcić. Jeden z powstańców złapał go za włosy, odchylił mu głowę na plecy, odsłonił gardło, wyjął z pochwy nóż i sięgnął nim do krtani...

Rambo ruchem szybkim jak atak węża wyciągnął rękę pomiędzy dwoma odgradzającymi go od Rosjanina Afgańczykami i chwycił nadgarstek mudżahedina, nim ostrze noża dosięgło skóry na szyi żołnierza. Lśniącą krawędź broni zawisła drżąc o pół centymetra od tętnicy szyjnej

Rosjanina. Afgańczyk naciskał, usiłując złamać chwyt Johna, Rambo zaś z coraz większą siłą odciągał nóż.

Afgańczyk ryknął wściekle. Rambo wykręcił mu rękę. Nóż wypadł z dłoni mudzahedina.

Powstaniec odskoczył w tył i wymierzył swój karabin w pierś Johna.

Z tłumu wystrzeliła dłoń Khalida, zbijając lufę do ziemi. Wódz zagadał ze złością do Afgańczyka, odwrócił się do Johna i powiedział coś z jeszcze większym gniewem.

- On mówić on ratować twoja życie. Mówić on odpłacać za życie jego córka. Mówić, on nie powinien się wtrącać- wyszeptał jakiś zdyszany głos obok Johna.

Rambo się odwrócił.

I zobaczył Musę.

Ale nie było czasu, żeby powiedzieć: Bogu niech będą dzięki, żyjesz! Nie byłeś na tym zboczu, kiedy odpaliłem ładunki!

Otaczały go rozzłoszczone, pełne napięcia twarze afgańskich wojowników.

Rahim odezwał się z wściekłością.

Musa przetłumaczył:

- Ty zabrać nóż od ten człowiek. Ty go znieważać. Obraza musisz być ukarany;

- Nie miałem zamiaru go obrażać! Chciałem tylko... - Afgański nie atakować Afgański!

- Przecież ja nie jestem jednym z was! - nie ustępował Rambo. - Nie rozumiem waszych zwyczajów!

- Ty nie podnosić głos - ostrzegł go Musa. - Afgański nigdy nie krzyczeć. Używać siła od słowa. Krzyczeć być obraza.

Rambo z wysiłkiem opanował swój głos.

- Powiedz mu, że nie miałem zamiaru go obrazić. Szanuję jego odwagę. Jest wielkim wojownikiem. Ale nie mogłem mu pozwolić na zabicie tego jeńca. Nie wtrącałbym się, gdybym nie miał ważnego powodu. Gdyby zechciał mnie wysłuchać...

Afgańczyk, któremu Rambo wytrącił nóż z ręki, trząśł się z wściekłości.

- Powiedz mu, że go błagam o wybaczenie. Korzę się przed nim. Patrz!

Rambo złapał nóż, przyłożył go do swego przedramienia i powolnym ruchem rozciął skórę i mięsień. Poląła się krew. Afgańczyk wyprostował się. Rambo wyciągnął do niego nóż trzonkiem w przód.

- Jest mi ogromnie przykro, że stało się to, co się stało. Ale twój honor nie poniósł uszczerbku. Nie obnażałeś noża na próżno. Spróbował krwi.

Afgańczyk wyraźnie się zawahał.

- Jeśli mi wybaczysz, będę twoim dłużnikiem - ciągnął John.

Jego przedramię krwawiło.

Zamyślony, wciąż jeszcze drżący z oburzenia wojownik powoli wyciągnął rękę i przyjął nóż.

- Dzięki - powiedział Rambo.

Afgańczycy zamruczeli z aprobatą. Rambo rozluźnił napięte mięśnie ramion. Mosaed odezwał się burkliwie.

- On mówić tak lepiej - przetłumaczył Musa. - Robić, jak kazać Koran. - Osądzić. Wymierzyć. Być sprawiedliwość. A potem zabić ten Ruski.

Przerwał mu gniewnie Rahim.

- Nie. Koran wymaga sądu tylko dla muzułmanów. Niewierni nie są chronieni naszymi prawami. Ten żołnierz jest gorszy niż niewierni. On jest ateistą. I tchórzem. Kiedy zaatakowaliśmy, pobiegł do tych skał i schował się. Kat powinien zabrać jego psie ścierwo z naszych oczu i ściąć mu głowę.

Afgańczycy zgodnie kiwali głowami. Chudy, wysoki mężczyzna, kat, wystąpił ze swym toporem.

- Musa! Powstrzymaj ich! - powiedział z naciskiem Rambo, zmuszając się, by nie podnieść głosu. - Powiedz im, że muszą mnie wysłuchać. Powiedz im, że potrzebuję tego człowieka. Powiedz im... Myślę, że on może mi pomóc w odnalezieniu mojego przyjaciela!

- Omówimy to na zebraniu rady - burknął Mosaed.

- Skoro przy tym jesteśmy, omówcie może jeszcze coś - odrzekł John. - Od kiedy tu przybyłem, wszystkim wyrządzam jakieś przysługi. Chyba czas, żeby ktoś zrobił coś dla mnie. Przynależcie mi pomoc w odnalezieniu mojego przyjaciela. Wciąż mówicie o swoim honorze. Do niego więc apeluję. Dotrzymajcie słowa. Jeśli ten człowiek może mi pomóc, pozwólcie mu żyć!

Afgańczycy byli zaskoczeni.

- Być źle - powiedział Musa. - Ty nie powinien kwestionować ich słowo. Oni teraz mieć tylko dwóch wyjścia. Zabić ciebie albo zrobić, o co ty prosić.

Wstrzymując oddech, Rambo czekał na decyzję. Mosaed wystąpił naprzód. Stanął przed Johnem.

- Uważasz, że nie dotrzymam słowa?

- Powiedzmy, że ci tylko o nim przypominam, - Wiesz, czym ryzykujesz mówiąc tak śmiało?

- Wiem.

Mosaed przyjrzał mu się uważnie.

- Twój przyjaciel musi dla ciebie wiele znaczyć. - Myślę o nim jak o ojcu.

Przez kilka sekund Mosaed milczał, wpatrując się w twarz Amerykanina i przetrawiając jego słowa. Wreszcie przemówił:

- Twoja lojalność dorównuje afgańskiej. I uczucia, i odwaga. Oszczędzimy dla ciebie tego człowieka. Ale jeśli nie pomoże - Mosaed wziął od kata jego topór - lub jeśli spróbuje nas zdradzić, ty sam będziesz musiał go pozbawić głowy.

## Rozdział 6

Trautman uniósł zapuchniętą twarz z kałuży krwi. Wciąż unurzany w oślepiającym świetle opancerzonej żarówki, zwrócił głowę w stronę zakratowanego okienka w drzwiach celi. Dobiegały go jakieś dźwięki. Nieznane. Odbijały się echem od ścian korytarza. Zmusił się do jaśniejszego myślenia.

Kroki.

Tak. Ale nie pewne siebie kroki pułkownika Zajsana, ani ciężkie sierżanta Kurowa, wracającego na kolejne przesłuchanie i tortury.

Nie, te kroki były człapiące.

Wiele stóp. Ktoś upadł. Pejcz chlasnął ciałem. Ktoś jęknął, ktoś inny zaszlochał. Znowu pejcz spadł na czyjeś plecy. Strażnik rzucił jakieś rozkazy. Człapanie nie milkło.

Trautman przyklęknął powoli. Wspierając się o ścianę zdołał odnaleźć w sobie siły, by powstać. Chwiejnie powłókł się do drzwi.

Przez kraty okienka zobaczył słaniających się, wlokących wzdłuż korytarza Afgańczyków, popędzanych przez strażników. Mimo że obraz rozmywał się w oczach, mimo otępienia, zdołał naliczyć co najmniej dziesięciu więźniów. Pojął też, że nie są to świeżo uwięzieni ludzie. Nie wpychano ich do cel. Wręcz przeciwnie. Strażnicy pędzili ich w kierunku, skąd zawsze nadchodził pułkownik Zajsan.

Do drzwi, przez które wniesiono tam Trautmana.

W stronę dziedzińca fortecy.

Pułkownikowi nogi odmówiły posłuszeństwa. Osunął się spod okienka, przesuwał twarzą po metalu drzwi, czując w ustach krew.

Przecucie napełniło go odrazą.

Opadłszy na podłogę przy drzwiach był już pewien, że gdyby Rosjanie wypuszczali więźniów, straż traktowałaby ich inaczej. A więźniowie nie opieraliby się, nie błagali.

Nie wydawało się też prawdopodobne, aby tych dziesięciu ludzi miało być przesłuchiwanym razem.

Przecucie się nasiliło. Jęknął.

## Rozdział 7

Major Azow wpatrywał się w dziedziniec z okna w pokoju pułkownika Zajsana. Rzucany przez zachodzące słońce cień muru przecinał w pół szereg stojących na baczność żołnierzy.

Azow pokręcił głową z obrzydzeniem. Miał czterdzieści lat, twardą, żołnierską twarz i - paradoksalnie - pełne uczucia oczy. Z całego serca żałował, że kiedykolwiek usłyszał o "Kraju poza kontrolą", nie mówiąc już o pobycie tutaj.

Zwrócił się do swojego przełożonego:

- Towarzyszu pułkowniku, z całym szacunkiem, ale to był wasz pomysł, żeby wysłać całą kolumnę, nie czekając aż się dowiemy, gdzie jest kryjówka rebeliantów.

- Chcecie powiedzieć, że to co się stało, to moja wina? - spytał wściekle Zajsan.

- Oczywiście, że nie, towarzyszu pułkowniku. Musimy przecież podejmować jakieś działania. Ale nie zawsze jesteśmy w stanie przewidzieć ich konsekwencje, nawet jeśli nasza taktyka została dobrze zaplanowana.

- Nazywacie "dobrze zaplanowaną" utratę w ciągu dwóch dni trzech śmigłowców, dwóch czołgów, sześciu transporterów opancerzonych i ponad stu ludzi?

Azow nie ośmielił się powtórzyć, że wysłanie kolumny było pomysłem pułkownika.

- Rebelianci muszą ponieść nauczkę - ciągnął Zajsan, nie czekając na odpowiedź podwładnego. - Kryją się gdzieś blisko miejsca, gdzie zaatakowali. Jestem o tym przekonany. Jutro zarządzę operację szukaj-zniszcz. Na pełną skalę.

- A jeśli oni chcą, żebyśmy myśleli, że ich kryjówka leży w pobliżu? Towarzyszu pułkowniku, działając zbyt szybko możecie zrobić dokładnie to, o co im chodzi. Mogą zastawić kolejną pułapkę.

- Nie sprzecząjcie się ze mną, majorze! Mówiliście o konsekwencjach, tak? No więc za to, co dziś zrobili, rebelianci na pewno poniosą konsekwencje!

Azow znów popatrzył przez okno na stojących w szeregu żołnierzy.

- A co z tym amerykańskim więźniem?

- A co ma być?

Powinien być przekazany do Kabulu, towarzyszu pułkowniku, zanim zaczniecie uczyć rebeliantów znaczenia słowa "konsekwencje". Jeśli się dowie o... - Kiwnął ręką w stronę żołnierzy na zewnątrz.

- Amerykanin nigdzie nie pojedzie, póki mi nie powie, gdzie ukrywają się rebelianci, i póki nie uporządkuję tego bajzla!

Ktoś zapukał do drzwi. Wszedł sierżant Kurow.



- Uwięzieni rebelianci zostali doprowadzeni na dziedziniec, towarzyszu pułkowniku! - zameldował.

- A więc wykonać rozkaz!

Azow jeszcze bardziej pożałował, że go przysłano do tego kraju.

## Rozdział 8

Mimo grubości kamiennych murów celi Trautman usłyszał stłumiony grzechot strzałów na dziedzińcu.

I odległe krzyki.

Leżał z głową w kałuży krwi. Jęki zmieniły się w przekleństwa.

## Rozdział 9

Jeniec nazywał się Andriejew. Słońce właśnie zniknęło za górami, kiedy usiadł obok Johna u wejścia do jaskini. Afgańczycy się modlili, Szanując ich uczucia, Rambo odczekał, aż skończą i dopiero wtedy wytłumaczył Andriejewowi po rosyjsku, o co mu chodzi.

Oczy młodzieńca rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Dobrze mówisz po rosyjsku.

- To była jedna z moich specjalności w wojsku. Mówię także po tajsku i wietnamsku.

- Jesteś żołnierzem?

- Byłem. - Rambo przemyślał to, co powiedział. Chyba powinienem to określić w ten sposób: odszedłem ze służby. Ale zadałem ci pytanie. Czy wiesz, gdzie jest Amerykanin?

- Tak, widziałem twój przyjaciela. Rambo bezwiednie pochylił się ku niemu.

- Gdzie?

- W fortecy.

- Żyje?

Andriejew uniósł głowę i pokiwał nią parę razy na boki.

- Kto wie, jak długo jeszcze? Strasznie go torturują. Codziennie.

Mięśnie szczęk Johna stwardniały.

- Pokaż mi, gdzie go trzymają. Narysuj mi mapę.

- Uratowanie go jest niemożliwe. Forteca jest zbyt dobrze pilnowana. Nawet tak wielu rebeliantów nie jest w stanie się przedrzeć.

- To nie oni będą się przedzierać, tylko ja.

- Ty? - Andriejew był zaszokowany.

- Z przyjacielem. Dwóch ludzi ma szansę przejść niepostrzeżenie.

- Ale wokół fortecy jest pole minowe! Nawet mając mapę potrzebowalibyś przewodnika, żeby przez nie przejść. - Andriejew zastanawiał się kilka sekund. Będziesz musiał wziąć mnie ze sobą.

- Będę musiał? Zastanów się, co mówisz?

- Nie wiesz, czy możesz mi ufać?

- Tam, niżej, jest jeden facet z toporem, który jest tego pewny. Dlaczego uciekłeś z pola walki?

- Myślisz, że jestem tchórzem?

- Nie wiem, kim jesteś. Daję ci po prostu szansę wytłumaczenia.

Andriejew przejechał dłonią po zmierzwiionych piaskowych włosach.

- To, co tu robimy, jest złe. Kocham mój kraj, ale nienawidzę tej wojny. Wielu żołnierzy myśli tak samo. Niektórzy nawet zdezerterowali. To brudna wojna. Jak Wietnam.

- Tak - odparł w zadumie Rambo. - Jak Wietnam. W gardle narosło mu coś ciężkiego. - A więc mówisz, że chciałeś zdezerterować?

Andriejew rozejrzał się z lekkim zdziwieniem.

- Właściwie już to zrobiłem.

- O ile ci ludzie ci zaakceptują. Rosjanin wbił wzrok w ziemię.

- Tak. O ile.

- Będą chcieli, żebyś walczył z nimi przeciw swoim pobratymcom. Potrafisz to zrobić?

- Żołnierze w fortecy to nie moi pobratymcy. Pochodzę z małego miasta, z Permu. Tam są moi pobratymcy. Ci, którzy mieszkają w Moskwie, nie wiedzą, jak bardzo jest źle. Armia zabiera ludzi ze wsi i wysyła ich bardzo daleko. W Moskwie twierdzą, że my tu wygrywamy. Mylą się. Na wojnie nikt nie wygrywa. To nie jest moja wojna. To brudna wojna. Jeśli Afgańczycy pozwolą mi zostać, to oni zostaną moimi pobratymcami.

Rambo przyglądał mu się intensywnie.

- Nie, Amerykaninie. Możesz zaufać Andriejewowi, ale czy Andriejew może zaufać tobie?

- Zaryzykowałem życie, żeby cię uratować. - A teraz ja zaryzykuję swoje, żeby ci pomóc.

- Może. Pomyślę o tym. Rambo odwrócił się, słysząc kroki.

Prowadząc córkę Khalida za rączkę podeszła do nich Michelle z nieodłącznym papierosem w ustach.

- Pomyślałam sobie, że chciałbyś się dowiedzieć, jak się czuje twoja przyjaciółka.

John uśmiechnął się do dzieciaka, któremu uratował życie.

Mała powiedziała coś i zawstydzila się.

- Michelle, co ona powiedziała?

- Nic ważnego.

- Powiedz.

- Wiesz, jakie są dzieci. Mówią, zanim pomyślą. Nie wiedziała, co wygaduje.

Rambo czekał.

- No dobrze - ustąpiła Michelle. - Ona ma nadzieję, że niedługo zostaniesz ranny i będzie mogła się tobą opiekować.

- Pewnie będzie miała okazję.

## CZEŚĆ SIÓDMA

## Rozdział 1

Siedząc w kącie lazaretu pod lampą naftową, Rambo tak długo wpatrywał się w narysowaną przez Andriejewa mapę, dopóki nie zapamiętał najdrobniejszych szczegółów fortecy. Wreszcie wstał, odsunął na bok kryjący wejście koc i wyszedł w ciemność nocy. Chłodne, słodkie powietrze szybko oczyściło mu nozdrza ze swądu nafty.

Tej nocy powstańcy nie palili ognisk. Obozowisko było zupełnie zaciemnione. Gdyby szukające pomsty za porażkę śmigłowce pojawiły się w tych okolicach, strzelałyby do wszystkiego, co nosiłoby ślady ludzkiej bytności. Długo trwało, zanim oczy Johna przyzwyczyły się do ciemności. Namioty były idealnie zamaskowane - z trudem dostrzegł je jako cienie w czerni nocy. Gdyby do jego uszu nie dotarło stuknięcie kopyta o kamień, nie byłby nawet w stanie stwierdzić, że gdzieś wśród drzew ukryto konie. Pogoda zdawała się sprzyjać mudżahedińom. Niebo zasnuły ciężkie chmury, zasłaniając księżyc i gwiazdy.

Po prawej ręce Johna oderwał się od ściany niewidoczny dotychczas cień.

- Musa. Jesteś mi potrzebny do tłumaczenia.

Udali się do stojącego na wprost nich namiotu. Kiedy doń weszli, zciszone głosy umilkły, Światło pojedynczej świecy ukazywało zatroskane twarze Khalida, Rahima i Mosaeda.

- Czy Rosjanin udzielił ci potrzebnych informacji? spytał Khalid.

Rambo zamiast odpowiedzi podał im mapę.

- Ale czy jest dokładna? - nie dowierzał Rahim.

- Pokazałem ją waszemu szpiegowi, temu żołnierzowi, który przyjechał wczoraj i ostrzegł nas przed rosyjską wyprawą. Powiedział, że ta jego afgańska jednostka nie jest zakwaterowana w fortecy, ale był tam dwa razy i twierdzi, że ta mapa dokładnie pokazuje te części fortecy, w których był.

- A co z tymi częściami, gdzie nie był? - dopytywał się Mosaed.

- Wkrótce się dowiem.

- Wkrótce? - Zmarszczył brwi Mosaed. - Co to znaczy? Kiedy masz zamiar wyruszyć?

- Tej nocy.

- Dzisiaj?! Przecież potrzebujesz czasu na przygotowania!

- Ale go nie mam. Jeniec mówi, że mój przyjaciel jest torturowany. Obawiam się, że go zabiją. Muszę go wyciągnąć tak szybko, jak to możliwe.

- Nie podoba mi się to-mruknął Mosaed.

- Ja też nie tryskam entuzjazmem. Mosaed przyjrzał się Johnowi z podziwem.

- Obiecałem ci pomoc. Mam zamiar dotrzymać przyrzeczenia. Ilu ludzi będziesz potrzebował?

- Tylko Musy i pięciu ludzi czekających z końmi.
- Jak masz zamiar zaatakować fortecę z tak małą pomocą?
- Nie będę atakował. A przynajmniej nie w ten sposób, do którego jesteście przyzwyczajeni.

W mojej jednostce nazywało się to wtargnięciem. Inaczej: "Wślizg".

- "Wślizg"? A co to...

- Wpaść i zabierać dupę w troki tak szybko, jak się da. Tłumaczenie Musy rozbawiło wodzów.

- A więc będę się modlił do Allaha, żeby chronił twoją dupę - powiedział Khalid.

Zesztywnieli, usłyszawszy dalszy ciąg wypowiedzi Johna.

- Zabieram też jeńca.

- Ufasz mu? - spytał Mosaed z niedowierzaniem.

- Nie. Ale muszę podjąć to ryzyko. Mówi, że wokół fortecy jest pole minowe. Potrzebuję go, żeby mnie przez nie przeprowadził.

- A co będzie, jeśli zaczniesz wrzeszczeć i zaalarmuje strażę? Może cię zdradzić.

- Obiecuję, że jeśli ostrzeże strażników, umrze jako pierwszy.

- Ale ty możesz być drugi - rzekł Mosaed.

- W takim wypadku nie będziecie przynajmniej musieli mi mówić, że jestem głupi.

Mosaed położył rękę na ramieniu Amerykanina.

- Fatalnie byłoby, gdyby tak świetny gracz buzkaszi nie dożył wygrania następnej gry.

- Następnym razem i tak byś ze mną wygrał.

- Chcę mieć okazję, żeby to sprawdzić. Uśmiechnęli się do siebie i wyszli przed namiot. W ciemności Mosaed wpatrzył się w niebo.

- Allah postanowił nie dać ci błogosławieństwa powiedział blado.

- Nie rozumiem.

Wódz wskazał dłonią na coraz grubszą powłokę chmur.

Nadpływały wciąż szybciej, przesłaniając gwiazdy daleko za końcem doliny.

- Nadchodzi burza.

- A więc mylisz się - odparł Rambo z ożywieniem, czując jak przyspiesza mu puls. - Allah dał mi pełne błogosławieństwo.

- Teraz to ja nie rozumiem - rzekł niecierpliwie Mosaed, - Nie ma teraz czasu na bliższe wyjaśnienia. Musa, musimy iść. Zanim zacznie się burza.

Ruszył szybko przed siebie i zatrzymał się przed namiotem, w którym Afgańczycy trzymali Andriejewa.

- Idziesz ze mną - rzucił do jeńca. - Pośpiesz się.

- Dajesz mi szansę?

- Jeśli uciekniesz z tej bitwy tak, jak to zrobiłeś...

- Nie jestem tchórzem. Będę walczył za to, w co wierzę.

- Więc lepiej uwierz, że jeśli dojdę do wniosku, że nie mogę ci ufać... - Rambo wyciągnął swój ogromny, zakrzywiony nóż. - ..dokończę to, co zaczął rano tamten wojownik. Poderżnę ci gardło.



## Rozdział 2

Wiatr przybrał na sile. Sprowadzając konia w dół ciemnego kamienistego zbocza, Rambo czuł, jak piasek wgrzyza mu się w skórę twarzy. Znaleźli się nagle w niewielkiej niecce, a przynajmniej tak się im wydawało, bo burza uniemożliwiała stwierdzenie tego na pewno. Niemniej Rambo był zadowolony, że żywioł rozpuścił się na dobre dopiero kiedy doszli tak daleko.

I tak zresztą ich wyprawa była trudna. Mimo że korzystali ze znajomych ścieżek; często bywali zmuszeni do wyszukiwania po omacku obejść wokół zagrażających drogę skał lub powalonych drzew. Gdyby Afgańczycy nie znali terenu tak fenomenalnie, nigdy by nie dotarli do tej doliny przed końcem nocy. A teraz już burza daje nam przewagę, pomyślał Rambo.

W połączeniu z ciemnością, idealnie skrywała wędrowców, a w dodatku bez wątpienia poważnie osłabiała czujność straży. Tak, Mosaed był w błędzie. Ta misja miała pełne błogosławieństwo Allaha.

Allaha? Rambo sam się zdziwił na tę myśl. Zbyt długo już mieszkasz z muzułmanami. Zaczynasz myśleć jak oni.

Idea przeznaczenia nigdy do niego nie przemawiała. Wierzył w kontrolowanie, a nie bycie kontrolowanym.

Ale opatrnościowe pojawienie się burzy kazało mu przemyśleć sprawę jeszcze raz.

Nie, jednak nie. Poprostu miałem szczęście.

A może "szczęście" to sposób, w jaki maluczcy określają wolę Boga?

Nagle przypomniał sobie coś, co powiedział mu Trautman w kuźni w Bangkoku, kiedy widzieli się po raz ostatni.

John, musisz zaakceptować swoje przeznaczenie!

Nie wierzę w przeznaczenie.

Tak. I to jest właśnie twój problem. Musisz zaakceptować to, czym jesteś.

Zaakceptować to, czego nienawidzę?

No cóż, teraz właśnie robił to, czego robić nienawidził, to, co robił najlepiej i w czym był lepszy niż ktokolwiek.

Idący przed nim wierzchowiec zwolnił, a potem zatrzymał się. Rambo wyczuł, że koń zawraca. Andriejew podszedł do niego przez tumany wściekle wirującego piasku. Musa i inni wojownicy przyłączyli się do nich, wprowadzając swe konie do niecki.

Wśród wycia wichru głos Rosjanina brzmiał słabo i niepewnie.

- Zostawmy tu konie. Zbocza niecki dadzą im jakieś schronienie.

- Jesteśmy już blisko fortecy?

Andriejew uniósł do oczu fosforyzującą tarczę kompasu.

- Trzysta metrów w tym kierunku.
- Jesteś pewny? W tej burzy mogłeś się pomylić.
- Stacjonuję tu od roku. Wierz mi, wiem, gdzie jest forteca.
- Moglibyśmy przejść obok i nic nie zauważyć.
- Jest tak duża, że z pewnością byś ją dostrzegł. Pamiętaj, trzymają więźniów w części

północnej, w podziemiach - odparł Andriejew.

Podszedł do nich Musa.

- Wy to położyć na twarz. - Uniósł wieko puszki.
- Co to jest?
- Tłuszcz od lampart i sadza.
- W tej burzy? Nie potrzebujemy kamuflażu.
- Tu, na dwór, nie -zgodził się Musa. - A w środek?
- Racja - odparł krótko John.

- Psy od straż bać się zapach od lampart. Oni wachać i uciec, bać się szczekać.

Rambo rozsmarował tłuszcz na twarzy i grzbietach dłoni, po czym wytarł palce o koszulę. Nie chciał, żeby się ślizgały. Musiał pewnie trzymać broń.

Kłębący się piach uderzył w smar, jednocząc Rambo z burzą.

Kiedy Musa i Andriejew smarowali twarze, Rambo sprawdził zamocowanie noża i pokrowców z łukiem i strzałami na pasie, dociągnął szelki plecaka i zarzucił na ramię swój karabinek z granatnikiem. Musa i Andriejew sprawdzili swoją broń.

- Jeszcze tylko to. - Rambo odwiązał od swego siodła ciasno zwiniętą linę i przełożył ją przez głowę i ramię. Lina miała na końcu trójzębny hak. - Wszystko gotowe?

Skoncentrował się i uspokoił... pomyślał o Trautmanie... i złapał Andriejewa od tyłu za pasek.

- Idziemy.

Musa krzyknął coś do pięciu Afgańczyków przy koniach.

- Ja im mówić, jak my nie wrócić za godzina, oni odjechać - zawołał do Johna, przekrzykując wiatr, i złapał go za rąbek koszuli. Wyszli gęsiego z niecki.

Burza natychmiast otoczyła ich szczelnym kokonem.

### Rozdział 3

Wiatr uderzył Rambo w plecy z taką siłą, że go przygięło ku ziemi, Piach gryzł w odkrytą skórę karku, głowy i rąk. Niemal ucinął uszy. Czas i przestrzeń rozmyły się. Musa powiedział Afgańczykom, żeby odjechali za godzinę, a już wydawało się, że minęło pół godziny. Nieprzerwany atak piasku sprawił, że Rambo miał wrażenie, iż tylko ta burza jeszcze istnieje. Że ziemia pod nogami nagle zniknie i że będzie spadał i spadał, żołądek będzie mu podjeżdżał coraz wyżej, a on będzie leciał w dół do końca świata.

Z zadumy wyrwało go szarpnięcie - to Musa poprawiał chwyt na rąbku jego koszuli. Sam także mocniej zacisnął dłoń na pasku munduru Andriejewa. Rosjanin zatrzymywał się w regularnych odstępach czasu, unosił kompas do oczu i korygował kierunek wędrówki. Starali się iść równym tempem i tak szybko, jak tylko pozwalała na to burza.

Wydawało się, że minęło następne pół godziny, choć zdyscyplinowana część umysłu Johna podpowiadała mu, że od opuszczenia niecki idą nie więcej niż dziesięć minut.

Forteca. Powinniśmy już do niej dotrzeć, pomyślał. Andriejew musiał się pomylić. Minęliśmy ją. Jesteśmy już za nią. Będziemy tak szli i szli, aż dojdziemy na drugi koniec doliny.

Dyscyplina stłumiła te lęki. Rozsądek uciszył frustrację. Determinacja popychała go do przodu.

Przytłumiona kurzawą poświata, którą nagle dojrzał przed sobą, zlikwidowała resztki wątpliwości. Szperacz! Forteca! Ogarnęło go podniecenie. Dostrzegł drugie światło, potem trzecie, przesuujące się z prawej do lewej.

Szperacze nie stanowiły zagrożenia. Nieważne, jak mocne było ich światło. I tak nie przebiją szaleńczo tańczącej kurzawy piachu. Były natomiast znakomitymi znakami orientacyjnymi dla wędrowców.

Rosjanin i Musa też je dostrzegli. Bez żadnego sygnału opadli na ziemię i zaczęli się czołgać.

Nagle Andriejew się zatrzymał. Zastanawiając się, dlaczego, Rambo wychylił się ponad ramieniem żołnierza i dostrzegł przed nim jakieś kłębowisko. Nie był w stanie stwierdzić, co to takiego.

Potem pojął.

Drut kolczasty:

Leżał przed nimi, pozwijany jak jakaś paranoiczna, ostra jak brzytwa spirala, rozciągnięty na całą długość.

Kiedy zmierzali do tej doliny, Andriejew wytłumaczył im, że pomagał układać pole minowe.

- Zaczyna się zaraz za drutem kolczastym. W ten sposób żołnierze nie wleżą na nie i nie wylecą w powietrze.

I rzeczywiście, drut stanowił raczej linię demarkacyjną niż barierę. Rambo i jego towarzysze musieli tylko narzucić nań koc i przeczołgać się na drugą stronę. Kilka kolców przebiło koc i wbiło się w uda Johna, ale nie sprawiło mu to wielkiego bólu.

Stali teraz na krawędzi pola minowego i choć Andriejew powiedział im, że od drutu do fortu jest tylko pięćdziesiąt metrów, Rambo wciąż nie był w stanie dojrzeć murów. Światła szperaczy wykonywały powolne, regularne ruchy z boku na bok. Ustawione były na każdym rogu fortecy i w połowie odległości pomiędzy narożnikami. Przeszukiwały wciąż dolinę, ale mimo bliskości intruzów, nie były w stanie wyłowić z kłębow piachu trzech postaci ubranych w piaskowego koloru odzież i mających na twarzach oblepiony piaskiem kamuflaż. Niemniej, kiedy promień szperacza zbliżył się do nich, padli na ziemię na granicy pola minowego. Światło przesunęło się nad nimi, nic się nie stało. Nie zabrzmiała żadna syrena. Jak wyjaśnił Andriejew, śmigłowce, czołgi i transportery opancerzone były przechowywane pod osłoną porzewiałych blaszanych ścian z tyłu fortecy. W części przeznaczonych dla pojazdów ściany wieńczyło równie porzewiałe zadaszanie, urywające się przy stanowiskach śmigłowców; Te maszyny na czas burzy skrywano pod plandekami:

W przeciwieństwie do tylnego dziedzińca, przedni i boczne były odkryte, ale patrolowane przez strażników, przeważnie z psami. Pytanie tylko, pomyślał Rambo, czy patrolują oni również w czasie tak silnej burzy, jak ta. Nie był to co prawda czarny wiatr, ale niewiele brakowało. Jak wydajni mogą być strażnicy w ciemnościach nocy, chłostani bez przerwy piaskiem? Chyba niespecjalnie, Przecież dłuższe wystawianie się na działanie takiej pogody to też ryzyko, można skończyć w szpitalu. Ich przełożeni mogli podjąć decyzję o utrzymaniu straży za murami, polegając na polu minowym, które z pewnością potrafi ostrzec patroli o zbliżaniu się obcych do fortu.

Wszystko możliwe.

Ale na tym nie można polegać. Poza tym, teraz mieli przed sobą istotniejszy problem-pole minowe. Andriejew odwrócił się, stając twarzą do drutu kolczastego, i ostrożnie poszedł wzdłuż zwojów do jednego ze stojaków, na których opierał się drut. Tam ponownie zwrócił się w stronę fortecy.

Ponownie światło szperacza kazało im przyspaść do ziemi; Znowu minęło kilka pełnych napięcia sekund. I znów nic się nie stało.

- Stojaki drutu kolczastego to klucz do pola minowego - wyjaśnił im po drodze Andriejew. - Zaczynając od nich, rozkładaliśmy ładunki w określony wzór.

- Przecież pole minowe nie powinno leżeć według wzoru - sprzeciwił się Rambo, - Tak, jeśli chcesz tylko zrobić pułapkę, zaminować drogę czy łąkę i wysadzić w powietrze żołnierzy albo pojazdy, które tamtędy przejadą. Ale forteca to co innego. Przypuśćmy, że rebelianci przedrą się przez drut kolczasty. To żadna przeszkoda, raczej niedogodność. Ale potem wylecą w powietrze na minach. Ich szczątki trzeba będzie usunąć, więc na pole minowe będą musieli wejść żołnierze i zbierać trupy. Oczywiście, użyją wykrywaczy metalu, ale dla przyspieszenia operacji dobrze by było, gdyby żołnierze wiedzieli, gdzie zakopano miny. My układaliśmy według wzoru zaczynając od stojaków. Wzór jest oparty na liczbach nieparzystych - jeden, trzy, pięć i siedem. Liczby oznaczają kroki, jakie stawialiśmy od stojaków w stronę fortecy. Na jeden zakopywaliśmy minę dwie stopy na prawo. Na "trzy" dwie stopy na lewo. I tak dalej. Po siedmiu krokach odwracaliśmy kolejność kierunków. Prawa strona stawała się lewą, a...

- Dobra, przestań - powiedział Rambo, wznosząc ręce do góry: - Przekonałeś mnie. Nie przejdę przez pole minowe bez twojej pomocy.

I właśnie teraz Andriejew prowadził go. Kuląc się w szaleńczych podmuchach wiatru, Rosjanin ostrożnie, powoli i drobnymi kroczkami posuwał się do przodu.

Rambo i Musa szli tuż za nim.

Jeśli zrobi błąd, wybuch zabije nas wszystkich, pomyślał John.

Ale przecież nie możemy trzymać się dalej, bo musimy wiedzieć, którędy idzie.

Usmarowana twarz Rambo spływała potem, a Rosjanin wciąż szedł naprzód. Znow w ich kierunku przesunął się promień szperacza.

Jeżeli położymy się na ziemi, możemy zdetonować minę. Ale jeżeli się nie położymy...

Skulił się tak nisko, jak tylko zdołał. Błady promień nadciągał.

Ukląkł, Żółtawe światło zbliżało się.

Powoli położył się na ziemi.

Szperacz przemknął ponad jego głową i szukał dalej.

Rozluźniając obolale mięśnie, Rambo podniósł się i znow skulił; Przed nim pochylona sylwetka Rosjanina podążała ostrożnie w głąb pola minowego.

John zupełnie zatracił poczucie czasu. Za długo to trwa! Ludzie przy koniach odjadą, zanim dojdziemy do fortecy!

Ale nie ważył się zaczepiać Andriejewa i popędzać go. Jeśli już, to raczej powinni iść wolniej.

Rosjanin zawahał się, zrobił jeszcze krok, znow się zawahał, znowu zrobił krok i zatrzymał się.

Rambo czekał zdenerwowany. Doszedł do wniosku, że Andriejew najwyraźniej nie może się zdecydować. No, dawaj! Nie możemy tu przecież zostać!

Ale już adrenalina przyspieszyła mu tętno, bo dostrzegł przed Rosjaninem kolczaste pętle.

Andriejew narzucił koc na ostre zwoje. Szybko przeleźli na drugą stronę.

John skoczył w stronę muru fortecy.

- Za drugą linią drutu kolczastego nie ma już min przypomniał sobie instrukcje Rosjanina. - Tam musimy się martwić tylko o strażników.

Ale czy w taką pogodę w ogóle będą jakieś straże poza fortecą? No cóż, jeśli są, Rambo zobaczy je dopiero stanąwszy z nimi twarzą w twarz.

Nie może sobie pozwolić teraz na takie dywagacje. Ma wiele innych problemów.

Na przykład: co zrobić z Andriejewem? Wykonał już swoje zadanie, przeprowadził Johna i Musę przez pole minowe. Ale od tej pory może stanowić zarówno wsparcie, jak i zagrożenie.

Czy można mu ufać? To pytanie nie dawało Amerykaninowi spokoju. Czy pobiegnie po straż, jeśli mu pozwolę wejść do fortu? Czy zacznie wrzeszczeć i zaalarmuje żołnierzy? Czy jest jakiś powód, dla którego miałbym mu zaufać?

Nie ma.

A za to mnóstwo powodów do podejrzliwości. Przecież Andriejew mógł tylko udawać dezercję, żeby ocalić życie.

Muszę uratować Trautmana! Nic więcej się nie liczy! Nie mogę pozwolić, żeby ktokolwiek zagroził misji!

Jeszcze siedząc w obozowisku nad mapą, kiedy postanowił zabrać ze sobą Rosjanina, Rambo pojął możliwe następstwa. I już wtedy brał pod uwagę, że taki moment może nadejść. Ale stłumił te rozpraszające go myśli. Powiedział sobie, że w trakcie jazdy do fortecy będzie miał dość czasu, żeby podjąć decyzję.

Ale teraz już nie ma czasu na dalsze przemyślenia. Trzeba coś postanowić. Co więc zrobisz z Andriejewem?!

Rosjanin stał obok niego, ciasno przywierając do kamieni muru.

Trautman.

Ruchem niezauważalnym dla Andriejewa Rambo wysunął nóż z pochwy. Sprężył się, by wykonać dwie czynności naraz - jedną dłonią zatkać usta Rosjanina, drugą zaś przeciągnąć mu nożem po krtani

Śmierć będzie niemal natychmiastowa. Dłoń na ustach stłumi rżenie. w”

Nie chcę tego zrobić. Ale muszę.

Rambo napiął mięśnie.

I nie mógł się ruszyć. Protest sumienia nie dopuścił, by mózg wydał kończynom śmiertelne polecenie. Wytężył wolę.

Zróbto!

Nie wolno ci ryzykować!

Zrób to teraz!

Paraliż minął. Ręce drgnęły.

Za późno. Andriejew oderwał się od muru.

Rambo skoczył, by go zatrzymać. Jego podejrzenia się potwierdziły. A jednak Rosjanin planował ucieczkę! Nigdy go nie odnajdę w tej burzy!

Ale Andriejew nie miał zamiaru uciekać. Rzucił się na strażnika, który nagle wynurzył się z czerni burzy.

Uderzył go kolbą w twarz. Ten zachwiał się i poleciał do tyłu.

Andriejew uderzył jeszcze raz. Strażnik upadł.

I nie ruszał się.

Dla pewności młody Rosjanin jeszcze raz zadał cios leżącemu, po czym przyklęknął i poszukał palcami pulsu. Odwróciwszy się, zobaczył tuż za sobą Johna z nożem w dłoni.

Rambo wsunął broń do pochwy.

Allah miał cię dziś w opiece, Andriejew!

Odciągnęli ciało strażnika pod mur. Potem Rambo przyjrzał się górnej krawędzi kamiennej ściany i wybrał sobie miejsce pomiędzy szperaczem na narożniku a drugim pośrodku długości muru. Odległość między nimi wynosiła co najmniej siedemdziesiąt metrów. Zdjął z ramienia linę, sprawdził, czy się nie splątała, i chwycił ją poniżej haka, rozhuścił i rzucił w górę, do parapetu muru.

Wiatr wstrzymał impet liny.

Hak spadł z powrotem.

Rambo podniósł go, rozhuścił ponownie. Czy w taką pogodę będą na parapecie strażę? Czy raczej pozostaną w swoich budkach, stojących według Andriejewa na dziedzińcu i na każdym narożniku muru? Czy wycie wiatru zagłuszy brzęk haka, skrobiącego kamienie ściany?

Idź z Bogiem, pomyślał Rambo.

Wyrzucił hak w górę.

Hak nie spadł. Trzymał mocno.

## Rozdział 4

Trautman uniósł głowę z kałuży krwi na podłodze swej ciągle jaskrawo oświetlonej celi i zadrżał na dobiegający z korytarza dźwięk ciężkich kroków w wojskowych butach. Dwie pary nóg, zgrane niemal co do milimetra. Wybijany nimi mocny rytm odbijał się tępym echem od ścian i drzwi. Trautman słyszał te kroki zbyt wiele razy by ich natychmiast nie rozpoznać i nie poczuć gęszej skórki na myśl o zbliżających się nieuchronnie cierpieniach.

Ale pułkownik Zajsan złamał zwyczaj. Nie rozkazał strażnikowi otworzyć drzwi, nie trzasnął nimi o ścianę, nie wmaszerował butnie do środka z sierżantem Kurowem u boku.

Zatrzymał się na korytarzu, zajrzał przez okienko i odezwał się tak ochryplym, że aż nieswoim głosem, brzmiącym jak drapanie pilnikiem o metal.

- Skontaktowali się ze mną moi przełożeni. Są niezadowoleni z powodu ostatnich wydarzeń w tym sektorze. Ja jestem niezadowolony, bo oni są niezadowoleni. Obiecuję panu, pułkowniku, że pan będzie niezadowolony bardziej ode mnie. Moja cierpliwość jest na wyczerpaniu. Czy od]powie pan na moje pytania? - Jeżeli odpowiem na pana pytania - zachrypiał Trautman - po prostu mnie pan rozstrzela, tak samo jak tych uwięzionych powstańców.

- Jeśli postanowi pan nie odpowiadać na moje pytania, będzie pan żałować, że pana nie rozstrzelano. Ból, jaki pan dotąd czuł, to pestka. Dzisiejszej nocy - mogę to panu obiecać - powie mi pan wszystko. Obiecuję także, że potem otrzyma pań nagrodę. Dostanie pan wodę. Wyłączymy panu światło w celi. Przyślę lekarza, żeby panu podał środki przeciwbólowe i opatrzył rany. Kij i marchewka. Ma pan trzydzieści minut. Niech pan to sobie przemyśli. Tymczasem ja będę panu dostarczał motywacji.

Skrzekliwy głos Zajsana umilkł, a jego gniewna twarz zniknęła sprzed okienka.

Co on chciał przez to powiedzieć? - zastanawiał się Trautman. "Tymczasem ja będę panu dostarczał motywacji". Co, drzwi otworzą się z grzmotnięciem i wpadnie sierżant Kurow?

Rzeczywiście, drzwi otworzyły się z grzmotnięciem, ale nie w celi Trautmana, tylko w najbliższej po prawej stronie. Trautman usłyszał kroki znajomej pary butów, wchodzące do celi.

- Ile masz lat? - dobiegło go zza ściany pytanie Zajsana po angielsku. Następnie Rosjanin zadał to samo pytanie w jednym z afgańskich dialektów.

Drżący głos przestraszonego chłopca odpowiedział w tym samym dialekcie.

- Trzynaście? - powtórzył Zajsan po angielsku, a potem w dialekcie. - Co za szkoda!

Trautman nie rozumiał, co się dzieje. Po co Zajsan tłumaczy swoje własne słowa? Nagle pojął. On to robi dla mnie! Jezu, on chce, żebym był jego publicznością!

- Co za szkoda! - powiedział jeszcze raz Zajsan po angielsku i powtórzył to samo w dialekcie. - Tu, za ścianą, jest pewien człowiek, który nie chce odpowiadać na moje pytania. Przez



niego muszę przesłuchiwać ciebie. Czy wiesz, gdzie się ukrywa herszt bandytów o imieniu Mosaed Hajdar?

Drżący głosik dzieciaka pisnął coś w dialekcie.

- Nie wiesz? - mruknął Zajsan. - Szkoda. Sierzancie, wylejcie mu trochę kwasu na piersi.

Wrzask, jaki dobiegł zza ściany, był tak nieludzki, że Trautman wijąc się odpełził w najdalszy kąt swej celi, zatykając zaciśniętymi pięściami spuchnięte uszy.

Przyciskał dłonie z całej siły, ale nie był w stanie stłumić krzyków.

Gdyby tak ten Amerykanin zechciał z nami współpracować! - usłyszał głos Zajsana.

## Rozdział 5

Rambo wspiął się po linie, wysunął głowę ponad krawędź muru, rozejrzał się na boki i wyszedł na parapet. Wciąż czujnie zerkając w lewo i prawo, lecz nie widząc nikogo i nic oprócz piasku, szarpnął za linę, dając Musie i Andriejewowi znać, że jest na górze.

Zanim do niego dołączyła, miał wiele do zrobienia. Zdjął plecak, wyjął ładunek wybuchowy z czasowym zapalnikiem i podczołgał się do budki strażniczej na narożniku muru. Przez porzewiałe metalowe ściany budki dotarły do niego stłumione głosy. Nastawił zegar na piętnaście minut opóźnienia, przyczepił ładunek do ściany i ruszył z powrotem do plecaka. Z kolejną bombą w dłoni podczołgał się do metalowego stanowiska szperacza i jego operatora. Ponownie nastawił zegar na piętnaście minut i położył ładunek pod ścianą.

Spojrząwszy w dół, na dziedziniec, zorientował się, że mury fortecy znacznie łagodziły szaleństwo burzy. Owszem, po dziedzińcu pędziła kurzawa, ale w porównaniu z tym nieprawdopodobnym piaskowym żywiołem na zewnątrz była to ledwie niedogodność. Światła na dziedzińcu, mimo fruujących kłębow kurzawy, z łatwością wydobywały z mroku pięć rosyjskich aut terenowych, odpowiedników Jeeпа, zaparkowanych obok trzech transporterów opancerzonych, jasne.

To na wypadek, gdyby wyżsi oficerowie postanowili opuścić fortecę. Żeby na przykład sprawdzić efekty kolejnych zarządzonych przez siebie bestialstw.

Obok zaparkowanych pojazdów stało na posterunku dwóch żołnierzy. Mimo późnej godziny siedmiu innych żołnierzy szło od drzwi po prawej do wejścia naprzeciw Johna. Śmiali się z czegoś. Jeden z nich podał drugiemu papierosa i z wielkim trudem zapalił zapalniczkę.

Rambo pokiwał głową. Wrócił do miejsca, gdzie leżał plecak i spotkał tam czekających na niego Musę i Andriejewa. Znów poczuł cień upartej wątpliwości, czy można ufać Rosjaninowi.

Czy wyczuł, że mam zamiar go zabić? Czy rzucił się na strażnika po to właśnie, żebym pomyślał, że podejrzewam go bezpodstawnie?

Za późno na powtórne mielenie tej myśli. Już tu jesteśmy, i co ma być, będzie. Przeznaczenie.

Ale nie opuszczał go niepokój, kiedy składał swój łuk i strzały, mocując je w kołczanowym uchwycie przy szczelinie strzelniczej, grotami do góry. Napinając bezwiednie mięśnie i przypominając sobie wyrysowaną przez Andriejewamapę, poprowadził swych towarzyszy w stronę schodków, które znajdowały się nieco w prawo, w połowie drogi do budki strażniczej w narożniku.

Nałożył strzałę na cięciwę łuku. Nie sięgał po swój karabino-granatnik na ramieniu, bo jeśli miał się bronić, nie mógł sobie pozwolić na używanie broni palnej. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Dopóki nie wybuchną bomby, postara się zachować ciszę.

Tę logikę niemal natychmiast potwierdził radziecki żołnierz, który ukazał się nagle na schodkach; szedł ze spuszczoną na piersi głową, dopóki nie zobaczył butów Johna. Uniósł oczy, zamrugał z zaskoczeniem i próbował zerwać z pleców broń, ale nie zdążył. Zginął z czołem przebitym strzałą wyrzuconą z potworną siłą przez łuk Rambo.

Już w momencie strzału Rambo rzucił się do żołnierza, by złapać go, nim jego broń zdąży zaklekotać o kamienie dziedzińca.

## Rozdział 6

Afganistan! Major Azow miał ochotę rzygać już na sam dźwięk nazwy tego kraju. Choć nie był wierzący, nie przychodziło mu na myśl żadne inne określenie poza piekłem. A burza piaskowa tylko utwierdzała go w tym mniemaniu. Chaotycznemu szaleństwu burzy dorównywała tylko jedna rzecz -- szaleństwo jego dowódcy. Pułkownik Zajsan tak bardzo chciał udowodnić przełożonym swą wartość, tak bardzo chciał się wymigać od tej idiotycznej wojny, że nie wahał się przed żadnym bestialstwem.

Więści o zamiarach pułkownika dotarły do majora Azowa ledwie kilka minut temu. Natychmiast odłożył czytana właśnie sztukę Gogola i pognął do podziemi fortu, żeby sprawdzić wiadomość.

Była prawdziwa. Kiedy z tupotem przebiegł obok celi Amerykanina i zatrzymał się przed następnymi drzwiami, zatkało go z obrzydzenia na widok poparzonej kwasem klatki piersiowej wyjącego z bólu afgańskiego chłopca, którego pułkownik Zajsan właśnie przesłuchiwał.

- Odpowiadaj! - krzyczał Zajsan po angielsku, a potem w dialekcie, czym zaskoczył Azowa.  
- Gdzie jest herszt bandytów, Mosaed Hajdar?!

Chłopak nie przestawał wyc.

- Wszystko przez tego Amerykanina! - krzyknął Zajsan.

Sierżant Kurow znowu pochylił butelkę z kwasem nad piersią wychudzonego dzieciaka. Ten zawył jeszcze głośniejsze.

Nie mogąc się powstrzymać, major Azow wpadł do celi.

- Co robicie, towarzyszu pułkowniku?! Im bardziej się torturuje tych ludzi, tym bardziej się zacinają! Więści o okropieństwach się rozchodzą! Rebelianci odpowiadają równie okrutnie! Powinniśmy negocjować, a nie torturować! Albo opuścić to miejsce! Nie ma sensu...

- To ja decyduję, co ma sens, towarzyszu majorze! przerwał mu chłodno pułkownik Zajsan i zwrócił się do Kurowa: - Lejcie dalej! - Spojrzał na zegarek. - Wkrótce pokażemy Amerykaninowi skutki cierpień, do jakich doprowadził.

- A jeżeli Amerykanin naprawdę nie wie, gdzie są rebelianci? - spytał Azow. - A nawet jeśli wie, to co to za różnica? To tylko nieważny sektor w nieistotnej wojnie! Co my tu robimy? Bronimy ojczyzny? Nie! Te tortury nie zapewnią naszym rodzinom bezpieczniejszego bytu! Ale z pewnością natchną wroga większą determinacją! Ten kraj nosi odpowiednią nazwę! Kraj nie do opanowania!

- A wy się opanujecie? - wysyczał Zajsan. Najwyraźniej cierpicie na znużenie bitewne! Byliście tu za długo!

- Choć raz się z wami zgadzam! Ale i tak lepiej nad sobą panuję niż wy!

- Za daleko się posuwacie! Precz! - krzyknął pułkownik. - Jutro zostaniecie przewiezieni do Kabulu! Potem do Moskwy! A potem... więzienie!

Azow zatrzęsł się z wściekłości, a sierżant Kurow ciekłym kwasem polewał wciąż wyjącego chłopaka. Nie będąc w stanie powstrzymać tego szaleństwa, Azow wypadł z celi i długimi, gniewnymi krokami przemierzył korytarz, czując potrzebę jak najszybszego opuszczenia tego miejsca, Wycie. Musi uciec od tych strasznych krzyków.

## Rozdział 7

Rambo wciągnął martwego żołnierza na szczyt schodów. Tu, na szczycie muru, wśród nieskrępowanego szaleństwa burzy, wepchnął ciało do niszy pomiędzy schodami a murem, gdzie nikt by go nie znalazł kiedy burza ucichnie. Potem szybko podążył w dół, gdzie w połowie wysokości schodów czekali na niego Andriejew i Musa, Stali na tyle wysoko, że nikt znajdujący się na dole nie mógł widzieć ich stóp.

Kiwnąwszy do siebie głowami, ruszyli w dół. Rambo poszedł pierwszy, ale Andriejew nagle dotknął jego ramienia i przepchnął się przed niego.

W pierwszej chwili zaskoczony Rambo sprężył się do skoku i omal nie szarpnął Rosjanina do tyłu, ale powstrzymał się, zrozumiałwszy intencje Andriejewa. Był on przecież wciąż w swym radzieckim mundurze. Gdyby jakiś żołnierz zobaczył go schodzącego po schodach, nie miałby żadnych podstaw do wszczynania alarmu. Chyba że poznałby go i wiedział, iż Andriejewa zgłaszano jako zaginionego we wczorajszej bitwie. W takim wypadku żołnierz zacząłby się zastanawiać, jak Andriejew nagle zdołał powrócić do fortecy. Wówczas - w najlepszym razie - podszedłby z podejrzliwymi pytaniami, w najgorszym zaś wezwałby pomoc. Można było więc tylko mieć nadzieję, że jeśli Andriejew w ogóle zostanie zauważony, to z daleka, a wtedy kurzawa przesłoni jego rysy twarzy. Wynurzywszy się z klatki schodowej, Andriejew rozejrzał się po dziedzińcu. Sprawiał wrażenie rozluźnionego, ale mięśnie karku prężyły mu się pod skórą. Nagle nieznacznie machnął schowaną za plecami dłonią, dając znak Musie i Johnowi, żeby szli za nim.

A jeśli nas zwodzi? - pomyślał Rambo. Jeśli okaże się, że po zejściu na dół będziemy otoczeni przez żołnierzy? Ponownie jednak zdołał przełamać złe przeczucia. Od tej pory wszystko w rękach przeznaczenia. Zszedł na dół, zobaczył tylko plecy dwóch wartowników, stojących siedem metrów dalej, czoło gotowej do jazdy kolumny pojazdów, i pognał pod osłonę ciężarówki do transportu żołnierzy. Wcisnął się pod nią, a zaraz za nim pojawił się Musa. Rambo wyciągnął z plecaka bombę, nastawił zegar na trzynaście minut i umocował ją nad wałem napędowym ciężarówki. Musa wziął od niego kilka ładunków i prześlizgnął się pod szereg stojących obok transporterów opancerzonych. Rozglądając się czujnie, Rambo podążył za nim, schylony, gotów skoczyć pod podwozie, gdyby nagle pojawili się żołnierze.

Andriejew natomiast nerwowo przeszedł obok kilkorga drzwi na prawo od schodów i stanął w cieniu obok wejścia, które - jak już wcześniej powiedział Johnowi prowadziło do cel w podziemiach. Musa skończył zakładanie ładunków pod transporterami, a Rambo zrobił to samo pod radzieckimi Jeepami. Ponieważ czas mijał, ostatni ładunek ustawił na dwanaście minut, aby wybuchy nastąpiły prawie jednocześnie.

Skradając się z powrotem do Andriejewa, Rambo dostrzegł za ostatnim pojazdem wielki, niski zbiornik paliwa. Cel był zbyt kuszący. Zmienił kierunek i skoczył w stronę zbiornika.

Zerknął szybko na strażników i zamarł. Jeden z nich właśnie się odwracał w jego kierunku. Będąc na odkrytej przestrzeni, John przypadł do ziemi.

Najwyraźniej jednak nie był dość szybki; Wślizgując się pod ostatniego Jeepa w szeregu, zobaczył zbliżające się buty wartownika. Zatrzymały się przy przednich kołach Jeepa, skierowane czubkami w stronę twarzy Johna, jakby wartownik spoglądał ponad maską samochodu w przestrzeń między autem a zbiornikiem paliwa.

Buty przeszły na bok samochodu. Mimo piaskowej kurzawy Rambo widział je niezwykle wyraźnie. Były o metr od jego twarzy. Wydawały się wielkie.

Ku swemu zaskoczeniu Amerykanin nagle usłyszał zdziwiony głos wartownika:

- Myślałem, że zginąłeś!

Dobry Boże! Zobaczył Andriejewa! - Gdzieś ty był? - dopytywał się strażnik, a jego słowa tylko trochę zagłuszał wiatr. - Jakim cudem przeżyłeś tę jatkę? Jak się tu dostałeś, Andriejew?

Buty wartownika ruszyły wzdłuż boku Jeepa, obeszły go i poszły do tyłu, w stronę Andriejewa.

Rambo obawiał się go. Czy strażnik dostrzeże Musę? Czy Musa się dobrze schował?

Z bijącym z emocji sercem wychynął spod Jeepa po drugiej stronie i zaryzykował ostrożne zerknięcie ponad maską auta; Zobaczył, że drugi wartownik też się odwrócił i przygląda się, jak jego zaaferowany kolega podchodzi do Andriejewa.

- Kiedy dostaliśmy w dupę, udało mi się uciec - powiedział spokojnie Andriejew. - Wróciłem wieczorem. Zdołał się roześmiać. - To był niezły spacer!

- Nikt mi nie mówił, że wróciłeś - odrzekł niepewnie wartownik. - A taka wieść na pewno szybko by się rozeszła.

Doszedł już do Andriejewa. Drugi wartownik ruszył w ich kierunku.

- Byłem u pułkownika, składałem raport. - Powiedziawszy to, Andriejew błyskawicznym ruchem uniósł karabin i trzasnął strażnika kolbą w twarz.

Widząc to, drugi strażnik wyprostował się i podniósł lufę swej broni, ale strzała z łuku Johna rozplatała mu skroń. Trysnęła krew, żołnierz upadł bez dźwięku.

Rambo natychmiast przekręcił się na drugi bok i wymierzył strzałę w wartownika obok Andriejewa. Ale nie musiał strzelać. Rosjanin już leżał na ziemi, powalony kolejnymi ciosami kolby.

Skoczywszy w stronę Andriejewa, Rambo dostrzegł Musę wypełzającego pomiędzy gąsienic transportera opancerzonego. Razem zaciągnęli ciała pod podwozie pojazdu. Rambo jeszcze pośpiesznie nastawił zegar kolejnej bomby i podłożył ją pod zbiornik paliwa.

Dopiero wtedy podbiegł do drzwi prowadzących do podziemi. Andriejew uchylił je. Zerkając ostrożnie na jasno oświetlone schody, ruszyli w dół.



## Rozdział 8

Słyszając odległe wrzaski, Rambo zdrętwiał. Ale były one tak piskliwe, tak drżące, że mógł je wydawać tylko chłopiec, nie mężczyzna. Choć oddalone, były niezwykle mocne. Tortury, które je spowodowały, musiały być potworne, pomyślał Rambo.

Impuls kazał mu biec natychmiast w stronę szlochów, ale ostrożność go powstrzymała. Znów na czoło ich grupki wysunął się Andriejew i jako pierwszy ukazał się na dole schodów.

- Andriejew? - spytał jakiś zdziwiony męski głos. Towarzysz Johna wyszedł w przód, znikając Amerykaninowi z oczu.

- Rebelianci mnie złapali, ale uciekłem. Dopiero co wróciłem do fortecy. Mam ważne informacje. Wiem, gdzie się kryją rebelianci.

- Rebelianci? Pułkownik będzie cię chciał zaraz widzieć?

- Właśnie go szukam. Nie ma go w kwaterze. Wartownik mi powiedział, że może być tu, na dole.

Gdzieś w oddali chłopiec wciąż wył z bólu.

- Tak - odparł głos. - Pułkownik jest tutaj. - Zabrzęczały klucze. Skrzypnęło krzesło. Zabrzmiały kroki. Polecę i mu powiem...

Gruby głos przeszedł nagle w dziwnie rzężący dźwięk...

Rambo zeskoczył na dół i zobaczył, że Andriejew dusi strażnika jego własnym pejczem.

Wartownik szarpnął się, zwiotczał i osunął się na podłogę. Ale Andriejew nie puścił pejcza, póki strażnik zupełnie nie znieruchomiał.

Rambo chwycił pęk kluczy, zaciśnięty w martwej dłoni wartownika. Musa pomógł Andriejewowi zawlec zwłoki do pomieszczenia, które było chyba podręcznym magazynkiem. Przez małe zakratowane okienko w metalowych drzwiach za biurkiem strażnika widać było korytarz i rząd cel.

Korytarz wibrował od krzyków torturowanego chłopca.

Na widok żołnierza, zagląającego przez otwarte drzwi do celi pośrodku długości korytarza, Rambo cofnął się, żeby nie można go było dostrzec przez okienko. Musa i Andriejew wrócili już z magazynku.

Rambo nastawił zegar na dziewięć minut i wsunął ładunek do szuflady biurka.

Dobiegł go stłumiony pomruk silnika.

- Co to? - szepnął.

Andriejew wskazał kciukiem inny korytarz.

- Generator.

- Prowadź.

Szybko weszli w ten drugi korytarz i zatrzymali się przed drzwiami, za którymi potężny silnik pracował tak głośno, że aż drżała futryna. Andriejew zajrzał do środka, rozejrzał się i skinął ręką na Musę i Johna.

Ogłuszył ich potworny łomot spalinowego generatora. Podłoga się trzęsła.

Sprawdziwszy, że w pokoju nie ma nic poza silnikiem, Rambo wsadził pod generator ładunek nastawiony na osiem minut.

Jego plecak był już pusty. Wsadził go pod śmiecie w blaszanej beczulce.

Zacznijmy wreszcie to cholerne przedstawienie, pomyślał.

Podążając szybkim krokiem obok Afgańczyka i Rosjanina, bił się z nerwowymi myślami.

A jeśli Trautmana tam nie ma?

Mogli go przecież przenieść pod nieobecność Andriejewa. W inne miejsce fortecy.

Albo nawet do Kabulu.

Albo...

Nie! Nie chcę nawet o tym myśleć!

Albo...

Albo Trautman został już zabity.

Nie był w stanie odpędzić tej myśli. Gnębiła go, świdrując mózg.

Potrząsnął gwałtownie głową.

Nie!

Nie może jeszcze być za późno na ratunek!

Dotarli do drzwi prowadzących do cel. Rambo wypróbował kilka kluczy wartownika, zanim jeden z nich dał się obrócić w zamku. Metal zazgrzytał o metal. Zamek przez chwilę stawiał opór, potem ustąpił.

Drzwi miały uchwyt zamiast klamki. Rambo pociągnął go i drzwi się uchyliły. John pozostał w przysiadzie i puścił przed sobą Andriejewa.

Wrzaski w korytarzu osiągnęły pułap agonii.

## Rozdział 9

Krzyki nagle się urwały. Ich echo obijało się jeszcze przez chwilę po korytarzu, a potem również umilkło! W korytarzu zapadła niesamowita cisza.

Jeśli nie liczyć kroków Andriejewa. Wartownik w korytarzu zdążył już zwrócić głowę w jego kierunku, zaintrygowany zgrzytem klucza w zamku i skrzypem zawiasów drzwi.

Andriejew trzymał w ręku kopertę, którą wziął z biurka za drzwiami. Wyciągnął ją przed siebie, jakby niósł ważną wiadomość.

Wartownik opuścił swój posterunek i wyszedł mu naprzeciw, żeby odebrać kopertę.

Zrobił dziesięć kroków i zawahał się. Twarz wykrzywił mu grymas niedowierzania, gdy rozpoznał Andriejewa. Otworzył usta, ale nie zdążył nic powiedzieć, bo Andriejew rzucił się na podłogę. Jego dziwaczne zachowanie spowodowało, że strażnik wybałuszył oczy i nie zdołał zareagować na nagłe pojawienie się Johna w drzwiach wejściowych.

Rambo wystrzelił. Strzała wyleciała z łuku z szybkością osiemdziesięciu metrów na sekundę, przebiła prawe oko wartownika i jego mózg. Mężczyzna poleciał do tyłu i padł na plecy. Wystający z tyłu jego czaszki czubek grotu strzały zaskrzypiał o beton podłogi i groteskowo poderwał mu głowę do góry.

Korytarz znów pograżył się w ciszy. Pozostawiając Musę na straży przy schodach, Rambo podbiegł bezgłośnie do Andriejewa, który już wciągał zwłoki do pustej celi.

Rambo pomógł mu, a wówczas, już wewnątrz celi, dosłyszeli rozmowę dobiegającą z pomieszczenia oddalonego o kilkanaście metrów.

- Towarzyszu pułkowniku, chłopak nie żyje. Kwas przeżarł mu serce - powiedział ochryply głos po rosyjsku.

- Cóż za szkoda!

Drugi, zgrzytliwie brzmiący głos mówił po angielsku, lecz jego akcent był rosyjski. Rambo nie pojmował, dlaczego ten człowiek nie używa swego rodzinnego języka.

- Tak się właśnie dzieje, kiedy kryminaliści nie chcą się przyznać - ciągnął zgrzytliwy głos, nadal po angielsku. - Niepotrzebnie umierają. Naprawdę, ten chłopiec nie musiał umierać. Gdyby tylko Amerykanin powiedział mi to, co chcę wiedzieć, nie byłbym zmuszony przesłuchiwać tego dziecka. To wina Amerykanina, nie moja.

- Skurwieli! - wrzasnął po angielsku jeszcze inny głos z bliższej celi.

Na dźwięk tego głosu serce Rambo niemal stanęło. John odetchnął głęboko. Wszechogarniające podniecenie zacisnęło mu piersi.

Tego głosu nie mógł pomylić z żadnym innym. Mimo że drżący, przepelniony bólem, ochryply z wściekłości, nie mógł należeć do nikogo innego...

Poza Trautmanem.

A więc żyjesz!

Głos Trautmana nie milkł.

- Chuj złamany! Matkojebca! Zasyfiały... - Obelga gonila obelgę, bluzg ścigał bluzg.

Aż wreszcie głos Trautmana się załamał, a sam pułkownik począł jęczeć z bólu i wyczerpania.

- Proszę, proszę! - powiedział mężczyzna o zgrzytliwym głosie. - Nasza publiczność całkiem nieźle mówi, kiedy ma na to ochotę. Szkoda, że nie zaczął mówić wcześniej. Szkoda, że nie powiedział mi tego, co chciałem wiedzieć. Zastanawiam się... A gdybym tak chciał przesłuchać jeszcze jednego więźnia, może nawet młodszego, czy nasz amerykański gość zaszczyciłby nas rozmową?

W korytarzu ponownie zapadła cisza.

Nagle przerwał ją wściekły głos Trautmana:

- Nie wiem, gdzie się ukrywają powstańcy!

- Wkrótce sprawdzimy tę informację... zresztą ku mojemu wielkiemu zadowoleniu. A tymczasem... być może następne dziecko, które przesłucham, będzie wiedziało?

W ciągu ostatnich trzydziestu sekund Rambo był w ciągłym ruchu. Ściskając w dłoni klucz, którym otworzył drzwi wejściowe, wepchnął go w zamek otwartych drzwi celi, w której się ukrywał.

Klucz poruszył zapadki. Zgrzyt zamka został zagłuszony przez głosy dobywające się z cel.

Ten klucz musi pasować do wszystkich zamków w celach! - powiedział sobie i rzeczywiście desperacko chciał w to uwierzyć.

Wychylił głowę na korytarz, nie zobaczył nikogo i najciszej jak mógł, przebiegł obok celi Trautmana do otwartych drzwi następnego pomieszczenia.

Nie był w stanie ocenić, ile osób przebywało w tym pomieszczeniu. Słyszał tylko dwa głosy, ale jeśli jest tam więcej ludzi? Tak wielu, że nie zdąży zabić wszystkich, nim któryś zabije jego?

No i kwestia hałasu. Nie wolno mu ryzykować postawienia na nogi całego fortu strzałami.

Przynajmniej do czasu, kiedy nie będzie miał innego wyjścia. Jeśli nie wyciągnie Trautmana z jego celi i nie zrobi wszystkiego, co możliwe, żeby wyrwać się z tego miejsca.

Do wybuchu bomb pozostały cztery minuty. Wówczas dźwięk strzałów nie będzie miał znaczenia. Zresztą, był pewien, że wtedy będzie dużo strzelania.

Ale teraz trzeba obezwładnić tych ludzi po cichu.

Staął za drzwiami, spoza których dochodziły głosy.

- Sprowadźcie następnego więźnia - powiedział zgrzytliwy głos po angielsku. - Teraz może być dziewczynka. Jeśli ona też się nie przyzna, jej śmierć również obciąży sumienie Amerykanina.

Słyszac ciężkie kroki zbliżające się do drzwi, Rambo przystąpił do działania. Zatrzasnął drzwi i wepchnął klucz do zamka. Trzymając ramieniem drzwi i opierając się potężnej sile żołnierza po drugiej stronie, przekręcił klucz w zamku.

Zasuwa weszła na miejsce.

W celi rozległy się wściekłe, a jednocześnie przestraszone krzyki.

Zamknijcie się! -pomyślał Rambo. Zaalarmujecie fort!

Głosy wciąż wrzeszczały.

Zamknijcie się!

Wzniósł rękę z nożem, gotów dźgnąć przez kratę olbrzymiego żołnierza walącego w drzwi, ale natychmiast zrozumiał, że nawet jeśli go zabije, nie zdoła uciszyć tego drugiego, niewidocznego człowieka, który nadal będzie wołał o pomoc.

Schował więc nóż i sięgnął do pokrowca ze strzałami. Namacał tę, o którą mu chodziło, wyciągnął ją i usunął jej czubek. Nie był to czteroseczny grot, lecz stożkowy ładunek; Nie narobi hałasu uderzając, a z pewnością obezwładni tych wewnątrz.

Wrzaski stały się głośniejsze, a wewnętrzna powierzchnia drzwi dudniła od uderzeń pięści.

Rambo z całej siły cisnął stożkowy ładunek przez kraty drzwi. Pojemnik z gazem łzawiącym odbił się od przeciwległej ściany. Rozkwitła biała mgła, wypełniając natychmiast wszystkie kąty pomieszczenia.

Mężczyźni w celi zaczęli kaszleć i wymiotować. Rambo dorzucił im drugi ładunek z gazem. Mgła zgęstniała. Zaciśnięta na prętach okienka dłoń zniknęła, a kaszel przeszedł w rżenie.

Przynajmniej przestali wrzeszczeć. Przynajmniej nikt w forcie ich nie słyszy.

Rambo wyrwał klucz z dziurki i rzucił się do drzwi obok. Dłoń mu się trzęsła, ale za trzecią próbą zdołał włożyć klucz do zamka.

Przekręcił go i szarpnął drzwi.

I omal się nie rozplakał na widok Trautmana.

Popękana i zapuchnięta, niemal nie do poznania twarz. Trautman leżał na podłodze zalanej krwią, śmierzdzącej wydzielinami celi.

- O, Jezu, pułkowniku!

- Rambo? - Trautman zamrugał z niedowierzaniem, jakby lękając się, że stracił zmysły i majaczy.

- Wychodzi pan stąd, pułkowniku.

- Jak, do diabła...

- Nie, w diabły. Wynosimy się stąd w diabły! - Rambo podniósł zmaltretowanego mężczyznę, podparł go i wywlókł z celi.

- Ale, John, jak...

- Ruszać się, pułkowniku, nie gadać!

## Rozdział 10

Trautman przeżywał przyprawiający o mdłości zamęt uczuć i zadziwienia, szoku, niedowierzania. W porównaniu z jaskrawym reflektorem oświetlającym jego celę, zwyczajne żarówki w korytarzu zdawały się blade. Dokoła wirowały cienie. Wszystko widział jak przez mgłę.

Ale nie miał już wątpliwości, że to rzeczywiście Rambo wpadł do jego celi, podniósł go i teraz włókł obok siebie z ręką przerzuconą przez ramię.

Ale jak, na Boga?!

Rambo co chwila się zatrzymywał i robił coś, czego Trautman nie mógł zrozumieć.

Powoli, stopniowo wracając do siebie, zorientował się. John otwierał drzwi innych cel, wypuszczając wszystkich więźniów.

Na oczach Trautmana korytarz wypełniał się niewyraźnymi sylwetkami obdartych, wychudzonych Afgańczyków. Nagle pośród tego rozmazującego się tłumu pułkownik dostrzegł mężczyznę, na widok którego zadrżał. Odruchowo napiął mięśnie i ogromnym wysiłkiem woli zmusił swe oczy do precyzyjnego zogniskowania wzroku. Mężczyzna miał blond włosy i nosił radziecki mundur! Żołnierze ich znaleźli!

Trautman szarpnął się chcąc odepchnąć Johna i uciec od żołnierza. Ale Rambo jeszcze mocniej przycisnął go do siebie, przynaglając pułkownika do szybszego marszu.

- Nie! Oni nas zabijają, John!

Zamęt w głowie i duszy Trautmana powiększył się jeszcze, gdy Rambo szybko zagadał do żołnierza po rosyjsku. Żołnierz odpowiedział. Trautmanowi zakręciło się w głowie.

- John, kto...

## Rozdział 11

Później - zbył go Rambo. - Musimy się stąd wyrwać. - Poprawił chwyt na ręce Trautmana i znów go popędził.

Dowlekli się do końca korytarza, przeszli przez otwarte na oścież drzwi i stanęli obok Musy, który szybko wydawał jakieś rozkazy afgańskim więźniom.

- Ładunki wybuchną za dwie minuty - rzucił Rambo. - Idziemy!

Drzwi na szczycie schodów otworzyły się nagle. Pojawił się radziecki żołnierz, zamknął je, zszedł do połowy stopni i wbił otępiały wzrok w Johna, Trautmana i Afgańczyków. Oczy rozszerzyły mu się z zaskoczenia i strachu, odwrócił się i ruszył w górę.

- Musa, nie strzelaj! - syknął ostrzegawczo Rambo. Podtrzymując Trautmana, nie był w stanie użyć łuku przerzuconego przez ramię. Złapał więc wolną dłonią swój nóż i rzucił od dołu.

Długie, zakrzywione ostrze utkwilo w plecach żołnierza.

Mężczyzna jeszcze nie zdążył upaść, a już Musa dopadł go jednym susem, zatkał mu dłonią usta i stłumił jęki agonii.

Na wpół niosąc Trautmana, John pognał w górę schodów. Wyszarpnął swój nóż z pleców martwego żołnierza, zacisnął go w dłoni i uchylił drzwi, wyglądając ostrożnie na pograżony w kłębach kurzawy dziedziniec. Wiatr wył w szczelinach parapetu murów. Nie było widać strażników.

Ładunki. Rambo zerknął na zegarek. Mamy tylko dziewięćdziesiąt sekund.

Musimy stąd zjeżdżać.

Wyprowadził Trautmana na dziedziniec i podkraśli się do cienia pod północną ścianą muru, po przeciwnej stronie szeregu Jeepów, ciężarówek i transporterów opancerzonych. Pod pojazdami zegary odmierzały czas do momentu, w którym napięcie przeskoczy z baterii do detonatorów.

Ruszać się!

Przerzucił sobie niemal bezwładnego Trautmana przez ramię i pobiegł. Za nim pędził Andriejew, a dalej Musa i reszta Afgańczyków.

Schody na szczyt muru były coraz bliżej. Dwadzieścia stóp. Dziesięć. Wpadłszy z Trautmanem na plecach na pierwsze stopnie, Rambo usłyszał krzyk i odwrócił się.

Stojący w otwartych drzwiach po drugiej stronie dziedzińca żołnierz dostrzegł ich, zaczął krzyczeć, sięgnął za siebie po broń i wycelował.

Nie było innego wyjścia.

Musa zastrzelił go.

- Na dźwięk strzału pootwierały się inne drzwi i pojawili się w nich żołnierze. Przelamując szybko zaskoczenie, zrywali z pleców karabiny.



Musa nie przestawał strzelać. Pociski kaleczyły ściany, żołnierze padali, a Afgańczycy wbiegali po schodach na mur.

Zawyła syrena. Rosjanie odpowiedzieli ogniem.

Rambo zawlókł Trautmana na szczyt schodów do miejsca, gdzie nie był widoczny z dziedzińca. Do dolnych stopni schodów dobiegli, wciąż strzelając, Musa i Andriejew. Rambo delikatnie posadził Trautmana na ziemi, zdjął z pleców swój M-203, po czym ładując granatnik, -zbiegł po schodach.

Ładunki miały wybuchnąć dopiero za trzydzieści sekund. Trzeba było czymś zająć żołnierzy. Rambo wymierzył więc w zbiornik paliwa i strzelił. Wybuch granatu spowodował eksplozję zbiornika i umieszczonego pod nim ładunku. Ogromna, kłębiąca się kula ognia zaląła jęzorami płomieni wszystko w promieniu siedmiu metrów. Żołnierze padali, płonąć i wyjąc. Stojący obok zbiornika Jeep zajął się ogniem i także wybuchł.

Pociski zagrzechotały o kamienne stopnie schodów. Rambo pognał w górę, znów znikając z widoku ludzi na dziedzińcu, i złapał Trautmana. Usłyszał strzały nad sobą, na parapecie. To muszą być strażnicy z budki, pomyślał. Dobiegł go odgłos serii z M-16. To Musa. Potem głośniejszy stukot AK-47. Andriejew albo żołnierze, nie wiadomo. Strzały na parapecie umilkły. Ale za to na dziedzińcu padały coraz gęściej. Na dole schodów pojawił się żołnierz i złożył się do strzału w górę, ale wtedy jego ciało uniósł i rzucił jak kukłą podmuch potężnego wybuchu.

Ładunki zaczęły wybuchać.

Dziedziniec trząsał się od kolejnych eksplozji. Rozciągnane przez wiatr jęzory ognia sięgnęły schodów. Siła wybuchów była tak wielka, że nawet stojący na szczycie schodów Rambo zachwiał się i z trudem odzyskał równowagę. Ponownie przerzucił sobie przez ramię rękę Trautmana i powlókł go w górę.

Na parapecie znów się odezwały strzały. Do walki musieli się włączyć żołnierze z obsługi szperacza na środku muru. Inni pewnie już gnali z budek strażniczych na narożnikach murów.

Budka szperacza. Budka strażnicza. Nagle Rambo uświadomił sobie, że ładunki, które umieścił pod nimi, jeszcze nie wybuchły. Musa, Andriejew i Afgańczycy mogą wylecieć w powietrze. On i Trautman też, jeśli za wcześnie pojawią się na parapecie.

Kule rykoszetowały po betonowej klatce schodowej. Na dziedzińcu wybuchł następny pojazd. Gorący podmuch popchnął gwałtownie Johna i Trautmana w górę, ale natychmiast powstrzymani zostali przez drugi podmuch, tym razem idący z góry. To musiała być eksplozja pod budką strażników. Ryczący płomień oświetlił na moment szczyt schodów i zgasł, stłumiony powiewem wiatru.

Rambo wywlókł Trautmana na szeroki szczyt muru, pomógł półkownikowi przeleźć przez szczątki budki i wyszedł na rozszalałą burzę w tej samej chwili, kiedy w kłębach ognia wyleciał w powietrze szperacz na środku parapetu. John musiał użyć wszystkich sił, żeby wraz z Trautmanem nie dać się zdmuchnąć z powrotem na schody.

A na schodach byli już żołnierze. Rambo wolną ręką wymierzył granatnik w głąb klatki schodowej i strzelił. Wybuch zmiotł żołnierzy na dziedziniec.

- Musa! - wrzasnął Rambo. - Andriejew! Czy zdołali na czas opuścić mury? Czy wybuchające ładunki ich zabiły?

Na dziedzińcu eksplodował transporter opancerzony. W podziemiach północnej części fortecy jeden po drugim wybuchły dwa ładunki. Zgasły wszystkie światła, kiedy wyleciał w powietrze generator. Ale morze płomieni na dziedzińcu doskonale oświetlało kłębiący się bezładnie tłum żołnierzy. Rambo szybko wypróżnił w ich stronę magazynek i pobiegł wzdłuż muru, ciągnąc za sobą Trautmana.

- Musa! Andriejew!

Na parapecie leżało kilka ciał. Z ręką Trautmana na szyi, Rambo pognął do nich. Wybuch zabił dwóch Afgańczyków. Musa właśnie chwiejnie wstawał, otępienie potrząsając głową. Andriejew również usiłował wstać, ale przewrócił się. Mimo wściekle siekącego piachu, w świetle płomieni doskonale widać było wbity w jego pierś kawał metalu. Koszula Rosjanina szybko nasiąkała krwią.

- Niiieee! - zawył Rambo.

Andriejew z uporem próbował wstać, ale wtedy przypadkowa kula wystrzelona z dziedzińca rozbryzwała jego czaszkę.

- Nie!

Wciąż wyjąc, Rambo wlókł Trautmana w stronę liny i jak szaleniec opróżnił już drugi magazynek, kosząc ludzi na płonącym dziedzińcu. Wybuchł następny transporter. Rambo puścił Trautmana, znów zmienił magazynek, zarzucił sobie pułkownika na plecy i znowu zaczął strzelać.

- Niiieeeeeee!

## Rozdział 12

Major Azow uniósł wzrok znad dokumentu, który właśnie wystukiwał na maszynie. Z początku chciał napisać prośbę o zmianę przydziału na jakikolwiek, byle jak najdalszy od "Kraju poza kontrolą". Ale nagle przed oczami stanął mu obraz poparzonej kwasem piersi torturowanego chłopca i Azow wściekle wydarł papier z maszyny. Nerwowymi ruchami wkręcił następną kartkę i zaczął pisać zupełnie inny dokument. Rezygnował w nim ze swego stopnia i prosił o przeniesienie na emeryturę. Nie chciał mieć więcej nic wspólnego z wojną. Chciał tylko wrócić do rolniczego obwodu, gdzie się wychował, i obserwować rozwój życia zamiast śmierci ludzi.

Jak bardzo jednak by nie chciał uciec od wojny, nie był w stanie jej uniknąć. Nachalnie przysła do niego i zapukała do jego drzwi zaskakującym staccato karabinów maszynowych. Szyby w oknach jego kwatery na drugim piętrze rozprysły się, kiedy na dziedzińcu nastąpiła eksplozja. Padając na podłogę, Azow zasłonił rękami twarz przed deszczem szklanych odłamków. Za oknem zakwitła kula boleśnie oślepiających płomieni. Drugi wybuch zatrzęsł deskami podłogi pod brzuchem majora.

Wstał chwiejnie, usłyszał strzały, następne eksplozje i krzyki. Zanim zdał sobie sprawę z tego, co robi, wyciągnął z kabury pistolet. Poderwał się na dźwięk kolejnego wybuchu i podbiegł do ściany przy roztrzaskanym oknie. Cały dziedziniec był zalany płomieniami. Wszędzie leżały szczątki rozwalonych Jeepów, ciężarówek i transporterów opancerzonych. Żołnierze strzelali w kierunku klatki schodowej w północno-wschodniej części muru, a potem przenieśli ogień na wschodni parapet.

Azow przysunął się bliżej okna i prawie się nie wychylając zaryzykował szybki rzut oka na dwór. Zaskoczył go przebieg walki. Wyglądało na to, że atak nie nadszedł z zewnątrz fortecy, lecz poprowadzony został od środka. Nie było słychać typowego gwizdu lecących łukiem pocisków moździerzowych, nic nie spadało na dziedziniec. Natomiast pojazdy wybuchały -ale tak, jakby ładunki podłożono pod nie. Wyjrzawszy ponownie, dostrzegł na parapecie jakieś postacie. Byli to afgańscy cywile, choć jeden z mężczyzn - blondyn w mundurze - był chyba radzieckim żołnierzem. Żołnierz zaszokował Azowa, strzelając w głąb dziedzińca, zamiast do Afgańczyków.

Major zachwiał się od podmuchu kolejnej eksplozji, ale przedtem zdążył jeszcze dostrzec, jak jeden z Afgańczyków przechyla się przez krawędź muru, chwyta coś, co wyglądało na linę, i zsuwa się, znikając za parapetem. Odzyskawszy równowagę po wybuchu, Azow chwiejnie powrócił do grubej ściany obok swego okna.

Wyjrzał i zobaczył następnego Afgańczyka, znikającego za murem. Za nim kolejnego. I jeszcze. Czyżby żołnierzom udało się odeprzeć atak grupy napastników, którzy jakimś cudem wdarli się za mury?

Pokręcił głową, zaprzeczając sobie samemu. Nie,-ta teoria nie trzymała się kupy. Napastnicy trzymaliby jakieś karabiny, a zdecydowana większość Afgańczyków na murze była bezbronna! Poza tym, jak dałoby się wytłumaczyć obecność na parapecie tego radzieckiego żołnierza, strzelającego w dół, w stronę dziedzińca?

Po chwili wytężonej pracy umysłowej Azow pojął, w jaki sposób wyjaśnić wszystkie szczegóły zachodzących na jego oczach zdarzeń. Afgańczycy wcale nie napadli na fortecę. Oni uciekali z kazamatów! A ten Rosjanin im w tym pomagał!

Stojąca na północno-wschodnim narożniku muru budka strażnicza wybuchła w kuli ognia. Eksplozja powaliła trzech Afgańczyków stojących obok radzieckiego żołnierza na murze. Próbowali wstać, ale drugi wybuch na szczycie muru przycisnął ich ponownie do ziemi.

Strzelanina trwała. Azow powtarzał sobie w myślach, że powinien wybiec z pokoju i przyłączyć się do żołnierzy na dziedzińcu. W końcu prowadzenie do boju własnych ludzi było jego obowiązkiem. Ale rzut oka na prawie ukończone, pisane z furją tuż przed początkiem strzelaniny pismo o rezygnacji ostudził jego odruchową potrzebę wykonania wytresowanych czynności.

Nie! To nie jest moja wojna!

Na murze pojawiły się dwie nowe postaci. Jedna z nich opierała się na ramieniu drugiej i kulejąc, z trudem posuwała się naprzód. Amerykański więzień! Mężczyzna, który pomagał mu iść po murze, był ubrany jak Afgańczyk, ale również wyglądał na Amerykanina. Mimo piaskowej zasłony, Azow widział go wyraźnie. I był pod wrażeniem. Drugi Amerykanin był wysoki i muskularny, wręcz imponujący. Kiedy uklęknął obok trzech Afgańczyków i Rosjanina, wiatr rozwiewał jego długie włosy, jeden z Afgańczyków zdołał wstać. Rosjanin usiadł, osunął się z powrotem, znów usiadł i targnął nagle głową, jakby pocisk trafił go w czaszkę. Amerykanin wyprostował się wściekle. Przytrzymując jedną ręką swego uwolnionego rodaka, drugą zaczął strzelać z karabinu maszynowego w stronę dziedzińca. Wstrząsał nim odrzut broni, ale potężne mięśnie kontrolowały ramię i spokojnie prowadziły lufę karabinu z lewa na prawo i z powrotem, kosząc żołnierzy na dziedzińcu. Strzelec puścił na chwilę swego towarzysza, żeby zmienić magazynek, ale zajęło mu to tak mało czasu, że ranny nie zdążył się nawet zachwiać. I krzyczał cały czas. Powtórzył błyskawiczną zmianę magazynka, wrzasnął jeszcze raz i znowu przeciągnął plującą ogniem lufę poprzez dziedziniec. Przez wycie wiatru do uszu Azowa dotarł jego nie kończący się krzyk:

~ Niiiiiiee!

Nagle major zorientował się, że nieświadomie podniósł do oczu pistolet. Zaskoczyło go to, ale nie powstrzymał dłoni. Ulegając długoletniej dyscyplinie i treningowi, wymierzył broń w Amerykanina. Z tego miejsca, z okna, z tak idealną przewagą pozycji strzeleckiej, nie miał

najmniejszych wątpliwości, że cel by mu nie umknął. Muszka i szczerbinka były zgrane dokładnie na wysokość serca Amerykanina. “

Od wczesnej młodości Azow był ekspertem w strzelaniu z broni krótkiej. Zawsze z dumą myślał o tym, iż sam zdobył więcej tytułów mistrzowskich niż wszyscy żołnierze jego pułku razem wzięci. I rzeczywiście, dzierżył rekord wszechczasów w dywizji. Był więc zupełnie pewny, że nie chybi. Trzeba tylko lekko pociągnąć za spust. Pułkownik będzie z niego niezwykle zadowolony.

Major powoli opuścił pistolet.

Pierdolę pułkownika Zajsana!

To nie moja wojna! Ja już skończyłem z wojnami!

## Rozdział 13

Magazynek w karabinku był znów pusty. Rambo szarpnięciem dłoni wyrzucił niepotrzebny kawałek blachy, oderwał od kolby następny z przyklejonych tam taśmą magazynków i załadował broń.

Ale zamiast podjąć znów strzelanie, odwrócił się i krzyknął do Musy:

- Zjeżdżaj po linie!

Musa wystrzelił serię do wysypujących się z klatki schodowej żołnierzy. Kiedy padli na ziemię, złapał linę, prześlizgnął się przez krawędź i zjechał.

Rambo posłał trzy pociski do kolejnych żołnierzy na schodach, posadził Trautmana i jak szalony wciągnął linę na górę. Obwiązał jej końcem klatkę piersiową pułkownika pod pachami i nie zważając na kaleczące kamienny mur kule, zepchnął Trautmana za parapet. Przerzucił sobie linę przez lewe ramię i zaparłszy się nogami, zaczął szybko opuszczać rannego na drugą stronę.

Zaciśnięte dłonie niemal natychmiast zaczęły palić. Nie zwracał na to uwagi. Pociski gwizdały mu koło głowy. Nieważne. Liczył się tylko Trautman.

Wybuch na zewnątrz fortecy zmroził go na moment. Nie! Afgańczycy chyba oszaleli! Kilku musiało w panice przeleźć przez drut kolczasty i wylecieli teraz w powietrze na minie.

- Musaaa! Zatrzymaj ich!

Desperacko pragnąc opuścić już Trautmana i zejść samemu, zwiększył szybkość przesuwu liny przez palce.

Kula otarła mu skórę na ramieniu. Popuścił linę jeszcze szybciej, poczuł nagły luz i natychmiast odwrócił się w tył, odpalając granat w stronę schodów. Potem wystrzelił jeszcze serię do żołnierzy biegających po dziedzińcu.

W oknie na piętrze mignęła mu twarz. Jakiś oficer właśnie opuszczał broń od oczu.

Nie rozumiał tego, ale się nie zastanawiał. Zarzucił swój M-203 na ramię, chwycił linę, upewnił się, że hak wciąż dobrze trzyma i zeskoczył z parapetu, zjeżdżając w dół tak szybko, jak jeszcze nigdy. Żołądek podjechał mu do gardła, a dłonie niemal dymiły. Uderzył o ziemię, przysiadł, powstał i podskoczył do ledwie widocznych w kurzawie postaci.

Musa podtrzymał Trautmana. Afgańczycy dygotali z przerażenia.

- Jak my iść przez pole od miny? - przekrzyczał wiatr Musa, -Bez Andriejew...

Rambo odwrócił się w stronę zaporę z drutu kolczastego i wystrzelił z granatnika. Sploty zniknęły w kuli ognia. Przeszedł przez wyłom w zaporze, przez dym i kurzawę, siejąc pociskami z karabinu po ziemi przed sobą. Miny wybuchały. Odłamek drasnął mu ucho. Wyciągnął z pokrowca granat, przeładował broń i wypalił w pole minowe, po którym bez przerwy szedł. Miny wciąż wybuchały.

Znów opróżnił magazynek, znów przeładował broń i znów zaczął kosić grunt przed sobą. A miny wciąż eksplodowały. Wyrzucany podmuchami eksplozji piach mieszał się z kurzawą burzy, przywodząc Johnowi na myśl spacer po wzburzonym morzu.

Ale nie wahał się i szedł dalej. Rozwalił drugą linię drutu kolczastego, zmusił Afgańczyków do jeszcze szybszego biegu przez burzę i odwrócił się do podpierającego Trautmana Musy.

- Daj mi go! - powiedział.

- Ja wziąć kompas Andriejew od jego trup. Niech Allah zrozumieć moje samolubność.

- Ja teraz jestem równie samolubny, jak ty! Dawaj go! Zarzucił sobie Trautmana na ramię. Zerknąwszy na fosforyzującą tarczę kompasu ustalił kierunek, i pobiegł przed siebie. Z początku poruszał się niezgrabnie dźwigając pułkownika na plecach, ale po chwili wyrównał szybkość truchtu i już tak bardzo nie rzucał rannym. Ale nie zwalniał. Biec, jak najdalej od tej fortecy! Konie. Musi znaleźć konie.

## CZEŚĆ ÓSMA



## Rozdział 1

W momencie kiedy żołnierz otworzył drzwi celi, pułkownik Zajsan przepchnął się przed sierżanta Kurowa i wytoczył na korytarz. Tam pochylił się, przyklęknął i zaniósł się kaszlem. Jeśli nie liczyć latarki żołnierza, korytarz był pogrążony w zupełnym mroku. Dziesięć minut wcześniej, po jednej z eksplozji, zgasły w podziemiu wszystkie żarówki. Mimo że w celi Zajsan oddychał przez chusteczkę, nawet teraz nie był w stanie pozbyć się gryzących resztek gazu w nozdrzach. Zapuchnięte oczy łzawiły i piekły. Twarz miał poparzoną.

Zbyt bolały go płuca i gardło, żeby wypytywać żołnierza. Ale dobiegające go odgłosy zaciętej walki i wstrząsające podłogą potężnej warowni wybuchy kazały mu wyrwać żołnierzowi latarkę i chwiejnie podreptać w stronę wyjścia tak szybko, jak pozwalał na to ciężki oddech. Tak wiele strzałów i eksplozji, pomyślał. Rebelianci musieli zaatakować znacznymi siłami.

Ale natychmiast dotarło do niego, że ten mężczyzna zatrasnął ich w celi, zanim zaczęła się bitwa. Zajsanowi tylko przez moment mignęła twarz mężczyzny, kiedy zaglądał on do celi przez kraty okienka. Miał na sobie afgańskie ubranie, ale pokryta szokującym kamuflażem twarz należała do białego. Był chyba Amerykaninem. Dopiero potem, kiedy gaz łzawiący wybuchł w celi, drzwi innych cel się otwierały, a więźniowie uciekali, dopiero wtedy zaczęła się na zewnątrz bitwa. Jak ten Amerykanin zdołał się wślizgnąć do fortecy? Jakim cudem wraz z nim wdarła się do fortu grupa rebeliantów na tyle duża, żeby rozpętać bitwę na taką skalę, i nie została wykryta?!

Zajsan, a za nim Kurow i żołnierz przedzierali się przez rumowisko na końcu korytarza. Kiedy pułkownik wszedł na schody, światło latarki wydobyło z ciemności ciało jakiegoś żołnierza. Przekroczył je i kaszląc otworzył drzwi na dziedziniec, Jego oczom ukazał się niespodziewanie obraz tak porażającego zniszczenia, że omal się nie cofnął. Dziedziniec był zasłany wrakami płonących, groteskowo powykręcanych ciężarówek, Jeepów i transporterów opancerzonych. Gęsty dym zatkał Zajsana. Wszędzie leżały trupy. Żołnierze polewali płomienie pianą z gaśnic, wyciągali rannych spod gruzów, przepychali się do schodów na mury, ustawiali cekaemy naprzeciw ogromnej, solidnej bramy fortu i rozglądali się za wrogiem. I cały czas przeszkadzali sobie nawzajem.

Zajsan zdołał oderwać się od framugi i złapał za rękaw przebiegającego porucznika.

- Natychmiast opanujcie tych ludzi! - zaskrzeczał. Porucznik z przerażeniem stanął na baczność.

- Tych żołnierzy za wami! - skrzyphiał dalej Zajsan przez poparzone gardło. - Niech opuszczą broń, zanim zestrzelą naszych ludzi z murów! Zorganizujcie drużynę do pomocy lekarzom! Odnajdźcie saperów! Dopilnujcie naprawy generatora! - Rozkaszał się pod koniec tej niezwykle wyczerpującej tyrody, ale odwrócił się do sierżanta Kurowa. - Powiedzcie wszystkim

oficerom, że chcę mieć zaraz raport o stratach. - Rozejrzył się po chaosie.- Gdzie jest major Azow?! - Dojrzawszy go obok wraku ciężarówki pośrodku dziedzińca, pomaszerował chwiejnie w tamtą stronę.

Azow usiłował właśnie podnieść wielki kawał blachy, przygniatający do ziemi rannego żołnierza.

- Jakie straty?! - rzucił się na majora Zajsan. Twarz Azowa wykrzywił wysiłek.

- Nie ruszaj się! - wysapał do rannego. - Sprowadzę lekarza.

- Zadałem wam pytanie, majorze. Jakie straty? Z ust rannego wyciekał strumień krwi.

- Nie - powiedział Azow.

Żołnierz podjął próbę wyciągnięcia nóg spod blachy.

- Nie - powtórzył szeptem Azow.

Żołnierz zamarł. Major wyglądał na zdezorientowanego, zagubionego.

- Jakie straty, majorze Azow?!

Azow podniósł oczy i chyba dopiero teraz zauważył obecność pułkownika i zrozumiał treść pytania.

- Straty? - Jego głos brzmiał, jakby major miał za moment zwymiotować. - Dwudziestu zabitych, - Pokręcił głową. - Przynajmniej o tylu wiem. Rannych pewnie ze dwa razy więcej.

Zapuchniętą twarz pułkownika wykrzywił grymas.

- A rebelianci? Musiała ich być cała armia! Ilu zaatakowało? Ilu zabiliśmy?

- Dwóch Afgańczyków zabitych na parapecie. Jeszcze dwóch na polu minowym.

Zajsanowi opadła szczęka.

- Siły wroga zdolne zabić i ranić co najmniej czterdziestu żołnierzy i tylko czterech napastników zabitych? Niemożliwe!

- Nie rozumiecie, pułkowniku. Afgańczycy nie zaatakowali fortecy.

- Nie? A co zrobili?

- Uciekali stąd. To byli więźniowie.

- Nie zabiliśmy więc ani jednego napastnika?

- Jednego. Ale nie był Afgańczykiem.

- Pieprzycie bez sensu!

Pomagał im jeden z naszych żołnierzy. Dezerter. I jego zabiliśmy. A poza dezerterem - Azow wskazał gestem zniszczenia wokół, wraki, płomienie i trupy wszystko to zrobili dwaj ludzie. Afgańczyk i Amerykanin. Większość strat spowodował Amerykanin. Widziałem; z okna mojej kwatery

- Widzieliście go?

- Stał na murze, przytrzymał jedną ręką amerykańskiego więźnia, a drugą strzelał na dziedziniec z pistoletu maszynowego.

- Dlaczego go nie zastrzeliliście?!

- Zbyt wiele działo się naraz. Nie miałem czasu.

- Majorze, jesteście mistrzem dywizji w szybkim strzelaniu z pistoletu. Coś tu jest nie tak. Z wami jest coś nie tak.] Znajdujecie się pod wpływem wstrząsu, i jesteście w błędzie. Kilku ludzi nie byłoby w stanie narobić tak wielu szkód.

- Ale...

- Słuchajcie uważnie! Forteca została zaatakowana przez co najmniej dwustu rebeliantów. Ze względu na tę burzę rozważnie zarządziłem zdwojenie posterunków na murach. Jednak mimo tych środków bezpieczeństwa rebelianci zdołali niepostrzeżenie wdrzeć się do warowni. Ich napad był bezlitosny. Ale nasi bohaterscy żołnierze dali im zdecydowany odpór, odrzucili przeciwnika i zadali mu ciężkie straty. W trakcie odwrotu rebelianci zabrali ze sobą swoich rannych i zabitych.

- Ale to nie było tak! Ja widziałem co innego!

- Nie widzieliście prawie nic! Byliście w szoku, kiedy wyrzeliście z okna! Zbyt wiele działo się naraz... tak mi . właśnie powiedzieliście. Nawet wy - mistrz dywizji w szybkim strzelaniu z pistoletu - nie zdążyliście otworzyć ognia do napastników. Tak będzie brzmiał wasz raport albo oddam was pod sąd wojenny za tchórzostwo i porzucenie obowiązków służbowych.

Azow ponuro skinął głową.

- Wasi koledzy dostarczą mi raporty zgodne z waszym. Dopilnujcie tego! Takich zniszczeń nie mogli dokonać trzej ludzie!

Zajsan nie dodał, że gdyby jego przełożeni dowiedzieli się, iż kilku ludzi rzeczywiście zadało takie straty, zażądałoby wyjaśnień, a on nie byłby w stanie ich dostarczyć. Jego kariera ległaby w gruzach. Utknąłby w tej zasranej dziurze na zawsze, a nie miał zamiaru do tego dopuścić. I tak będzie musiał stawić czoło wystarczająco wielu oskarżeniom przełożonych. I tylko jedna rzecz mogła go uratować.

Byłem zbyt pobłażliwy. Za bardzo ufałem podwładnym. Tym razem sam poprowadzę akcję odwetowo-poszukiwawczą.

Odwetową. To słowo kołatało mu w mózgu. Znaleźć i zniszczyć.

- Zebrać ludzi! Mają być gotowi do ataku za godzinę!

- W tej burzy? Niczego nie zobaczymy!

- Wróg też nic nie będzie widział! Spodziewają się, że pozostaniemy w fortecy. Nie będą wiedzieli, że wyszliśmy! Zastosujemy przeciwko nim ich własną taktykę. Wezmę ich przez zaskoczenie tak samo, jak oni wzięli nas!



## Rozdział 2

Rambo biegł równym, spokojnym rytmem, długimi krokami. Dysząc pod ciężarem Trautmana martwił się, że nie będzie w stanie odnaleźć w ciemnościach i kurzawie niecki, gdzie zostawili konie. Zerknął na kompas i lekko zmienił kierunek biegu. Czuł, że Musabiegnie za nim. I modlił się, żeby ludzie czekający przy koniach nie zastosowali się do instrukcji Musy i nie odjechali po godzinie. Mimo bólu w nogach i grzbiecie, mimo przykurczy mięśni i krwawienia dłoni przyspieszył biegu.

Poczuł, że grunt zaczyna się wznosić. A więc osiągnął skraj doliny! Wkrótce znajdzie się u podnóża gór!

Ale musiał odnaleźć nieckę, gdzie pozostawili konie.

Zatrzymał się i poczekał na Musę, mając nadzieję, że nie dzieli ich tak duża odległość, by teraz nie mogli się spotkać, Z burzy wychynał cień.

Dysząc jak wyrzucona na brzeg ryba, Musa zatrzymał się obok Johna.

- Wiadomo, że niecka jest gdzieś na tym stoku. A nie wiemy czy jest po prawej czy po lewej - rzucił Rambo podniesionym głosem żeby przekrzyczeć wiatr. Idź w prawo. Dwa tysiące kroków. Jeśli jej nie znajdziesz, wracaj tu do mnie.

~ A jeśli ty też nie znajdziesz niecka?

- To pójdziemy w góry na piechotę.

- Nie zając daleko, żołnierze znaleźć.

- Wiedzą, że nie są w stanie nas zobaczyć przed końcem burzy.

- Wschód za godzina. W światło dnia burza nie tak gęsta.

- Nam pomoże to tak samo, jak żołnierzom. Nie marnujmy czasu.

Musa bez słowa odwrócił się i zniknął w ciemności. Rambo ułożył Trautmana wygodniej na grzbiecie.

- Jak się pan czuje, pułkowniku?

- To najgładsza przejażdżka w moim życiu, John. Rambo uśmiechnął się do siebie.

Uśmiech zamarł mu na ustach, kiedy dostrzegł gorący, lepki strumień spływający mu po boku. Aż do tej pory był zbyt zajęty czym innym, żeby go zauważyć.

Chciał wierzyć, że krew spływa z draśnięcia na jego ramieniu lub uchu, ale musiał się upewnić.

- Trafili pana, pułkowniku?

- Wramię.

- Chryste!

- Uciskam mnę, ale nie mogę powstrzymać krwotoku. Tracę siły

Rambo delikatnie postawił Trautmana obok siebie, oderwał pas materiału ze swej koszuli i nałożył opaskę na ramię pułkownika; Zdjął grot ze strzały, złożył ją na pół, wsunął ją pod opaskę i przekręcił, zaciskając opatrunek. Znowu zarzucił sobie Trautmana na ramię i szybszym krokiem pobiegł w lewo, licząc w myślach kroki. -Niech pan wytrzyma!

- Nie, to ty wytrzymaj. - Wydawało się, że Trautman uznał to za dowcip, bo zachichotał słabo. Choć mówił Johnowi wprost w ucho, jego głos brzmiał, jakby dobiegał z daleka.

Trautman przerwał nagle myśli truchającego i liczącego kroki Johna.

- To nie do wiary, że się zjawiał. Jak to się stało?

- Przeznaczenie.

- Co?

- Zrobiłem to, czego pan chciał.

- Nie rozumiem.

- Powiedział mi pan, żebym zaakceptował... -Rambo urwał, potknąwszy się na niewidocznym kamieniu. Zesztywniał, nie chcąc zadawać bólu pułkownikowi. - ..swoje przeznaczenie. Pułkowniku, jestem w tej chwili nieco zajęty. Jeśli to panu nie robi różnicy, pogadamy później.

- Prawdę mówiąc...

Rambo doliczył się stu kroków i biegł dalej. - Tak?

- Nie miałbym nic przeciwko milczeniu. Czuję się trochę ospały:

Rambo przyspieszył. Chryste, niech on nie umiera! Niech on nie umiera!

Ale nie był pewny, czy mówi to do siebie...

CzydoAllaha.

Przerażony powiększającym się strumykiem krwi na swym boku, Rambo zmusił się do szybszego biegu. Przebył już pięćset kroków, a wciąż jeszcze nie trafił na nieckę. Stok u podnóża gór zaczął zataczać lekki łuk.

Znowu się potknął o jakiś niewidoczny kamień, ale tym razem nie zdołał utrzymać pułkownika. Przewrócił się, upadł twardo i stoczył się w dół, jakby leciał w przepaść. Zatrzymała go boleśnie jakaś skała.

Niecka! Odnalazł nieckę!

Ale kiedy się zmusił, by powstać, zorientował się, że niecka jest pusta.

O, Jezu! Odjechali! Jesteśmy zdani na siebie!

Ruszył po omacku przez burzę do miejsca, gdzie upuścił Trautmana.

Wbił palce w piach i zaczął się wspinać.

Zamarł, usłyszawszy parsknięcie konia.

Tuż ponad głową!

Ręka złapała go za ramię. Wyciągnął nóż i niemal zadał pchnięcie...

Rozluźnił mięśnie.

I chwycił nadgarstek Afgańczyka, którego słów nie rozumiał, ale nie potrzebował tłumaczenia.

Czekałeś dłużej, niż kazał ci Musa, pomyślał. Nawet w tym wietrze musiałeś słyszeć wybuchy w fortecy. Musiała cię ogarniać panika.

A jednak zostałeś.

Rambo ścisnął dłoń Afgańczyka i potrząsnął nią. Dobrze pamiętał, co Michelle powiedziała mu po buzkaszi, kiedy Mosaed uściśnął mu rękę. Uściśnięcie dłoni to najwyższy zaszczyt. Będę cię zawsze pamiętał.

Złapał mężczyznę za koszulę i poprowadził za sobą.

Tędy, tędy.

Jezu, gdzie jest...?

Dotknąwszy zakrwawionego ramienia Trautmana, Rambo odruchowo cofnął rękę. Pułkownik jęknął.

- Zabierajmy go stąd - powiedział Rambo, Afgańczyk zrozumiał. Przekrzykując wiatr powiedział coś, co było jasne dla Amerykanina.

Miało znaczyć: "Pośpieszmy się. Musimy stąd odjechać".

A Musa? - pomyślał Rambo. Musimy poczekać na Musę!

- Po prawej być wąż. Nie móc ja iść dalej - zaskoczył go nagle głos Afgańczyka. Johnowi serce zabiło mocniej.

- Pomóż mi!

- Tak.

Rambo niósł Trautmana. Doszli do konia. Musa pomógł im wsiąść. Siedząc w siodle, Rambo obejmował Trautmana. Afgańczycy szli pieszo, prowadząc konie. Wspięli się na stromy stok i ruszyli w góry.

### Rozdział 3

W otoczeniu żołnierzy Zajsan wymaszerował z fortecy, ignorując siekący po twarzy piach. Nawet wycie wiatru nie było w stanie zagłuszyć ryku, dochodzącego z prawej strony. W ciemności zabłysła para świateł, zaraz za nią pojawia się druga, a za nimi następne. Wyglądały jak oczy potworów, ale świeciły równo bez mrugania. Ryk wzrastał się z sekundy na sekundę. Z kurzawy wychynęły nagle ogromne, ciemne masy stali - ciężkie czołgi i transportery opancerzone, którym Zajsan nakazał natychmiastowy wymarsz z niezwykle pilnie strzeżonych hangarów na tyłach fortecy.

Wozy się zatrzymały. Ryk ich silników przycichł, ale ziemia wciąż lekko drżała, kiedy bulgotały głucho na wolnych obrotach. Zajsan warknął rozkaz dla Kurowa i Azowa, a ci natychmiast poszli za nim do pierwszego transportera opancerzonego, wspięli się i wślizgnęli za pułkownikiem do wnętrza wozu.

Działonowy zatrzasnął właz i zabezpieczył go z głośnym szczękiem zasuw. Już nie było słychać wycia i jęków burzy, jedynie przytłumiony pomruk ogromnego silnika.

Skulony w ciasnym, niskim i wąskim wnętrzu, Zajsan przepchnął się obok szeregów zamocowanych na ścianach pocisków armatnich i skrzyń z taśmami do karabinów. Usiadł na fotelu dowódcy za pięcioosobową załogą, niecierpliwym gestem nakazując Kurowowi i majorowi dołączenie do czterech obładowanych sprzętem żołnierzy z tyłu.

Zajsan traktował obecność Kurowa jako konieczność i rzadko poruszał się bez obstawy potężnego sierżanta.

Ale Azow to co innego. Major absolutnie nie musiał tu być. Mógł pozostać w forcie i pomagać młodszym oficerom w nadzorowaniu prac remontowych. Ale przejawiana przezeń ostatnio skłonność do dyskusji (jak również, o ile Zajsan się nie mylił, nieodpowiedzialność i tchórzostwo) skłoniła pułkownika do ukarania go udziałem w tej wyprawie. Choć raz, myślał Zajsan, będziesz naprawdę częścią wojny, zamiast trzymać się tyłów i narzekać na niedogodności. A kiedy zaczniesz się strzelanina, przyrzekam ci, że będziesz w samym środku ognia. Tak, Azow, albo wykażesz się w walce, albo spędzisz następne dwadzieścia lat w więzieniu.

Zajsan zwrócił pełną napięcia twarz w stronę dowódcy wozu.

- Powiadomić kolumnę. Ruszamy.

Rozkaz został wykonany natychmiast. Silnik wozu znów ryknął i pojazd skoczył w przód, wciskając pułkownikowi żołądek w kręgosłup. Dowódca transportera pstryknął przełącznikiem i wyłączył światła czołowe wozu. Reflektory nie były już potrzebne, zakłócałyby wręcz pracę czułych sensorów, umożliwiających transporterowi podróżowanie w ciemności bez ujawniania pozycji wozu.



Niewielki ekran telewizyjny, umieszczony z przodu przedziału załogi, ukazywał zielonkawy, otrzymywany z silnej nocnej kamery obraz terenu przed pojazdem, targanego wściekłymi podmuchami wiatru. Zajsan raz kolejny zdziwił się, jak znakomicie spisuje się ten sprzęt. W ten sposób, zanim burza ucichnie, kolumna będzie już oddalona o wiele kilometrów od fortecy. Obserwujący fortecę z gór rebelianci będą się czuli bardzo pewni siebie, kiedy po opadnięciu kurzawy nie dostrzegą żadnej aktywności świadczącej o przygotowaniach do wymarszu na akcję odwetową. Nie będą wiedzieć, że ta akcja już się zaczęła, że siły operacji znajdź-i-zniszcz już są gotowe do zadania uderzenia z pozycji o wiele bliższej, niż mogli się spodziewać.

Twarz Zajsana zastygła w wyrazie zdecydowania. Oczywiście, wiedział, że cały plan byłby do niczego, gdyby jego podstawowe założenie okazało się błędne. Tak potężne siły ofensywne potrzebowały określonego celu, konkretnego przeznaczenia. Inaczej wszystkie te bojowe wozy pędziłyby tylko bezsensownie przez burzę.

Ale przecież wytyczył ten cel. Dwa dni wcześniej zestrzelono dwa śmigłowce podczas nalotu na wioskę w dolinie położonej na północny wschód od fortecy. Nazajutrz zaatakowano pancerną kolumnę w dolinie położonej na południowy wschód od warowni. A tej nocy ludzie, którzy napadli na fort, uciekli na wschód. Jasne, możliwe, że dla zmylenia pościgu po oddaleniu się od warowni zmienili kierunek odwrotu. Ale po co mieliby tracić na to czas, skoro i tak noc i burza skryły ich natychmiast? Czy nie staraliby się raczej utrzymać możliwie najprostszej linii ucieczki? Przecież każdy spowodowany strachem manewr w takich warunkach pogodowych zakłóca zmysł orientacji i może spowodować zgubienie drogi.

Tak, pomyślał Zajsan. Mimo ciągłego analizowania przesłanek i przebiegu rozumowania nie był w stanie znaleźć w nim błędu. Utwierdził się tylko, że ma rację. Wschód. Wszystkie poszlaki prowadziły na wschód. A ustaliwszy położenie celu, mógł spokojnie skoncentrować na tym terenie swoje siły. W dodatku będzie miał przewagę zaskoczenia, zyska więc ogromne szansę na wykrycie i zniszczenie rebeliantów. Oczywiście, mimo wszystko mógł się mylić. Ale w takim wypadku straci tylko czas.-Z drugiej strony, jeśli okaże się, że prawidłowo wydedukował położenie celu, może odnieść zwycięstwo o tak wielkim znaczeniu, że przełożeni zapomną o jego ostatnich porażkach.

Pułkownik zerknął na skulonego w tylnym przedziale Azowa. Jest coś, co nas łączy, pomyślał. Nienawidzę tej wojny tak samo jak ty. Nie powinna się była zaczynać. Po ośmiu latach prób pokonania tych rebeliantów nie jesteśmy bliżej zwycięstwa niż w momencie ataku. Zabiliśmy pół miliona ludzi. Cztery miliony wygnaliśmy do sąsiednich państw. Zmusiliśmy pięć milionów wieśniaków do porzucenia pól i gnieźdzenia się w przeludnionych miastach. Zniszczyliśmy tysiące wsi. Zbombardowaliśmy i zatruliśmy miliony akrów rolniczych areałów. Atakowaliśmy

rebeliantów za pomocą najlepszych bojowych śmigłowców i transporterów opancerzonych na świecie.

I nadal ich nie pokonaliśmy. Przepelniliśmy ich tylko większą determinacją i potężniejszą żądzą oporu. Ta wojna zniszczy reputacje i zrujnuje kariery. Wliczając w to moją; jeśli nie będę ostrożny. Zrobię wszystko. Będę tortuował, masakrował i wymyślał bestialstwa. Wszystko, co tylko jest w stanie zapewnić mi przychylność przełożonych, przekonać ich, że należy mi się w nagrodę przeniesienie gdzie indziej. Gdziekolwiek. Byle poza ten okropny kraj i idiotyczną wojnę.

Tak, pomyślał pułkownik, mamy ze sobą coś wspólnego, Azow. Obaj nienawidzimy miejsca, gdzie jesteśmy, i swoich obowiązków. Ale w przeciwieństwie do ciebie, ja nie dopuszczę do tego, żeby ta wojna mnie pokonała. Ty się poddajesz, a ja robię się twardszy. Ty dajesz się ponosić wypadkom, ja je kontroluję. Ja stawię czoło problemowi wykorzystując wszelkie niezbędne środki.

Odwrócił wzrok od Azowa i wpatrzył się w zielonkawy ekran i żywy obraz burzy na zewnątrz. Kłębiący się wciąż piach wydawał się nieco rzadszy, a wiatr jakby słabszy. Za kilka godzin powietrze będzie jasne i przejrzyste.

Ale Zajsan miał nadzieję, że nastąpi to jeszcze nieprędko. Gdyby tylko burza utrzymała się do dziesiątej, bylibyśmy już daleko od fortecy, na pozycji, gotowi do uderzenia. Tylko o to proszę! Jeszcze trochę czasu!

Kolumna prowadzona przez wóz Zajsana zmierzała na południowy wschód, w stronę doliny u podnóża gór. Druga kolumna jechała na północny wschód, na drugą stronę masywu. A kiedy obie szczęki imadła staną na swoich miejscach, Zajsan wyśle sygnał do wkroczenia w góry i zaciskania tych pancernych szczęk. W końcu, oczywiście, wozy bojowe dotrą do tak trudnego terenu, że nie będą mogły jechać dalej. Ale wówczas z ciężarówek wysiądą żołnierze i zaczną przeszukiwać masyw górski na piechotę. Kiedy namierzą obozowisko rebeliantów, przekażą ich koordynaty do działonowych, a ci otworzą ogień z armat czołgów i transporterów opancerzonych. Zajsan wiedział, że potrzebna mu jest nagonka, jak na polowaniu na ptaki czy króliki. Pomyślał więc o śmigłowcach. Jak tylko ucichnie burza, śmigłowce wylecą na żer i przeszukają każdą grań i dolinę w tych górach. Jeśli są tam rebelianci, zostaną wykryci i zniszczeni.

Całe rozumowanie pułkownika zakończyło się chłodną myślą. Atakując fortecę, wyświadczyliście mi przysługę. Osiągnąłem taki poziom wściekłości i desperacji, że wreszcie ujrzałem sytuację jasno. Nie jestem w stanie atakować we wszystkich kierunkach. Ale jeśli jesteście w tych górach, należycie do mnie. Nieważne, jak długo będzie trwała ta operacja. Znajdę was. Będę wam zadawał wszelkie możliwe katusze, sprawię, że pożałujecie, że postanowiliście odbić Amerykanina i poniżyliście mnie.

Kiedy burza na zielonkawym ekranie zaczęła przycichać, pułkownik przypomniał sobie nagle drugiego Amerykanina, tego pokrytego szokującym kamuflażem bandytę, który zatrzasnął go w celi i niemal udusił gazem łzawiącym, tego samego, którego Azow widział strzelającego z murów. Zajsan, nie potrafił powiedzieć, w jaką część raportu Azowa wierzy, a jaką musi zataić dla zabezpieczenia się przed oskarżeniem o niekompetencję, ale na pewno wiedział jedno - Amerykanin istnieje. Dotknąwszy poparzonej gazem twarzy, pułkownik” przysiągł na świętość grobu Lenina, że człowiek, który spowodował to wszystko, będzie cierpiał bardziej niż jakikolwiek Afgańczyk. Będzie cierpiał bardziej, niż może wytrzymać istota ludzka.

## Rozdział 4

Kiedy wciąż pogrążeni w Ciemnościach mozolnie wspinali się pod górę, kurzawy piachu-zaczęły słabnąć. Wiatr wciąż wiał, drzewa przyginały się do ziemi, konary skrzypiały, ale przynajmniej oddalili się od piachu. Już zostawiliśmy go za nami, pomyślał Rambo.

Ściskając kolanami boki konia, kurczowo trzymał w ramionach Trautmana, który bezwładnie siedział na siodle przed nim. Niewidoczny w mroku mudżahedin prowadził wierzchowca za uzdę.

- Pułkowniku?

Żadnej odpowiedzi.

- Pułkowniku, muszę poluzować pana opaskę!

Trautman nie reagował, zwisając w ramionach Johna.

- Pułkowniku! - Rambo przesunął dłoń na klatkę piersiową mężczyzny. Serce biło słabo.

Uniósł dłoń wyżej i poklepał pułkownika po policzku.

- Pułkowniku, proszę się obudzić!

- Co? - Trautman poderwał głowę. - Ja... przepraszam... musiałem...

- Proszę do mnie ciągle mówić!

- Chyba zemdlałem.

- To się nie może powtórzyć - powiedział Rambo, zachowując dla siebie przeczcucie, że następnym razem pułkownik mógłby się już nie obudzić.

- Jak sobie życzysz. Jesteś...

- Niech pan mówi!

- ...szefem.

- Może pan to tak nazwać. Niech pan wygłosi przemówienie.

- Co?

- Niech pan mówi. Cokolwiek. Na przykład Przysięgę Wierności. Albo Akt Skruchy.

- Akt czego? Jestem prezbiterianinem, nie katolikiem!

- To dobrze. Ważne, że nie jest pan republikaninem.

- Ty skurwielu!

- Świetnie, pułkowniku. Niech mnie pan wyzywa. Byleby pan mówił. Przysięgam wierność...

- ...sztandarowi... - dokończył odruchowo Trautman, - ...i republice... - Rambo poluzował opaskę uciskową na ramieniu pułkownika.

Popłynęła krew.

Jeżu!

Miłość do Trautmana kazała mu natychmiast zacisnąć opaskę z powrotem i tym samym powstrzymać upływ krwi.

Ale jednocześnie zmusiła go do okrucieństwa. Jeśli nie pozwoli krwi popłynąć przez poszarpane żyły, pozbawiona jej tkanka ulegnie gangrenie. A w tej dżicy będzie to oznaczało dla pułkownika po prostu alternatywę wobec śmierci z upływu krwi.

- Jeden naród, jeden Bóg, nierozdzielnie... -mamrotał Trautman. - Z wolnością i...

Rambo odczekał tylko tyle, ile musiał. Potem szybko zacisnął opaskę.

- ...sprawiedliwością dla wszystkich. Krwawienie ustało.

John westchnął cicho.

- Niech pan nie przestaje mówić, pułkowniku. Świetnie panu poszło z Przysięgą Wierności!

Posłuchajmy teraz słów Gwiazdzistego Sztandaru.

- Daj spokój. Nikt nie zna wszystkich słów...

- Chyba ma pan rację. To może.. coś Bruce'a Springsteena?

- Czyje?

- No nic, szkoda. Spróbujmy może Cole'a Portera. Night and day...

- ...jesteś tylko ty...

- Racja, pułkowniku. Jestem tylko ja. Niech pan gada. Niech mnie pan nie wkurza. Niech pan nie próbuje znowu zasypiać.

## Rozdział 5

Sierżant Kurow nie wiedział, którego z tych dwóch oficerów bardziej nienawidził. Siedział w przedziale desantowym, wczuwał się w falujące ruchy transportera i wsłuchiwał w stłumiony pomruk silnika, ale przede wszystkim starał się nie spoglądać na majora Azowa. Był bowiem pewny, że jeśli pozwoli majorowi spojrzeć sobie w twarz, Azow pomimo okropnego burozielonego oświetlenia będzie w stanie dojrzeć w jego oczach pełną obrzydzenia niechęć. A sierżant nigdy nie pozwalał na to, żeby oficerowie znali jego uczucia.

Słabość zawsze napawała go obrzydzeniem, zarówno własna, jak i cudza. A zachowanie majora w ciągu ostatnich paru miesięcy było bardziej niż godne pogardy. Nie dość, że do tego stopnia stracił nad sobą panowanie, że zaczął się kłócić ze swoim dowódcą, to jeszcze pozwolił sobie na okazanie słabości. Miękkosć, jaką wykazał się tej nocy, kiedy zobaczył torturowanego chłopca, była absolutnie niewybaczalna. Jego bierność podczas i po ataku były odrażające, a jego obecność podczas tej misji zakrawała na obelgę. \_

Władza, pomyślał Kurow. Tylko to się liczy. Siła i dyscyplina. To jest to. Jeśli mężczyzna nie jest twardy, nie jest mężczyzną, nie jest godzien szacunku. Nie jest w stanie przetrwać, a wytrzymałość - bardziej niż cokolwiek i przetrwanie to cel.

Kurow uczył się tego od swych najwcześniejszych dni. Wyrastając w najbiedniejszej części Leningradu zorientował się, że jego rodzice, jego bracia i siostry, jego przyjaciele, wszyscy oni zaakceptowali swe podłe życie. Ale Kurow poprzysiągł sobie, że się wyrwie. Nie mając wpływowego mecenasa na biurokratycznej drabinie, nie miał nadziei na dopuszczenie do nauki w szkole, która przygotowałaby go do kariery urzędniczej. Nie miał nadziei na znalezienie pracy, w której zarobiłby wystarczająco, by podnieść poziom swej egzystencji. W wieku lat osiemnastu został powołany do służby wojskowej i przez następne dwa lata przeżywał upokorzenia tego samego typu, jak te, przed którymi pragnął uciec. Cierpiał. Ale niespodziewanie odnalazł nadzieję w pewnym pomysle. Skoro życie to ciągła walka, uczyni walkę swym zawodem. Armia zapewnia żywność, ubranie i dach nad głową. Mimo że trudno byłoby je nazwać luksusowymi, i tak były lepsze od tych, do których przywykł przedtem. Poza tym im wyższą rangę ma żołnierz, tym lepiej żyje. Kurow postanowił więc wyrzucić wrażenie na przełożonych, wznieść się po szczeblach kariery i samemu wydawać rozkazy. I żyć tak dobrze jak ci, którym zazdrościł. Nie miał wątpliwości, że mu się to uda. Posiadał wszelkie potrzebne talenty. Był silniejszy i twardszy niż ktokolwiek.

Ale w wieku trzydziestu ośmiu lat siedział w przedziale desantowym transportera opancerzonego i jechał na kolejną bitwę. Po dwudziestu latach służby ciągle nie awansował powyżej sierżanta. Mimo że wciąż na nowo udawadniał swą siłę i bezwzględność, nadal więcej

rozkazów otrzymywał, niż wydawał. I nadal musiał się zadowalać warunkami bardziej zbliżonymi do życia poborowego niż oficera.

A pułkownik? - pomyślał Kurow, zerkając na swego dowódcę ponad pojemnikami zawałającymi wnętrze wozu. Nie, nie wiem, którego z nich bardziej nienawidzę. Majora za jego słabość, czy pułkownika za jego niewdzięczność. Przecież jestem mu absolutnie niezbędny. Nie rusza się beze mnie, bez mojej ochrony. I jakiegokolwiek skurwysyństwa nie wymyśli, to ja muszę je wykonać.

A i tak sukinsyn nie podpisze mi wniosku o awans.

Może za bardzo się staram. Może jestem aż za bardzo niezbędny. Ten chłopiec, którego kazał mi dzisiaj torturować. Łąłem kwas. Przeżarł mu ciało aż do serca. Kto poza mną wykonałby takie rozkazy pułkownika? Kto inny byłby tak twardy, żeby patrzeć, jak pierś tego dzieciaka skwierczy i dymi, i nadal potrafiłby łąć kwas?

Twardziel. Taaak, jasne, jestem twardy. Jak ten chłopiec. Był twardy jak cholera. Trzeba mu to przyznać. Zadałem mu niewyobrażalne cierpienia, a on i tak nie zaczął gadać. Możliwe, że nie znał informacji, której potrzebował pułkownik, ale jakoś w to wątpię, jego oczy zdawały się mówić "Jestem silniejszy od ciebie. I odważniejszy. Nie zdradzę moich ludzi."

A tak swoją drogą, pułkowniku, ciekawe, jak wy byście znosili tortury. Czy błagalibyście o litość? Czy odpowiadalibyście na pytania? Wydali sekrety? Zdradzili towarzyszy, żeby uratować życie? Jak twardzi jesteście, towarzyszu pułkowniku? Szybko wydajecie rozkazy, żeby cierpiał kto inny. Ale nie macie jaj, żeby samemu zadać ból. Każecie to robić mnie. I przez większość czasu nie jesteście nawet w stanie się przyglądać. Ciekawe, jak wy byście się zachowywali w moich rękach. Jak by się to wam podobało?

Nagle, między jednym skokiem transportera a drugim, nurzając się w ryku silnika, Kurow uświadomił sobie, że pułkownik po raz pierwszy towarzyszy swym żołnierzom w drodze do boju. Ciekawe, jak twardy jest ten skurwiel? Nie mógł się doczekać, żeby to sprawdzić.

## Rozdział 6

Jesteśmy już prawie na miejscu, pułkowniku. Jeszcze trochę - powiedział Rambo.

Ale pułkownik nie odpowiedział.

Było wczesne popołudnie. Wiatr ustał. Jechali grupą, szybkim truchtem pod górę, między drzewami. Przejechali przez polanę, gdzie Rambo grał w buzkaszi, i wpadli w kępę drzew powyżej. John wypatrywał obozowiska, ale im bardziej się zbliżali, tym większy go ogarniał niepokój.

Coś tu było nie tak.

Już powinny być widoczne namioty, pomyślał. Na tej polanie powinni być jeźdźcy. A między drzewami powinni się kręcić wieśniacy.

Wreszcie zobaczył ludzi.

Namioty.

Jakiś ruch.

Odręż się, powiedział sobie. Jesteś tak zmęczony, że wpadasz w paranoję.

Ale pięć sekund później, kiedy wjechali na teren obozowiska, znów poczuł zdenerwowanie. Większość namiotów zniknęła, a pozostałe były zwijane i w pośpiechu pakowane na muły. Kobiety i dzieci zbierały przybory kuchenne, warsztaty tkackie i kobierce. Wojownicy sprawdzali broń.

- Musa, dowiedz się, co się dzieje! - krzyknął Rambo, zeskoczył z konia, porwał w objęcia Trautmana i pognął do lazaretu.

W wylocie jaskini pojawiła się Michelle. Widząc Johna, rzuciła na ziemię papierosa i podbiegła, żeby mu pomóc.

Musa zagadał szybko do grupy wojowników, posłuchał odpowiedzi i biegiem wrócił do Johna.

- Oni mówią oni się bać, że ty nie wrócisz. Bać się Ruski ciebie zabić.

- Nie teraz! Powiesz mi później. Teraz muszę się zająć pułkownikiem.

- Oni mówią, oni dziękować Allah.

Dotarła do nich Michelle i złapała Trautmana za nogi.

Musa wciąż szedł za nimi i nie przestawał mówić:

- Oni mówią oni bardzo zadowolona, że ty przeżył. Zadowolona, że ty mieć swoja przyjaciel.

- Powiedz im, że jestem wdzięczny. Że naprawdę doceniam ich troskę. Powiedz im, co chcesz. Ale teraz muszę...

Z pomocą Michelle wniósł Trautmana w cień jaskini i ułożył go na wiązce siana.

Trautman leżał bezwładnie. Był nieprzytomny. Mimo panującego w grocie półmroku, rany na jego obrzmiałej twarzy były bardzo wyraźne.



- jego ramię - szepnął Rambo. - Trafili go.

- Myślisz, że nie widzę?! - warknęła Michelle, przyciągnęła do siebie torbę lekarską i otworzyła ją nerwowym szarpnięciem.

Trautman jęknął.

- Ty musi słuchać!

- Nie teraz! - syknął Rambo.

- Tak! Teraz! Oni odjeżdżać! Oni przykro! Ale jechać!

Rambo się zachwiał.

- Tak! - Powtórzył Musa. - Ja próbować tobie wytłumaczyć! Ale ty nie słuchać!

- Cholera jasna! Michelle, muszę z nimi pogadać. Potrzebujesz mojej pomocy? Czy mogę coś zrobić?

- Modlić się za swojego przyjaciela.

- Uratuj go! Proszę!

- Zamknij się! Wyjdź stąd! Na miłość boską, daj mi pracować!

- In sza' Allah.

## Rozdział 7

Wodzowie siedzieli w środku półkola, utworzonego przez wojowników. Mieli ponure twarze. Przypomniawszy sobie zebranie rady zaraz po jego przybyciu, zaniepokojony Rambo usiadł naprzeciwko nich i zwrócił się do Musy:

- Powiedz jeszcze raz, co się dzieje? - Oni odjeżdżać - powtórzył Musa.

- Tak, ale dlaczego?

- Ty ich zmusić.

- Jak?!

- Bo oni ci zrobić przysługa.

- Nie rozumiem.

- Oni wiedzieć, że kiedy ty atakować forteca, wróg być bardzo zła.

- Ale uważają, że wczorajszy atak na kolumnę pancerną nie wkurzył Ruskich?

- Tamto być wojna. Atak na fort być osobista.

- To najgłupsza...

- Wojna w Afganistan.

- Tak, najbardziej popieprzona...

- Święty wojna. Teraz oni wyjeżdżać. Allah tak chcieć. Przemówił Khalid:

- Zbyt wiele ataków. Jesteśmy zbyt blisko siebie. Wróg wpadnie w furję, Będzie szukał wszędzie. I nie przestanie, dopóki nie znajdzie tego obozowiska.

A Musa dodał od siebie:

- To być właśnie ten przysługa oni dawać tobie. Nie być tylko pomoc. Także, ale też pozwalać tobie iść za twoja przyjaciel. Jak ty zaatakować forteca, oni wiedzieć, że musisz odejść, znaleźć inna dom. Ale oni nie próbować zatrzymać ciebie.

Rambo w przygnębieniu wbił wzrok w ziemię. Tak, teraz to wszystko miało sens. Tak bardzo martwił się o pułkownika, że nie pojmował, do jakiego poświęcenia zmusza tych ludzi, ile już domów opuścili? A ile jeszcze opuszczą, nim ta wojna się skończy? A kiedy się skończy, czy nie okaże się, że wszystkie ich poświęcenia poszły na marne?

- Powiedz im, że mi przykro - mruknął. - Gdyby była jakaś inna możliwość... - Smutek boleśnie ścisnął mu gardło. - Musiałem uratować przyjaciela.

Odezwał się Mosaed.

- On mówić, oni ci pozwolić uratować twoja przyjaciel, bo ty ich przyjaciel - przetłumaczył Musa.

- Powiedz mu - wychrypiął Rambo z trudem - że mimo wszystkich różnic jesteśmy do siebie bardzo podobni. Robimy to, co musimy. Nie mamy wyboru.

Mosaed wysłuchał tłumaczenia i odpowiedział:

- On mówić, ty mylić się o różnice. Ty myśleć jak muzułmanin.

- Chyba nie rozumiem.

- "My robić, co my musieć". On mówić, ty wierzyć w przeznaczenie.

Johnem ponownie wstrząsnęło wspomnienie ostatniej rozmowy z Trautmanem przed wyjazdem z Bangkoku:

Jesteś zagubiony, bo nie umiesz zaakceptować tego, czym jesteś.

Dlaczego miałbym być tym, czego nienawidzę?

To nie jest nienawiść. To niezrozumienie. Zaakceptuj swoje przeznaczenie!

Aleja nie wierzę w przeznaczenie.

Tak, i to jest właśnie problem.

Pod wpływem nagłych emocji Rambo odwrócił się i spojrzał w stronę jaskini, gdzie leżał nieprzytomny, ranny, zmaltretowany i półżywy z utraty krwi Trautman.

To moja wina. Gdybym zrobił to, o co mnie prosił pułkownik, gdybym z nim pojechał do Pakistanu, nie zostałby schwytany. Nie byłby torturowany. Nie postrzelono by go. Nie leżałby teraz w tej grocie, walcząc o życie.

Przeznaczenie? Właśnie dlatego tak się stało. Bo je odrzuciłem. Nie chciałem zrobić tego, co musiałem.

Modlił się do Boga katolików, Navajos, buddystów i muzułmanów, błagał o życie Trautmana. Rozpaczliwie poszukując iskierki nadziei zastanawiał się, czy muzułmanie przypadkiem nie mają racji mówiąc, że nic nie dzieje się bez przyczyny. Że wszystko jest częścią jakiegoś planu, woli Allaha. Czy to wszystko - jego poszukiwania, cierpienia, atak na fortecę i wreszcie uratowanie Trautmana - mogło się zdarzyć bez przyczyny?

Ale po co?

Z całą pewnością nie po to, żeby Trautman teraz umarł.

Nie, pomyślał Rambo, w to nie uwierzę.

Walcząc z wewnętrznym zamętem, John odwrócił głowę z powrotem do wodzów i przyjrzał się ich twarzom.

- Przeznaczenie - powiedział w zadumie, - A jakie jest ich przeznaczenie? Dokąd pójdą?

- Mosaed mówić, on pójść zachód, tam wróg nie spodziewać, tam ciągnąć walka.

Rambo westchnął.

- To chyba równie dobry plan, jak każdy inny. Rahim wtrącił się, nim Musa zdążył przetłumaczyć opinię Johna.

- On się nie zgadzać - powiedział Musa. - iść północ. Odezwał się Khalid.

Rambo uprzedził przekład.

- Założę się, że on chce iść w innym kierunku. Musa skinął głową.

- Południe.

- A może poszliby wszyscy razem do Pakistanu? Tam mogliby odpocząć, zebrać więcej ludzi i sprzętu.

- Nie, oni mówią, iść do Pakistan, to uciec od wojna.

Zostać i walczyć.

- To dlaczego nie trzymają się razem? Przecież im większe mają siły, tym łatwiej są w stanie pokonać Rosjan!

- Ty nie pamiętać, co ja ci powiedzieć? - tonem napomnienia odparł Musa. - To być kraj od szczepy. Wszystkie szczepy, wszystkie wodze równa. Wszystkie wodze myśleć, ich plan najlepsza. Myśleć, oni znać wola od Allah.

- Ale przecież wczorajszy atak na kolumnę powinien ich przekonać, jak wiele można działać współpracując ze sobą.

- Prawda. Ale to nie był normalna. Nie afgański. Oni się kłócić. Robić, jak wszystkie afgański od tysiąc rok. Iść swoja drogi, walczyć swoja wojny.

Rambo pokręcił głową z niedowierzaniem. Znow odezwał się Mosaed.

- On pytać, co ty teraz robić,.

- Zaczekam, aż mój przyjaciel poczuje się lepiej odparł natychmiast John, dodając w myślach: a mam nadzieję, że się poczuje lepiej. - Jak tylko będzie się nadawał do podróży, zabiorę go z powrotem do Pakistanu.

- Mosaed mówić, że ty lepiej nie zostać tu. Ruski znaleźć. Lepiej ty iść z Mosaed do nowa obozowisko.

- Mój przyjaciel jeszcze nie jest w stanie podróżować. Jeśli będę musiał podjąć ryzyko i go ruszyć, równie dobrze mogę zaoszczędzić czas i od razu iść do Pakistanu.

Mosaed wysłuchał tłumaczenia, pokiwał głową z fatalizmem i przemówił ponownie:

- On mówić, tak jak wodzowie, ty musisz robić, jak myślisz najlepsza.

- Powiedz mu, że zawsze będę sobie cenił jego przyjaźń. - To mówiąc, John pochylił głowę przed wodzem.

Przywódcy wstali. To, co powiedzieli niemal jednocześnie, było jednym z niewielu afgańskich wyrażen, jakie Rambo znał. Powtórzył więc w ich języku:

- Tak, idźcie z Bogiem.

Wodzowie pożegnali się z nim ciepło i odeszli do swoich osobno stojących szczepów.

A Rambo z niepokojem zawrócił do jaskini.

- teraz my czekać i modlić ~ powiedział za nim Musa.

- My? Jesteś pewien, Musa, że chcesz zostać? Nie musisz. Idź z jednym ze szczepów. Nie będę ci miał tego za złe. Właściwie uznaję, że jesteś mądry.

- Ja zaczynać z tobą, ja kończyć z tobą.

- Tylko tak powiedziałem, żebyś wiedział, że możesz iść jeśli...

Musa wyglądał na urażonego.

- Jestem tylko głupim niewiernym, Musa - powiedział z uczuciem Rambo. - Wybacz mi

- Ja zostać. Ty przyjaciel. Ty nie znaleźć sama droga do Pakistan bez mnie.

Rambo dotknął jego ramienia.

- Prawdę mówiąc, brakowałoby mi twojej obecności. - Uśmiechnął się z wdzięcznością, ale niepokój o Trautmana sprawił, że uśmiech wypadł jak grymas. - Pójdę zobaczyć, jak się ma pułkownik.

## Rozdział 8

Oczy Johna przyzwyczyły się do półmroku jaskini. Podeszedł do Trautmana. Widok bladej, zapuchniętej i skatowanej twarzy pułkownika wywołał ból w klatce piersiowej.

- W jakim jest stanie?

Michelle, która po obcięciu rękawa opatrywała ranę na ramieniu Trautmana, nie uniosła głowy znad swej pracy.

- Pocisk przeszedł na wylot. Trafił go na tyle wysoko, że ominął i serce, i płuco. To dobre wiadomości.

- Azłe?

- Został tak skatowany i stracił tyle krwi, że nie jestem pewna, czy wytrzyma...

- Podaj mu krew.

- Dałabym, gdybym miała.

- Daj mu moją.

Gwałtownym ruchem spojrzała na niego.

- Nie mam wyposażenia do porównywania grup i typów krwi.

- Obaj mamy A Rh plus.

- Jesteś pewny?

- Pułkownik kiedyś oddał krew dla mnie. Przyjrzała mu się uważnie.

- Nie. Wyglądasz strasznie. Nie spałeś od trzydziestu sześciu godzin. Bóg jeden wie kiedy ostatni raz jadłeś. Cały jesteś pokryty krwią. Nie wiem, ile pochodzi z żył twojego przyjaciela, a ile jest twojej. Nie jesteś zdolny do oddawania krwi.

- Zrób to, albo sam się za to wezmę. Nie spuszczała z niego wzroku.

- Taaaak. Tak, wierzę, że zrobiłbyś to. Ale to dla ciebie ryzykowne.

- A cóż to nowego? Pośpiesz się. Podłącz nas.

- Ściągaj koszulę. Umyj ręce. Zdezynfekuj lewe ramię. Nie chcę, żeby ta krew była skażona.

Obmyła wewnętrzną stronę ramienia Trautmana.

- Przysuń ten stół i połóż się na nim. Musisz być wyżej od niego. To będzie transfuzja grawitacyjna.

Rambo szybko wykonywał polecenia.

Michelle wyjęła z plastikowych torebek sterylne, grube igły i przewód. Połączyła je szybko ze sobą i założyła na przewód zacisk. Potem wbiła igłę w żyłę lewego ramienia Johna, a drugą w prawe ramię pułkownika. Zdjęła zacisk.

Krew spłynęła z żyły Johna do krwiobiegu Trautmana.

Michelle odwróciła się do Musy.

- Przynies Johnowi wody i coś do jedzenia. Musi odbudować zasoby energii. Niepotrzebny mi drugi pacjent.

Musa zniknął natychmiast.

Leżąc na stole i wpatrując się w twarz przyjaciela, Rambo odezwał się cichotko.

- Uratuj go.

- Zamknij się, kiedy pracuję. - Mówiąc to, sprawnie zaszywała wlot i wylot rany na ramieniu Trautmana. Założyła opatrunek i zabandażowała bark. Potem wstrzyknęła pułkownikowi antybiotyki. - Nic więcej nie mogę zrobić. Ten zastrzyk to ostatnie lekarstwa, jakie jeszcze miałam. Teraz wszystko zależy od twojego przyjaciela. I Allaha. A jeżeli zaraz nie wyjmę tych igieł, to tobie będzie potrzebna transfuzja. - Zamknęła zacisk i wyjęła igły. - Zegnij ramię i chwyć się za bark.

Sama wykonała te czynności z nieprzytomnym Trautmanem.

Rambo napił się wody z przyniesionej przez Musę blaszanki i zjadł brzoskwinie i miskę zimnego ryżu z jakimś okropnym, gorzkim mięsem. Ale nie spytał, co to za mięso.

- Zrób coś dla mnie - powiedziała Michelle, kiedy opróżnił miskę.

- Co tylko zechcesz.

- Rzygać mi się chce na twój widok. Zmyj chociaż ten tłuszcz i piach z twarzy.

Rambo nie zdołał powstrzymać śmiechu.

- To jest,ostatnia czysta koszula, jaka mi została. Potem będziesz musiał się nurzać we własnym brudzie.

Rambo nie przestawał się śmiać. - Co w tym śmiesznego? - nie rozumiała.

- Nic. Ale tak przyjemnie się śmiać. Już zapomniałem, jak to jest.

- Ja też, Mnóstwo czasu minęło, od kiedy się śmiałam ostatni raz. - Potrząsnęła głową. - Chyba powinnam już wracać do domu.

Do Jaskini weszło kilku Afgańczyków. Pomogli rannym wstać.

- Co oni robią? - przestraszył się Rambo.

- Ewakuują wszystkich swoich ludzi.

- Ale niektórzy pacjenci nie są zdolni do transportu.

- Mnie to mówisz? Mosaed twierdzi, że jeśli Rosjanie wypatrzą tę jaskinię, pacjenci i tak zginą. A tak jest szansa, że przeżyją po przenosinach do nowego obozu.

- A co ty na to?

- Tak naprawdę? Widziałam tyle śmierci, że chyba jestem już zbyt odrętwiała, żeby coś czuć. - Dłonie jej drżały, kiedy zapalała papierosa. - Tak, zdecydowanie powinnam już wrócić do domu.

Rambo wstał ze stołu.

- Uważaj! - ostrzegła go. - Nie kręci ci się w głowie?

- Nie - skłamał. Kiedy zawroty głowy ustąpiły, przyklęknął obok Trautmana. Twarz pułkownika niemile przypominała wosk, Rambo posłuchał niepewnego oddechu rannego. - Czy on będzie żył?

Michelle nie odpowiedziała.

- Powiedz! Jakie ma szansę? Muszę... Przerwały mu pełne przerażenia głosy.



## Rozdział 9

Rambo poderwał się i wypadł z jaskini.

Afgańczycy biegli do koni. Kobiety zwijały się, żeby szybciej skończyć pakowanie. Dzieci popędzały kozy i owce, odciągając je od obozowiska. A wszyscy krzyczeli i poganiali się nawzajem.

Po prawej stronie John zobaczył kilku wojowników, którzy przypadli do ziemi na szczycie zadrzewionego pagórka, skąd widać było podnóże gór. Wychylili ostrożnie głowy, popatrzyli w dół, przeklinając wycofali się i pognali do koni.

Rambo przepuścił ich i sam wdrapał się na pagórek. Afgańczycy nie musieli aż tak hałasować - i tak wyraźnie było słychać to, czego tak się bali. Choć odległy, dźwięk ten miał w sobie przytłaczającą potęgę. Nie można go było nie słyszeć.

Rambo dotarł do drzew.

Zatrzymał się.

Położył się na ziemi.

I poczołgał się w przód. Wychyliwszy głowę poza krawędź, zerknął w dół. Powietrze drżało odległym grzotem, wizgiem i znajomym "łup-łup-łup-łup" rotorów tyłu śmigłowców, ilu John jeszcze nigdy naraz nie widział. Serce mu waliło. Nawet z tej odległości uskrzydłone sylwetki MI-24 były monstrualnie wielkie. Dziesięć. Piętnaście. Przestał liczyć przy dwudziestu. Daleko poniżej jego stanowiska pędziły w stronę podnóża gór w gigantycznym kluczu, a potem rozpierzchły się na prawo i lewo.

Będą teraz przelatywać nad każdą niecką i przełęczą, każdą polanką i kępą drzew. Każdy dostał swój sektor. I każdy przeszuka go metodycznie, latając w tę i z powrotem. Potem podlecą w wyższe partie gór. I tam też przejrzą wszystko. Sprawdzą po dwa razy wszystko, co im się wyda podejrzane, i rozwalą wszystko, co się rusza.

Dziób jednej z odległych maszyn rozbłysł, jakby krzesząc iskierki. Po chwili do uszu Johna dotarł klekot cekaemu. Z zadrzewionego stoku wzniósł się kurz.

Rambo odczołgał się w tył i pobiegł tam, gdzie jeszcze wczoraj było obozowisko. Grupy Afgańczyków zaczynały już wyruszać w drogę. Szczep Khalida wychodził w jedną stronę, Rahima w drugą. Mosaed wykrzyczał ostatnie instrukcje swoim ludziom i wskoczył na konia. Zauważył Johna i zawołał coś, wskazując ręką na jaskinię.

Rambo nie pojął znaczenia jego słów.

- Musa! Co on mówi?

Musa, który właśnie odwrócił głowę od widoku śmigłowców w dolinie, miał tępe spojrzenie. Z podnóża gór wciąż dobiegały nowe odgłosy serii karabinowych. Gdzieś daleko wybuchła rakietka.

- On mówi, helikoptery strzelać do wszystko. Widzieć jaskinia, mieć podejrzliwość, strzelać rakietka. Ty zostać, ty umrzeć. On chce ty jechać z nim.

- Nie mogę! Mosaed wciąż coś wykrzykiwał.

- On mówi, helikoptery iść od zachód. On nie móc teraz iść tam. On iść wschód. Do Pakistan. Ty iść z nim. Jego człowieka ochronić ciebie.

- Nie mogę zostawić pułkownika!

- Brać pułkownik z tobą.

Rambo spojrzął na rannych, którym Afgańczycy pomagali wyjść z jaskini. Niektórych musieli nieść. Wszystkich wsadzali na konie. Część rannych była w stanie utrzymać się w siodle samemu, innych musieli trzymać przed sobą jeźdźcy.

Tak samo Rambo trzymał pułkownika w długiej podróży powrotnej do obozowiska. A przecież kiedy dojechali, mimo wszystkich wysiłków Johna Trautman był nieprzytomny. Stała, pionowa pozycja i nieprzerwane kołysanie grzbietu konia jątrzyły ranę i wzmagaly krwawienie.

Jeśli znów narażę go na to samo, pomyślał John, puszcza mu szwy. Znów zaczniesz krwawić. Umrze.

- Mój przyjaciel nie może jechać konno!

U podnóża gór bez przerwy slychać było ryk turbin i grzechot strzałów. Znów wybuchła rakietka.

- Opóźnialibyśmy tylko wasz marsz - powiedział Rambo. - Wszyscy twoi ludzie zginęliby tylko po to, żeby ratować mojego przyjaciela. Nie! Jedźcie bez nas! Pośpieszcie się!

W oczach Mosaeda zamigotała frustracja. Otworzył usta, żeby jeszcze raz podjąć próbę przekonania Rambo, ale kiedy u podnóża gór wybuchła kolejna rakietka, zamknął usta i skinął głową. Zawrócił konia i pogalopował na czoło swego szczepu, prowadząc go w stronę, gdzie zdążyli już zniknąć zmierzający na południe ludzie Khalida. Kiedy tylko będzie to możliwe, Mosaed zejdzie ze swą grupą ze szlaku Khalida i powiedzie ich wyżej w góry, z dala od obozowiska i zbliżających się śmigłowców, jak najdalej od zachodu. Na wschód. W lesie po drugiej stronie polany znikali właśnie ludzie Rahima, obierając drugą z możliwych dróg ucieczki. Na północ.

Polana pogrzyżała się w nienaturalnej ciszy. Nagle znowu rozległy się dalekie, przytłumione serie cekaemów i szczekanie działek pokładowych. Rambo otrząsnął się i pobiegł do jaskini. U jej wejścia napotkał Michelle.

- Nie zostawaj tu - odezwał się do niej. - Weź mojego konia. Jeszcze zdążysz się przyłączyć do Mosaeda.

- Nie zostawię swojego jedyne pacjenta.

- Zrobiłaś już dość. Odbyłem szkolenie paramedyczne. Zaopiekuję się nim.

- Ale kto będzie się opiekował tobą, jeśli cię ranią? Jak możesz walczyć i jednocześnie doglądać pułkownika? Zostaję.

- Ale...

- Nie opuszczę pacjenta! - Jej głos był ostry jak jego nóż, a oczy zimne jak stal. - Nie wyjadę z Afganistanu jako tchórz!

Powietrze drżało odległym echem ryku maszyn i strzałów z działek.

- Mosaed mieć racja - powiedział Musa. - Helikoptery strzelać do wszystka co być podejrzana.

Rambo rozejrzał się po polanie. Trawa była wygnieciona nogami ludzi i koni, widać było place po namiotach. A mimo zagaszenia i przysypania, pozostałości po paleniskach wciąż dawały się dostrzec.

- Mosaed miał rację w jeszcze jednym - odrzekł po chwili. - Kiedy zobaczą jaskinię, będą się zastanawiać, czy ktoś jeszcze się w niej nie kryje. I na wszelki wypadek walną w nią rakieta.

- To co my robić? - spytał Musa. - Chować w las? My tak mało, może być oni nie zauważyć?

- Szybko by nam zabrakło jedzenia i w końcu i tak musielibyśmy się ruszyć., Jeśli to jest operacja znajdź-i-zniszcz na pełną skalę, a na to wygląda, to niedługo będą tu żołnierze.

- Ty ich rozzłościć bardziej niż ja kiedy widzieć stwierdził Musa.

~ Taaak - zgodził się John. - Rzeczywiście ich wkurzyłem. - Ale w jego głosie nie było satysfakcji.

- Co więc my robić?

- Musimy odjechać. Musa był zaskoczony.

- Ale ty powiedz Mosaed, że ty zostać.

- Powiedziałem tak, zanim się pojawiły śmigłowce.

- Po helikoptery ty mówić do Mosaed jechać bez nas.

- Z powodu pułkownika. Gdybyśmy go posadzili na koniu, wykrwawiłby się na śmierć. A ludzie Mosaeda poginęliby, gdybyśmy opóźniali ich marsz. Dlatego prosiłem Michelle, żeby pojechała bez nas. I dlatego znów proszę ciebie, Musa, żebyś odjechał z nimi.

- Mielibyśmy cię zostawić samego z twoim przyjacielem? - spytała nerwowo Michelle. - Co byś wtedy zrobił? Jak byś się z nim poruszał?

- Jest na to sposób, ale nie ma czasu na wyjaśnienia. Słyszac narastajacy łomot strzałow i eksplozji, Rambo. wyszarpną z pochwy nóz, i pobiegł przez polanę do drzew.

- Ja nie jechać bez ciebie! - krzyknął za nim Musa.

- Ja też! - przyłączyła się do niego Michelle, - Więc przygotuj pułkownika do drogi! - odkrzyknął Rambo. - Nie mówcie tylko potem, że was nie ostrzegałem! Musa, chodź, potrzebuję cię!

## Rozdział 10

Rambo ściał nożem u podstawy pień młodego drzewka o średnicy pięciu centymetrów. Rzucił odcięte drzewko Musie.

- Weź swój nóż i oczyść to drzewko. Obetnij wszystkie gałęzie i czubek. Chcę, żeby miało trzy i pół metra.

Skoczył w las i po chwili szaleńczych poszukiwań znalazł drugie takie samo. Ściał je szybko i rzucił Musie.

- Chcę mieć dwa identyczne drągi-zawołał, a sam zaczął się rozglądać za o połowę cieńszymi gałęziami. Naciąwszy ich dziesięć, szybko je oczyścił i poprzycinał do długości metr dwadzieścia. Potem zebrał je i wrócił do Musy.

Nie czekając na instrukcje, Afgańczyk poukładał gałęzie w poprzek drągów, Rambo zaś pociął linę na półmetrowe kawałki i zaczął przywiązywać poprzeczki do drągów. Musa pomagał bez słowa.

- Poprzeczki muszą być co dwadzieścia centymetrów - wyjaśnił mu tylko Rambo. - Na długość ostrza twojego noża. W ten sposób otrzymamy długie na półtora metra nosze. Zostaw tylko metr dwadzieścia wolnego z jednej strony i pół metra z drugiej.

Musa nie pytał, tylko pracował najszybciej, jak mógł.

John sprawdził wszystkie poprzeczki. Żadna się nie poruszała. Pot spływał mu po czole, więc przewiązał sobie przepaskę nad brwiami.

- Będziemy potrzebowali czegoś miękkiego do podłożenia pułkownikowi pod plecy - powiedział i poszedł znów między drzewa. Naciął kilka obfitych gałęzi cedru, pokrył nimi nosze i zawlókł je na polanę.

Wycie silników wyraźnie się zbliżyło.

- Ta drabina za długi być trochę - rzekł Musa, wskazując na oba końce. - Niewygodny. Ciąć krócej. My ciągle móc nieść twój przyjaciel.

- Gdybyśmy mieli obaj nieść nosze, nie wynieśliśmy się stąd wystarczająco szybko.

- My obaj nie nieść nosze?

- Zgadza się.

- Jak...

Rambo podbiegł do swego konia, odwiązał go i podprowadził do noszy. Potem naciął nożem siodło po obu stronach.

Podniósł nosze i wsunął dłuższe końce w wycięcia w siodle, wyciął jeszcze dwie szczeliny i dopchnął nosze. Końce drągów wysunęły się przez nowe nacięcia, a wtedy Rambo przywiązał oba uchwyty noszy do siodła.

Śmigłowce znowu podeszły wyżej w górę. Klekot ich karabinów nabierał coraz większej siły.

- Musa, idź i wyrzyc na śmigłowce. Policz sekundy od błysków karabinów maszynowych do odgłosu strzałów.

- Ale...

- Nie pytaj! Idź!

Musa odbiegł z rezygnacją, a Rambo pognął do jaskini.

- I jak, Michelle - gotowy?

- Szwy nie krwawią, serce bije słabo, ale równo. Ciśnienie niskie, ale mogłoby być dużo gorzej.

- Dobra. Weź go za nogi.

Złapał pułkownika pod pachy i razem wynieśli go ostrożnie na słońce. Położył go delikatnie na noszach. Ugięły się, ale wytrzymały.

Trautman jęknął.

- Przepraszam, pułkowniku. Nie chciałbym panu przeszkadzać, ale musimy uniknąć pewnych rozgniewanych gości.

Powieki Trautmana drgnęły.

- John?

Tak, to ja. - Rambo przerzucił linę przez pierś pułkownika i przywiązał go do noszy. Rozłożył łuk i pozostałe jeszcze strzały, i włożył je do zamocowanych u pasa pokrowców. Potem wsunął swój karabino-granatnik pod linę na noszach.

- Co ty robisz w Bragg?

- To nie jest Fort Bragg, pułkowniku. To... Niech pan spróbuje się zdrzemnąć.

Odwrócił się na dźwięk kroków Musy.

- Karabin błyskać. Pięć sekund, ja słyszeć strzał.

- Dźwięk leci z szybkością ponad półtora kilometra na sekundę. Są niecałe osiem kilometrów stąd. Poświęcą trochę czasu na to latanie w tę i z powrotem, będą chcieli mieć pewność, że zajrzeli w każdą dziurę. Ale ciągle będą się zbliżać. Ile czasu... - Przerwał mu wybuch gdzieś u podnóża gór.

Pod wpływem gwałtownego przyływu adrenaliny Rambo złapał leżący na ziemi koniec noszy. Z przodu potrzebował metr dwadzieścia wolnej od poprzeczek przestrzeni, żeby nosze mogły swobodnie objąć boki konia. Ale drugi koniec był przeznaczony dla niego, wystarczyło więc pół metra luzu.

Ugiął kolana, zacisnął dłonie na drewnie i podniósł nosze. Mięśnie nóg, pleców, rąk i ramion zadygotały w proteście, ale zdołał się wyprostować. Połączona waga Trautmana i gałęzi, z których zrobił nosze, maltretowała wymęczone palce. Mięśnie bolały. Ściągnął piekły.

- Musa, prowadź konia. Idź tak szybko, jak zdołasz. Michelle, wsiadaj na konia Musy i jedź za nami. Wypieprzajmy stąd wreszcie!

Podążając wzdłuż stoku, po chwili znikali już między drzewami, ścigani wciąż głośniejszym rykiem śmigłowców.

## CZEŚĆ DZIEWIĄTA



## Rozdział 1

Mimo zawiązanej na czole przepaski, oczy Johna zalewał pot. Nosze przesłaniały widok na szlak. Rambo potknął się o niewidoczną przeszkodę i omal nie upuścił noszy. Przestraszony, szybko poprawił chwyt.

Musa obejrzał się na niego ze zmartwionym wyrazem twarzy.

- Prowadź dalej! - zawołał w odpowiedzi na nie wypowiedziane pytanie John.

Jadąca za nim konno Michelle miała bardzo zatroskany głos.

- Musisz być osłabiony po oddaniu krwi. Nie spałeś. Mało jadłeś. Zostałeś ranny w czasie ataku na fortecę. Są granice. Twoje ciało nie wytrzyma już więcej.

- Wytrzyma tyle, ile będzie musiało - warknął Rambo, zaciskając palce na drągach, bo zaczęli się wspinać na bardziej stromy odcinek zalesionego stoku.

- Wykończysz się?

- Nie mam wyboru, do cholery!

Głowa leżącego przed nim, nieprzytomnego Trautmana podskakiwała za każdym szarpnięciem noszy. Rambo skupił się na stabilnym trzymaniu drągów.

- Dlaczego nie zawieszisz tego końca noszy na moim koniu? - spytała Michelle.

- Już jeden koń to za wielkie ryzyko. Co będzie, jeśli poniosą?

- Można je trzymać tak krótko, że nie poniosą.

- I tak nic z tego nie będzie. Gdyby dwa konie niosły nosze, byłoby bardzo trudno skręcać, klucząc między drzewami. Trudno byłoby nimi manewrować. Zamiast pomóc, spowalniałyby nas.

Dotarli na szczyt stoku. Do tej pory szli w kierunku południowym, jak szczep Khalida. Ale tutaj Rambo spostrzegł na gliniastej ziemi ślady wielu końskich kopyt, prowadzące w lewo, na wschód, do pokrytych śniegiem gór. To tu więc Mosaed zszedł ze szlaku Khalida i zaczął prowadzić swych ludzi do Pakistanu.

Taaak, pomyślał Rambo. Pakistan.

Bezpieczeństwo.

Pomoc dla Trautmana, , Ruszał się teraz z większą determinacją, niosąc nosze za koniem, prowadzonym przez Musę po tropach ludzi Mosaeda. Za nimi narastała kanonada strzałów z ciężkiej broni maszynowej.

Ależ muszą być wściekli, pomyślał John. Ale przecież strzelając do wszystkiego, co im się wydaje podejrzane, szybko wyplują się z amunicji!

Ta myśl dała mu trochę nadziei. Szybko jednak opadło go przygnębienie. Wróg może i był wściekły, ale na pewno nie głupi. Skoro zaplanowali sobie takie ostre strzelanie, to zamiast żołnierzy mają zapewne w kabinach pełno amunicji. Żadnych rakiet ani pocisków kierowanych, bo

te podczepia się pod skrzydłami. Ale działka i karabiny można ładować w locie, od wewnątrz. Nagle uświadomił sobie, że wybuchów rakiet i pocisków usłyszał tylko kilka. Stale natomiast grzmiały działka i karabiny maszynowe. Rosjanie oszczędzali więc pociski podskrzydłowe na zweryfikowane cele, a nie pruliby przecież tak gęsto z cekaemów, gdyby nie mieli amunicji w dowolnej ilości.

Kolejna myśl przygnębiła go jeszcze bardziej. Czy to się trzyma kupy, żeby śmigłowce znajdowały tak wiele podejrzanych celów? Nie muszą przecież roznosić w strzępy każdego zdatnego na kryjówkę miejsca.

Chyba...

Strach kazał mu mocniej chwycić końce noszy i przyśpieszyć kroku. .

Chyba że śmigłowce mają zupełnie inny powód do tak gęstego siekania ziemi. Być może strzelają nie dlatego, że widzą jakąkolwiek szansę na trafienie kryjącego się u podnóży gór Afgańczyka, ale po to, żeby wystraszyć ludzi chowających się wyżej w górach?

Rambo przypomniał sobie nagle, w jaki sposób poluje się na bażanty albo króliki. Myśliwy robi dużo hałasu, żeby wystraszyć stado, żeby je pognać naprzód, poza kryjówkę, na otwarty teren.

A my jesteśmy królikami. Robimy to, czego chcą Rosjanie. Uciekamy.

Ale przecież nie mamy wyboru. Nie mogliśmy zostać w jaskini, bo śmigłowce rozwaliby nas tam.

Trzeba iść naprzód. Nie wolno dopuścić, żeby nas zobaczyli ze śmigłowców.

- Musa, szybciej!

Drzewa rosły rzadziej. Nagle stanęli na skraju trawiastej polany. Po drugiej stronie były jeszcze drzewa, ale już tylko pojedyncze. Jeszcze wyżej były skały, a potem już śnieg.

- Musa, nie możemy się pokazywać na polanie! Musimy obejść ją między drzewami!

Zmordowany i obolały, zmusił się do zwiększenia tempa marszu. Jezu, pomyślał, niedługo będziemy zupełnie odkryci?

Nagle straszna myśl pozbawiła go tchu. Przypomniał sobie inną odmianę polowania na króliki - jeden myśliwy hałasuje i nagania stado, a inny czeka na drugim końcu łowiska. Czyżby to była właśnie-taka sytuacja? Nie uciekamy od myśliwych, ale się do nich zbliżamy?

## Rozdział 2

Pułkownik Zajsan stał pomiędzy transporterem opancerzonym a kamienną ścianą wąwozu. Niechętnie opuszczał ochronny pancerz wozu, ale pracujące przy wyłączonym silniku chłodzenie wyczerpałoby akumulatory. Kiedy więc powietrze wewnątrz zataęchło, a słońce nagrzało stalową skorupę pojazdu, ostatecznie wybrał wygodę ponad bezpieczeństwo. Ale dla pewności nie ryzykował zbyt wiele. Stojąc w tym miejscu, między pancerzem a skałami, nie mógł zostać trafiony przez snajpera. Ale jeszcze nigdy nie był tak blisko walki, więc czuł się zdenerwowany.

Nie pozwolił jednak, żeby inni to zauważyli. A zwłaszcza ten tchórz, Azow, stojący nieopodal z nabzdyczoną miną, albo Kurow, czekający na rozkazy w pozycji na baczność. Oficer dowodzący musi dawać dobry przykład.

Muszę wyglądać na pewnego siebie twardziela, pomyślał pułkownik. Opanowanego. Zresztą, niewielkie ryzyko nie ma znaczenia. Jak właściwie wszystko inne, byle tylko wyrwać się z tego kraju.

Pod osłoną burzy kolumna pancerna wyjechała z fortecy, przekroczyła przełęcz i dotarła do tej doliny u południowych podnóży wschodniego pasma gór. Około południa wiatr ucichł. Kurz opadł. Śnieżne czapy na szczytach gór załśniły w promieniach słońca.

O trzeciej po południu przypuściły atak śmigłowce. Stojąc bezpiecznie na stanowisku, Zajsan z uśmiechem wsłuchiwał się w odległe echo ryku silników i kanonady. Tak bezlitośnie prowadzona operacja powietrzna z pewnością wpędzi rebeliantów w panikę. Nie będą mieli innego wyjścia, niż opuścić obóz i uciekać w popłochu. tam, gdzie ich zdaniem znajdą schronienie.

Pułkownik szeroko uśmiechnął się do swych myśli, Jeśli rebelianci będą uciekać w tym kierunku, jego obserwatorzy na posterunkach u podnóża gór zauważą ich i powiadomią go. Wówczas rozkaże śmigłowcom lecieć za nimi i nagonić ich do tej doliny. A kiedy wejdą na odkryty teren, jego przyczajona kolumna pancerna rozniesie ich na strzępy. Żadnych jeńców. Wszyscy rebelianci mają umrzeć. jeśli rebelianci wybiorą ucieczkę w drugą stronę, na północ, będzie na nich czekała inna kolumna pancerna. Na północy również są obserwatorzy. Afgańczycy zostaną zapędzeni przez śmigłowce pod lufy tamtej kolumny i zniszczeni.

Oczywiście, myślał Zajsan, lepiej by było, gdyby to moja kolumna miała honor zabijać; Ale tak czy inaczej wierchuszka będzie pod wrażeniem mojego planu niezależnie od tego, która kolumna wbije gwóźdź do trumny, Niemniej miał nadzieję, że będzie mógł uniknąć tego honoru. Bądź co bądź jako dowódca tej kolumny musiałby w konsekwencji poprowadzić bitwę, a co najmniej być blisko niej, a tego doświadczenia wolał nie zdobywać. Ale cóż, dowódca musi robić to, czego wymagają obowiązki.

Południe czy północ? Na dwoje babka wróżyła.

Czy są jakieś alternatywy? Nie mogą uciekać na zachód, bo stamtąd atakują śmigłowce. A to pozostawia tylko jedną możliwość - na wschód, do Pakistanu. Ale tutejsi rebelianci wyjątkowo uparcie chcą uczestniczyć w wojnie. Pakistan oznaczałby dla nich odwrót, a wydaje się, że oni wolą zostać męczennikami niż uciekinierami.

Oczywiście, nie można nie brać i tej możliwości pod uwagę. Gdyby rzeczywiście uciekli na wschód, zastawienie na nich pułapki byłoby znacznie trudniejsze. Doliny w tamtym rejonie biegną w kierunku wschód-zachód, a góry nie pozwalają na wjazd pojazdami pancernymi do przełęczy, którymi rebelianci próbowaliby uciekać.

I tu właśnie zaznaczała się przewaga, jaką dawały te ogromne śmigłowce. I genialnie zaprojektowane, radzieckie transportery opancerzone; Wyglądają topornie, ale ważą tylko osiem ton. Są wystarczająco lekkie, żeby helikoptery zdołały je przenieść ponad górami do owych wschodnich dolin i zablokować drogę rebeliantom, gdyby niespodziewanie postanowili jednak uciec od walki.

Tak jak ten tchórz, major Azow, On na pewno wybrałby ucieczkę.

Zajsan zbliżył się do niego.

- Coście tacy pochmurni, towarzyszu majorze? Wkrótce przecież rozniesiemy wroga.

- Wroga, towarzyszu pułkowniku? Czyjego?

- Ojczyzny, oczywiście.

- Ależ Afgańczycy nie napadli naszej ojczyzny!

- Oczywiście, że nie. Są prymitywni- Jesteśmy największą potęgą świata. Nie są tak głupi, żeby napadać na Rosję!

- To dlaczego my ich najechaliśmy?

- Wiecie to równie dobrze, jak ja. Afganistan leży obok Iranu. I jego pól naftowych. A tego chce nasza ojczyzna.

- I po to zabijamy milion ludzi?

- To niewysoka cena.

- Chyba że się jest Afgańczykiem.

- Ale wy, majorze, jesteście oficerem Czerwonej Armii - przypomniał mu gniewnie pułkownik Zajsan, po czym odwrócił się do Kurowa. - Wkrótce będziecie mogli zabić jeszcze więcej wrogów, sierżancie.

- Tak jest, towarzyszu pułkowniku! - Potężny łysy żołnierz wyprostował się jeszcze bardziej; - Nie mogę się już doczekać, żeby ruszyć z wami do boju!

Na cienkich wargach sierżanta zatańczył cień uśmiechu. Ale ten cień uśmiechu oznaczał...  
Bezczelność?

Niemożliwe! Sierżant był wzorem szacunku i posłuszeństwa. Jeśli rzeczywiście miał zamiar kogoś znieważać, to z pewnością Azowa.

Zajsan odwrócił się, słysząc głos oficera łączności.

- Towarzyszu pułkowniku - zawołał radiowiec z otwartego włazu czołgu. - Załogi śmigłowców proszą o zezwolenie na rozpoczęcie procedur uzupełniających. - Udziałam!

Aby plan Zajsana zadziałał, śmigłowce musiały atakować nieprzerwanie. Ale kiedyś w końcu wyczerpie im się paliwo. Żeby nie osłabiać siły nalotów, Zajsan zdecydował się na system uzupełniania zapasów, w którym jedna trzecia maszyn leci do bazy po paliwo i amunicję. Kiedy wracają do boju, następna trzecia część odlatuje do bazy i tak dalej. Taka metoda gwarantowała Zajsanowi, że zawsze będzie miał w natarciu większość helikopterów.

Taak, powtarzał sobie, pomyślałem o wszystkim. Teraz to tylko kwestia czasu.

### Rozdział 3

Rambo znów się potknął. Straciwszy równowagę i bojąc się upuścić Trautmana, opadł na kolana. Wyrznął tak mocno, że zaboląły go zęby.

- Musisz odpocząć - powiedziała Michelle.

- Jak się ściemni - odparł chrapliwie. Obliznął spękane usta i obejrzał się za siebie na zachodzące słońce. Było już prawie poza zachodnim masywem gór i zdawało się pękać, nabrzmiałe od krwi. Czując tępy ból w rękach, Rambo powoli podniósł jedno kolano, potem drugie i z wysiłkiem się wyprostował. Ściągając barków, łokci i nadgarstków wydawały się pękać z przeciążenia.

A poniżej, u podstawy gór, wciąż wyły turbiny.

- Idziemy!

Zwalczył słabość i szedł uparcie pod górę. Drzewa rosły już sporadycznie, a warstwa gleby była coraz cieńsza. Kiedy osiągnęli szczyt wzniesienia, polecił swoim towarzyszom trzymać się pod osłoną skał w trakcie przekraczania grani. Zerknąwszy szybko przez ramię, dostrzegł plamki śmigłowców rozsiane po całym podgórzu.

Ptaki śmierci dokładnie wykonywały swoją pracę, niepowstrzymanie podchodziły coraz wyżej, siejąc pociskami po wszystkich nieckach, dolinkach i kępkach drzew. Promienie zachodzącego słońca lśniły w ich wirujących rotorach. Poblask zanikał stopniowo, w miarę jak słońce chowało się za górami. Jeden z helikopterów odpalił rakietę, która z głośnym świstem wbiła się pomiędzy drzewa. Błysk i kula ognia uniosły się ponad pułap maszyny.

Z tej odległości Rambo nie był zupełnie pewny, ale wydawało mu się, że ta rakietka właśnie zniszczyła miejsce niedawnego obozowiska i jaskinię. Wspaniale wyglądające w zapadającym zmierzchu płomienie tryskały nad czubkami drzew. Słońce zaszło. W jego zanikającym blasku John ujrzał jeszcze, jak spod brzucha śmigłowca opada żółta chmura. Rozprzestrzeniła się szybko. Trucizna.

Wypełniające Johna obrzydzenie wzbogaciło się jeszcze o gniew. Jasne, pomyślał gorzko, równie dobrze można użyć całego arsenału.

Zmrok szybko gęstniał. Podnóże gór płonęło. Flary strzelały jak sztuczne ognie. Z dziobów śmigłowców świeciły szperacze, metodycznie przeszukując pogrążony w mroku teren.

- Ty teraz odpoczywać? - spytał Musa.

- Jeszcze nie - odrzekł Rambo, nie mogąc oderwać wzroku od szperaczy. Jeszcze jeden stok.

Michelle mruknęła coś ze złością.

- Co?

- Mówię, że się wykończysz.

- Skoro trzeba...

Kiedy dotarł do szerokiej skalnej półki, w panującym zmroku Rambo nie dostrzegł już ani jednego drzewa. Wokół były tylko głazy Potknął się znowu i musiał stanąć.

Drżącymi rękami postawił na ziemi końce noszy. Kiedy spróbował się wyprostować, nie znalazł już sił i po prostu przewrócił się do tyłu, jęcząc z bólu.

Michelle zeskoczyła z konia i uklękła obok niego.

- Nie mnie! Zajmij się pułkownikiem! - wychrypiał Rambo.

- Ale...

- Do cholery, zajmij się pułkownikiem!

- Ty uparty, tępy... - Złapała torbę lekarską i pochyliła się nad Trautmanem.

Rambo leżał w ciemnościach, napawał się głębokimi łykami powietrza i koncentrował się na rozluźnianiu mięśni. Powoli usiadł i zaczął dygotać.

Michelle znów przy nim uklękła.

- Jest ciągle nieprzytomny. Oddech regularny, spokojny. Ale tętno słabsze.

- Czy to już wszystko?

- Chyba znów zaczął krwawić.

- Cholera!

- Ma gorączkę. Musimy mu podać trochę wody. Rambo niepewnie podniósł się na nogi i podszedł do

Trautmana.

Musa otworzył manierkę i pochylił ją do ust pułkownika.

Nawet mimo ciemności widać było, że większość wody spłynęła na szyję.

- No, dalej! Pułkowniku, musi pan wypić!

Musa jeszcze raz pochylił manierkę do ust Trautmana. Znowu woda spłynęła na szyję.

- Pułkowniku! Proszę się obudzić! Trautman nie reagował.

- Obudź się!

Ranny jęknął i ociężale unióśł dłoń. Ale opadła natychmiast na posłanie.

- Słyszysz mnie pan, pułkowniku? Musi pan wypić!

- Jak... - wyszeptał Trautman tak cicho, że ledwie się zorientowali, iż coś chce powiedzieć. - ..sobie życzysz, John.

Zdołał przełknąć.

- Dobrze. Jeszcze trochę! Pułkownik znów przełknął łyk wody.

- Śniło mi się... - szepnął.

- Tak, pułkowniku?
- Że jestem z tobą w Bragg.
- Ale nie jesteśmy w Fort Bragg.
- Kiedy cię pierwszy raz spotkałem...
- Kiedy zaczął mnie pan szkolić? Pamiętam.
- To chyba nie było dla ciebie najlepsze...
- No, dawał mi pan w dupę, pułkowniku.
- Nie to mam na myśli. Ja... - Zakaszłał. - Ja zrobiłem z ciebie to, czym jesteś. To nie było dla ciebie najlepsze...

Rambo poczuł ściskanie w piersiach.

- Nie, na pewno nie - wyszeptał ranny
- Niech pan nie gada. Musi pan odpoczywać.
- Przepraszam, John. Obręcz na piersi się zacisnęła.

Michelle zwilżyła wodą chusteczkę, przetarła Trautmanowi twarz i położyła chłodny materiał na jego czole.

- Konie potrzebować woda i obrok - powiedział Musa.
- A ty potrzebujesz snu - dodała Michelle, patrząc na Johna.
- Później.

Teraz. - Michelle sapnęła, badając jego dłonie. Masz ręce w strasznym stanie. Zdezynfekuję je i zabandażuję. Napij się teraz i zjedz coś, - Chyba nie zdołam nic przełknąć.

- Na miłość boską, rób, co ci każę!

Rambo bez dalszych oporów napił się wody z manierki i zaczął przeżuwać kęs twardego, suchego chleba.

Błądzące w ciemnościach pod nimi szperacze budziły grozę. Wydawało się, że świecą znikąd i giną w nicości. Równie abstrakcyjne były iskierki wystrzałów z karabinów maszynowych.

Rambo przeniósł wzrok na jarzące się w mroku śnieżne czapy szczytów.

- Musa, ile nam zajmie dojście do nich?
- Jutro. Trudna. Allah Chcieć, my być w tamta druga dolina w wieczór.
- Wieczorem? Więc chcesz wyruszyć o świcie?
- Musieć widzieć niebezpieczeństwo.
- Z tymi helikopterami na karku?! Idziemy zaraz!
- Przecież ty musisz się przespać! - powiedziała błagalnie Michelle. - Bo zemdlejesz!
- Jeżeli damy tym śmigłowcom czas na dotarcie do nas, nie będę już potrzebował snu. Będę martwy. I wy też. Zbieramy się!



Jeszcze raz rzucił okiem na odległe szczyty. Ludzie Mosaeda szli szybciej, więc pewnie już dochodzą do tych gór. I też nie będą raczej odpoczywać. Ale co z Rahimem i Khalidem? Czy zdołali uniknąć spotkania ze śmigłowcami, idąc na północ i na południe?

## Rozdział 4

Khalid przemykał bezszelestnie przez mrok nocy. Przeszedł obok niewidocznych drzew i zaczął się zsuwać po stromiźnie. Jego ludzie pozostali w ukryciu, w lesistej przesiece, do której dotarli wkrótce po zmroku. Z zachodu dochodził do niego odległy łomot silników śmigłowców. Zerknął tam i dostrzegł jaskrawe punkty ich szperaczy. Co chwila do ziemi pędziły smugi pocisków, rozjarzały się flary. Kilka minut wcześniej zauważył, że część szperaczy zgasła, a na ich miejscu pojawiły się inne.

Odlatują uzupełnić paliwo, pomyślał i znów podjął zwiad.

Tak wielka liczba śmigłowców przerażała. Ale może właśnie o to chodziło? Wystraszyć. Rosjanie jeszcze nigdy nie zorganizowali tak zmasowanego ataku. Biorąc pod uwagę determinację ich nalotu, logicznie należało założyć, że jedynym rozwiązaniem jest odwrót na jedną z ich flank i usunięcie się sprzed ich szaleńczych poszukiwań. Ale czy Rosjanie nie przewidzieliby takiej możliwości? Czy przypadkiem po lewej i prawej stronie od kierunku ich ataku nie ma pułapek?

To było bardzo prawdopodobne.

Khalid modlił się do Allaha. Jego ludzie potrzebowali bezpiecznego schronienia. Ale gdyby nie podjął odpowiednich kroków, gdyby nie sprawdził leżącego przed nimi terenu, byłby złym przywódcą. A Khalid wiedział, Co to znaczy być przywódcą.

Ten Amerykanin, który uratował jego córkę. Khalid wciąż czuł ponizające wyrzuty sumienia w związku z tym, że go opuścił. Amerykanin mógł wprawdzie pójść z nimi, ale odmówił, bo chciał się zatroszczyć o swojego przyjaciela, Khalid szanował przyjaźń, ale miał obowiązki wobec swojego plemienia. Z konieczności Amerykanin spadał na drugie miejsce.

Nie myśl o tym obcym! Uważaj na to, co robisz!

Khalid prześlizgnął się obok skrytego w mroku drzewa, stanął na szczycie urwiska i wbił wzrok w ciemność poniżej.

Gwiazdy na niebie to klejnoty Allaha. Ciemność to dzieło szatana. Ale wkrótce wszędzie boski diament, księżyc. Dopóki jednak nie rozświetli czerni nocy, Khalid pozostanie na tym urwisku i odpocznie. Póki co, obowiązki wobec jego ludzi zostały wypełnione.

Ale nagły dźwięk spowodował skurcz żołądka. Taki dźwięk mógł pochodzić od kamyczka, który zbyt długo trzymał się na krawędzi skały i w końcu spadł.

Albo od gałęzi, która opierała się o inną gałąź, już uschniętą. Uschnięty konar mógł właśnie teraz poddać się naporowi żywego.

Ale mógł też być spowodowany otarciem lufy karabinu o gałąź. Albo manierki.

Albo...

Albo ktoś pstryknął przełącznikiem radiowego aparatu nadawczo-odbiorczego.

Khalid wytężył zmysły. Wzrok, smak, dotyk i węch z całych sił wspomagały słuch.

Mimo chłodu był spocony.

I nasłuchiwał.

Tak! Znów ten sam dźwięk!

Szurnięcie o metal!

A teraz szept!

Niezrozumiały! Bo po rosyjsku!

W ciszy nocy, a właściwie przez tę ciszę, ten szept uderzył go jak pięścią. Powiedział mu...

Rosjanie rozstawili czujki. Spodziewali się, że uciekniemy przed śmigłowcami od zachodu na północ i południe, ale nie na wschód, bo to by oznaczało poddanie się.

A tam, poniżej, jest pułapka.

Musi natychmiast odczołgać się od tego urwiska, wrócić do swych ludzi i poprowadzić ich w jedynym pozostającym kierunku, do Pakistanu.

Ale czy Rosjanie również tam nie zastawili pułapki?

Czy naprawdę uznali, że skoro mój szczep nigdy jeszcze nie uciekał w tamtą stronę, to i teraz tam nie pójdziemy? Najciszej i najszybciej jak mógł, podczołgał się za niewidoczne głązy na zboczu. I wtedy nagle je zobaczył. Boski diament, księżyc, zaczął wschodzić. Z błogosławieństwem Allaha, poprowadzi go z powrotem.

## Rozdział 5

Podobnie jak słońce, księżyc wydał się Rambo ogromny. Kryształowa czystość nieba w połączeniu z typową dla tej szerokości geograficznej refrakcją światła powiększała optycznie rozmiary księżyca i sprawiała wrażenie, że zbliża się on do ziemi. Jego poświata zalała wszystko srebrem.

Skały, które mijali, były chorobliwie Małe. Idący powyżej Johna Musa i niosący przednią część noszy koń wyglądali jak duchy. Trautman, choć żywy, był blady jak trup. Obejrząwszy się, Rambo zobaczył dwa upiory - to Michelle prowadziła za uzdę wierzchowca. Poniżej dziko migotały jaskrawe szperacze ptaków śmierci.

Rambo przesunął nieco drążki w pokrytych pęcherzami dłoniach i skupił się na wspinaczce. Mimo że noc była zimna, spływał potem. Nieruchome powietrze zwielokrotniało każde zgrzytnięcie podeszwy o kamienie. Wyrwane końskimi kopytami głązy staczały się z denerwująco głośnym klekotem.

Weszli wyżej i przekroczyli linię drzew. Wysokość utrudniała oddychanie. Pierś unosiła się jak miechy w kuźni w Bangkoku, ale płucom to nie wystarczało. Rambo miał zawroty głowy i mdłości.

- Trzydzieści minut - odezwała się spoza niego Michelle.

Skinął głową. Umówili się, że co pół godziny będą poić Trautmana. Choć Rambo nigdy nie zgodziłby się na postój dla odpoczynku, to jednak pozwalał na wszystko, żeby pomóc pułkownikowi. Opuścił drążki i zaczął masować obolałe ramiona. Musa pochylił manierkę do ust Trautmana. Woda spłynęła po policzku rannego, ale grdyka się poruszyła. Pułkownik przełknął wodę.

- Teraz ty się napij - poleciała Michelle.

- Nie chce mi się pić - odparł uparcie Rambo, czując mdłości.

- Pij!

Kiedy odsunął już manierkę od twarzy, Michelle podała mu kromkę chleba. Przeżuważając gliniasty miąższ miał nadzieję, że żołądek wytrzyma te katusze. Schylił się, podniósł nosze i przełamując protesty mięśni i ścięgien, ruszył.

Doszli do linii śniegu. Zrobiło się tak zimno, że Michelle otuliła Trautmana kocem. Drugi koc owinęła wokół Rambo, Potem podała koc Musie i sama też się przykryła! Szli dalej. Mroźne powietrze szczypało Johna w twarz i dłonie. Z ust buchały mu kłęby pary. Śnieg był suchy i twardy. Ale kiedy jego but przebił twardą pokrywe, sypki puch pod spodem z piskiem objął jego kostki. Łydki. Kolana. Rambo starał się stąpać po śladach zostawianych przez konia Musy.

Nagle zobaczył przed sobą szeroką nieckę w śniegu, ciągnącą się z lewej od dołu do prawej w górę. Z początku nie rozumiał jej pochodzenia, ale kiedy wszedł do niej, zrozumiał. Jeszcze zanim dostrzegł w świetle księżyca odciski kopyt wiedział, że przeszli tędy ludzie Mosaeda. Posuwając się z większą szybkością, musieli być już daleko, zapewne minęli już szczyty i schodzili w dół po drugiej stronie.

Niech was Bóg prowadzi, pomyślał Rambo.

Ale dobiegający z tyłu ryk turbin uświadomił mu jeszcze coś. Szlak Mosaeda jest bardzo pomocny, ale stanowi też niebezpieczeństwo. Kiedy już śmigłowce osiągną tę wysokość, nie mogą nie zauważyć traktu. I natychmiast polecą jego tropem w nadziei, że dopadną ludzi, którzy tędy przechodzili.

John popatrzył w górę. Poświata księżyca oświetlała dwa szczyty, połączone ze sobą ośnieżoną przełęczą.

- Musa, czy dojdziemy tamtędy? - spytał, wskazując naprzelęcz.

- Tak, ale trudno. Łatwiejszy droga tam, prawo. Na przełęcz, gdzie szlak.

- Nie możemy zostać na tym szlaku. Za nim polecą śmigłowce.

- Oni widzieć też mniejsza ślad my robić.

- Uznają szerszy trop za ważniejszy - odrzekł Rambo. - I na nim skoncentrują wszystkie siły. Poza tym, wolę mieć na karku jeden śmigłowiec niż dwadzieścia.

Musa zerknął tęsknie na wydeptany śnieg i ustąpił. Sprowadził konia ze szlaku, dysząc z wysiłku. Znow zapadali się w kopny, głęboki śnieg. Rambo walczył ze swym ciałem i mimo bólu zdołał utrzymywać nosze ponad zimnym puchem. Szli.

## Rozdział 6

Żołnierz trząsał się z zimna. Drżał mimowolnie, chociaż był zakutany w wełnianą czapę, rękawice i szynel. Gdyby można było wypić coś gorącego lub choćby przejść się parę kroków i przywrócić krążenie, ta służba dałaby się znieść. Ale niestety + leżał skulony na skalnej półce w pół drogi do szczytu góry i mógł tylko podgryzać zimne żelazne racje żywnościowe. I cierpiał z zimna.

Zazdrościł drugiemu żołnierzowi, który za jego plecami drzemał, zakopany głęboko w śpiworze. Jeszcze godzina, pomyślał obserwator. Wtedy ja będę spał, a ty sobie będziesz odmrażał dupę.

Byli tu od zeszłego popołudnia, kiedy to zostali opuszczeni przez śmigłowiec. Obejrzeliby sobie zaśnieżone szczyty i wybrali tę półczkę. Była dobrze osłonięta od wiatru i dawała dobry widok na ewentualną drogę ucieczki rebeliantów.

Tuż po zachodzie słońca stwierdzili, że ich termowizyjna lornetka jest uszkodzona i nie działa w tak niskiej temperaturze. Przez jej wizjery widać było tylko zielonkawą poświatę, a soczewki pokrywały się szronem. W pewnej chwili, kiedy obserwator usiłował naprawić przyrząd, skóra pod jego brwiami przymarzła do okularu, którego ogrzewanie nie działało, i kiedy żołnierz chciał odłożyć lornetkę, oderwał ją wraz ze skórą. Ból był koszmarny.

A lornetka bezużyteczna.

Z nadzieją na złuzowanie z tego posterunku, wywołali przez radio swojego dowódcę i poinformowali go o awarii lornetki. Powiedzieli, że bez niej nawet przy tak pięknym księżycu niewiele zobaczą.

“Pozostać na posterunku” - brzmiała odpowiedź.

Trząsał się więc i wpatrywał w siodłową nieckę poniżej, nie mogąc się doczekać momentu, kiedy obudzi kolegę i samemu wśliznie się do śpiwora.

Długo trwało, zanim sobie uświadomił, że niedaleko, w dole, widzi jakiś ruch.

W podnieceniu napiął mięśnie.

Człowiek. Koń. Nosze. Ktoś na noszach. Drugi człowiek, trzymający nosze. Jeszcze ktoś. Drugi koń.

Chwycił radio, by powiadomić przełożonego, ale powstrzymał się. Nawet gdybym przekazał informację szeptem, wróg może usłyszeć mój głos. I stracę przewagę zaskoczenia.

Trzech ludzi i czwarty, ranny. To nie ta wielka grupa rebeliantów, na jaką liczyli przełożeni.

Ale zawsze to Jakiś cel.

Odchylił pokrywę śpiwora i położył dłoń w rękawicy na ustach kolegi.

Drugi obserwator z przestachem otworzył oczy.

Pierwszy gestem nakazał mu milczenie i wskazał na przełęcz poniżej.

Razem patrzyli na przedzierające się przez śnieg figurki.

Pierwszy sięgnął po karabin.

## Rozdział 7

Najgorsze już prawie za nami, pomyślał Rambo. I całe szczęście, bo nie wiedział, jak długo jeszcze zdoła iść.

Dla Trautmana?

Wiecznie.

Z wysiłkiem utrzymując nosze ponad śniegiem, człapał dalej. Wkrótce miniemy tę przełęcz. Śnieg sprowadzi nas w dół, do skał i drzew. Do kolejnej doliny. I będzie cieplej.

Iść, iść, iść naprzód.

- Musa, jak myślisz, kiedy doj...

Musa odwrócił głowę w jego stronę i upadł.

Rambo pomyślał, że Afgańczyk stracił równowagę.

Ale w tej samej chwili do jego uszu doszedł dźwięk serii z broni automatycznej. Strzelano z połowy stoku po prawej stronie.

Rambo puścił nosze. Trautman jęknął rozdzierająco.

- Uciekaj, Michelle!

Złapał swój karabin z noszy obok Trautmana.

Michelle biegła, wlokąc za sobą konia.

Odezwał się drugi karabin. Rambo odbiegł od noszy, licząc, że odciągnie uwagę snajperów od Trautmana. Wiedział, że dopóki strzelają seriami, ma jakieś szansę. Odrzut broni maszynowej podrywa lufę do góry i utrudnia celowanie. Pociski przelatywały ponad jego głową. Ale jeśli strzelcy przełączą broń na ogień pojedynczy, jeśli przyłożą się do każdego strzału...

Rambo przyklęknął i unióś karabin do ramienia. Śnieg wzbijał się wokół.

Wycelował.

Koń, który niósł przednią część noszy Trautmana, przestraszył się i poniósł.

Rambo nacisnął spust. Ale nie strzelał kulami. Odpalił granat, który wybuchł w połowie wysokości zbocza. Eksplodujące w ciemności jaskrawe płomienie oślepiły go. Mimo że błyski z luf stanowiły świetny cel, w pośpiechu źle wymierzył. Chciał jak najszybciej odpowiedzieć ogniem, zaskoczyć snajperów. I rzeczywiście, przestali strzelać, ale Rambo nie był w stanie stwierdzić, czy to bliski wybuch granatu przydusił ich do ziemi, czy może wystrzelali już naboje i zmieniają magazynki.

W każdym razie nie sądził, żeby udało mu się ich zabić.

Koń wlokący nosze wciąż biegł na oślep.



Rambo przeładował granatnik i wycelował w skalną półkę. Karabiny znów zagrzecotały. Wystrzelił. Granat eksplodował tuż obok błysków z luf. Ze szczytu góry posypało się trochę luźnego śniegu.

Rambo nagle pojął. Skoczył w prawo, w nadziei, że odciągnie uwagę snajperów, przetoczył się, poderwał na jedno kolano, przeładował granatnik i odpalił trzeci pocisk.

Ale tym razem nie strzelał do błysków. Granat poszybował wysoko, do najwyższej zwisającego jezora śniegu.

Nie czekając na wynik. Rambo poderwał się i pognął z największą szybkością, na jaką było stać jego umęczone ciało.

Daleko w górze widział, jak Michelle, która dotarła do końca przełęczy, rozkłada szeroko ręce i usiłuje powstrzymać bieg przerażonego konia, wciąż wlokącego nieprzytomnego pułkownika. Rozszalałe zwierzę skręciło gwałtownie. Michelle rzuciła się do jego wodzy, ale koń wpadł na nią. Odrzucona uderzeniem, zwinęła się w locie i upadła.

Granat eksplodował. Góra zadrżała. Oderwał się od niej ogromny kawał śniegu i stoczył się do niższego nawisu. Skruszył go, porwał ze sobą i teraz już połączoną masą opadały w dół.

Biegając jak szalencie, Rambo dostrzegł, że koń z Trautmanem znika na drugim końcu przełęczy.

Trautman!

Nie wiedział, czy krzyknął naprawdę, czy tylko w duszy, ale i tak nie zdołałby usłyszeć własnego wrzasku. Grzmot spadającego śniegu zagłuszył wszystkie inne dźwięki.

Dotarł do Musy. Afgańczyk usiłował wstać, na śniegu wokół niego rozszerzała się ciemna plama.

Rambo złapał go pod pachy i powłókł za sobą. Widząc nadciągający nieuchronnie zwał śniegu, usiłował wywlec Musę na koniec przełęczy.

Kiedy wybuchł trzeci granat, snajperzy przestali strzelać. Przełęcz nie gotowała się już od pocisków. Strzelcy musieli dostrzec nadciągającą śmierć.

Ciągnąc za sobą Musę, Rambo wyobrażał sobie niesłyszalne wrzaski przerażenia i agonii. Lawina z rykiem żywiołu przewaliła się przez skalną półeczkę, z której nadszedł atak. Potężne zwały śniegu przeszły jak fala po kamieniach i skale, zgniatając granit i miażdżąc snajperów. I szły niepowstrzymanie dalej.

Rambo usiłował jak najszybciej odciągnąć Musę w bezpieczne miejsce.

Zbyt wolno! Potworna, rozpędzona masa opadła na przełęcz z niewyobrażalną siłą. Niosący kłęby puchu podmuch sięgnął śniegu na szczytach, a tu, na dole uderzył w pierś Johna i zwalił go z nóg. Siła uderzenia była tak ogromna, że Rambo pożegnał się już z życiem.

Ale za wcześnie. Kiedy huk lawiny był już tylko dzwonieniem w uszach, John odgarnął zakrywający mu twarz i usta śnieg, wczepił się w Musę, przedzierał się w górę, dowolności...

I tym razem, kiedy wrzasnął, był już pewny, że nie krzyczy tylko w myślach.

Koń, który poniósł.

Nosze, , Trautman!

Przeżywał nagle straszliwe deja vu. Przez jedną koszmarną chwilę znów był na pustyni, kiedy czarny wiatr pochował ich pod piachem. Usta i nozdrza paliły, odgarniał szaleńczo piach z twarzy. Odetchnąć, odkopać Musę...

Ale nie przedzierał się przez piasek. To był śnieg. Żar piasku pustyni zmienił się w odrętwiające zimno przełęcz. Wracając gwałtownie do rzeczywistości, Rambo wyszarpnął głowę spod śniegu, odetchnął dziko, złapał ramiona Musy i wywłókł go z zasy. Łapczywie, wielkimi haustami połykał powietrze i ciągnął, szarpał, ciągnął. Zobaczył wypływającą z lewego uda Musy krew i szarpnął mocniej.

Chciał zatrzymać się, odetchnąć, odpocząć, ale bał się następnej lawiny. Muszę go zaciągnąć na koniec przełęcz. Muszę.

Wreszcie opadł na śnieg obok Afgańczyka.

Ten coś wymamrotał.

- Co mówisz? - spytał John. Pochylił się nad rannym i tym razem doleciał do niego szept Musy. - Tak, masz rację. Byliśmy blisko raj.

Michelle niepewnie człapała w ich kierunku.

- Nic ci nie jest? - spytał ją z lękiem w głosie. Wskazała na swoją prawą rękę.

- Koń mnie, potrącił.

- I co?

- Chyba mam złamaną rękę.

Rambo skulił się, przybity wiadomością. Ciężar na jego plecach stawał się nie do zniesienia.

Ale nie mógł sobie pozwolić na rozpacz. Miał zbyt wiele do roboty.

Nerwowymi ruchami oderwał pas materiału od koca, którym był owinięty, i opasał nim udo Afgańczyka. Zerwał Musie z pasa pochwę noża, wsunął ją pod materiał opaski uciskowej i przekręcił, blokując ją w tej pozycji. Westchnął z ulgą, widząc, że krwawienie ustało.

Trautman.

- Zaraz wrócę.

Kiedy wstawał, zachwiał się. Tak bardzo zakręciło mu się w głowie, że omal nie zwymiotował. Ale po chwili błędnie mu się uspokoił, a wówczas pobiegł w stronę zbroczy

prowadzącego w dół od przełęczy, za tropem spłoszonego konia. Lęk skręcał mu wnętrzności. Czy koń spadł z urwiska, ciągnąc za sobą Trautmana? Czy...

Znalazł nosze pięćdziesiąt metrów poniżej przełęczy. Ich drążki wyślizgnęły się z siodła. Konia nigdzie nie było widać.

Nosze przekreśliły się przy upadku. Trautman leżał pod nimi, twarzą w śniegu.

Ze zwierzęcym rykiem Rambo dopadł noszy i odwrócił je. Lina, którą Trautman był do nich przywiązany, wytrzymała. Piers i twarz pułkownika pokryte były śniegiem. Ale śnieg na jego prawym ramieniu był różowy. Trautman znów krwawił!

Sklejone śniegiem powieki pułkownika zadrżały.

Szaleńczymi ruchami Rambo oczyścił mu twarz, odykając usta i nozdrza.

- Pułkowniku? Walcz! Żyj! Zabiorę cię na dół,, do ciepła!

Pobiegł z powrotem, w górę zalanego poświatą księżycą stoku. Po lewej dojrzał jakiś cień. Koń. Koń Michelle. Rambo zatrzymał się i powolnym, spokojnym krokiem podszedł do przestraszonego zwierzęcia. Złapał jego wodze i poprowadził konia na przełęcz, Na górze wykrzywiona z bólu Michelle tuliła do piersi zranioną rękę.

- Musa, jesteś w stanie jechać konno? - spytał Rambo.

- Ja zrobić, co musieć - odparł Afgańczyk przez zaciśnięte zęby:

Oderwawszy jeszcze jeden kawałek koca, Rambo zrobił temblak, delikatnie obwiązał rękę Michelle i zawiesił jej temblak na szyi. Drżała, dopóki ręka nie zawisała bezpiecznie przy piersi.

- Możesz iść? - spytał ją.

- Słyszałeś, co powiedział Musa. Zrobię, co muszę.

Rambo pocałował ją w policzek.

Podszedł do konia i wyciął w siodle uchwyty na nosze. Kazał Michelle przytrzymać uzdę wierzchowca, wsunął nosze w otwory i znów przywiązał je do siodła.

Pomógł Afgańczykowi wsiąść na konia. Musa zawył z bólu, kiedy trącił siodło rannym udem. Przez chwilę wydawało się, że zemdleje.

Ale z determinacją opanował się i syknął:

- Iść.

Michelle prowadziła konia. Rambo niósł koniec noszy. Idąc w dół, wpatrywał się w krwawiące ramię Trautmana, Widział jak przez mgłę. Z początku sądził, że to z osłabienia, ale nagle zorientował się, że płacze.

## Rozdział 8

Pułkownik Zajsan obudził się, oślepiony blaskiem latarki. Jego ramieniem potrząsała czyjaś dłoń.

- Co się stało? - spytał, natychmiast rozbudzony.

- Kazaliście się obudzić, kiedy obserwatorzy zauważą jakąś aktywność, towarzyszu pułkowniku!

Zajsan poderwał się. Spał w przedziale desantowym transportera opancerzonego.

- Dostrzeżono rebeliantów?

- Niezupełnie, towarzyszu pułkowniku - odparł niezbyt pewnie łącznościowiec.

- Co to znaczy "niezupełnie"? Nie musieliście mnie budzić, jeśli...

- Jeden z posterunków nie zgłosił się z codziennym raportem. Nie mogę ich wywołać. Ten posterunek był ustawiony na szczycie gór we wschodniej części masywu. Załogi śmigłowców donoszą o wyraźnym, szerokim śladzie, najwyraźniej pozostawionym przez konie. Ślad prowadzi na wschód, przez śniegi przełęczy.

Zajsan sapnął chrapliwie.

- Pokażcie mi na mapie?

Oficer łącznościowy cofnął się do przedziału załogi i wrócił z mapą. Rozłożył ją i pokazał palcem.

- Tu - powiedział - jest przełęcz, którą obserwował posterunek. Tutaj, pół kilometra dalej, na prawo, jest przełęcz, przez którą prowadzi ślad.

Zajsan uważnie przyjrzał się mapie.

- Obie przełęcze prowadzą do tej samej doliny. Objechał palcem kontury długiej, wąskiej doliny. - Ta skręca na wschód i tu - puknął palcem w mapę na samym końcu, ma tylko jedno ujście. A jeśli rebelianci przejdą przez nie, dotrą do...

- Pakistanu, towarzyszu pułkowniku.

Niskie wnętrze wozu nie pozwoliło Zajsanowi wyprostować się. Pochylony, szybko podszedł do drzwi transportera.

Zawiadomcie przez radio śmigłowce. Chcę tu mieć natychmiast jedną trzecią helikopterów. Załogi transporterów przygotowują wozy do transportu powietrznego. Ta dolina. Ta wschodnia przełęcz. Jeśli zdążę ją zablokować; rebelianci będą w pułapce.

## Rozdział 9

Kiedy księżyc zaszedł, Mosaed poprowadził swych ludzi przez wąską, długą wschodnią dolinę, polegając na światłach gwiazd. Otaczające dolinę wysokie, strome zbocza były gęsto zalesione, ale samą dolinę pokrywała trawa, więc nawet teraz, w nocy, z braku osłony Mosaed się denerwował. Cały czas poganiał swoich ludzi.

Jak do tej pory posuwali się do przodu w świetnym tempie. Obozowisko opuścili wczesnym popołudniem i nie zatrzymując się nawet na modlitwę, stale szli w góry. Niech Allah wybaczy, prosił wtedy w duchu Mosaed. Modlimy się w sercach, ale nie możemy się zatrzymać i pomodlić na głos. Musimy uciec przed helikopterami. Musimy przetrwać i kontynuować świętą wojnę.

Allah zrozumiał i sprawił, że wzeszedł wspaniały księżyc, w którego świetle ludzie Mosaeda widzieli przeszkody i mogli utrzymać tempo marszu.

Dzieci jechały konno z ojcami, rannych trzymali na siodłach współbracia. Kobiety dotrzymywały kroku koniom, wykazując godną najwyższego szacunku wytrwałość.

Podróż, która w normalnych warunkach zabrałaby pełne dwa dni, licząc postoje na modlitwy, jedzenie i sen, została zakończona w ciągu jednego popołudnia i rozpaczliwie długiej nocy.

Dolina zaczęła się wznosić. Jadący na przedzie Mosaed dotarł do linii drzew, odnalazł wydeptaną przez zwierzyne ścieżkę i polecił współplemieńcom iść gęśigo tym szlakiem. Szli już pomiędzy drzewami, kiedy wznoszące się przed nimi szczyty ukazały się jako niewyraźne sylwety w pierwszych, najbledszych promieniach przedświt. Przemierzyli spory pas łąk, przeszli w bród przez kamienisty strumień i weszli do lasu. Zbocze stawało się coraz bardziej strome. Mimo że szczyty gór były już całkiem wyraźnie podświetlane przez niewidoczne jeszcze słońce, grupę Mosaeda wciąż spowijały głębokie ciemności. Kiedy wychynęli z lasu, otworzył się przed nimi ponury skalisty szlak. Droga ucieczki. Droga do Pakistanu.

Wiodąc swych wymęczonych ludzi w górę, Mosaed zeszywniał na dźwięk odległego, słabego bulgotu, który jednak już po chwili zaczął się zmieniać w wielokrotny, kłapiący łomot.

Śmigłowce! A więc znalazły nas!

Popędził ludzi. Szybciej, wyżej!

Ale ryk nie zbliżał się do nich. Zatrzymał się gdzieś koło strumienia i lasu, nie dochodząc nawet do początku szlaku. Mosaed odsunął się na bok i wyteżył wzrok, wpatrując się w ciemności leżącej za nim doliny. Szperacze błyskały tylko od czasu do czasu, na kilka sekund, i znów zapadały ciemności. Ale odbite od podłoża światło wystarczyło, by Mosaed dojrzał gigantyczne, uskrzydłone kształty helikopterów. I jeszcze coś -, pod brzuchem każdego śmigłowca kołysał się jakiś kanciasty, toporny cień.

Nie miał pojęcia, czym są owe cienie, ale ich przerażające kontury napełniły go złymi przecuciami. Ścisnął kolanami boki konia, zawrócił go i popędził w górę.

Na szczycie przecinki, pomiędzy przytłaczająco wysokimi, pionowymi ścianami urwisk, poczuł uniesienie na widok słonecznego półkola wyłaniającego się znad odległych gór. Słońce oświetlało swymi promieniami Pakistan. Z ulgą ruszył by wysunąć się na czoło pochodu i poprowadzić ludzi w dół.

Tam, gdzie bezpiecznie.

Tam, gdzie...

Zadumał się.

Nie opuszczała go myśl o helikopterach.

O przerażających kształtach opuszczanych przez nie na ziemię.

Pomyślał o Amerykaninie, tym mistrzu buzkaszi, który został z tyłu. Prawdziwy wojownik. Uparł się i został ze swym rannym przyjacielem, lojalny wobec swego rodaka mimo bliskości śmigłowców.

A ja w tym czasie wyprowadziłem swój lud do wolności.

Obaj mieliśmy obowiązki do spełnienia, i obaj zrobiliśmy tak, jak należało.

Ale...

Złe przecucie nasiliło się. Mosaed pojął wolę Allaha i przeznaczenie. Rozkazał kobietom przyśpieszyć. Poleciał dzieciom zsiąść z koni, na których podróżowały z ojcami.

Idźcie. Dołączcie do swych matek. Przejdźcie do Pakistanu.

Swoim świętym wojownikom zaś rozkazał zawrócić konie i jechać za sobą, z powrotem w dół szlaku, przygotowując dusze do bitwy. Miał nadzieję, że się myli, ale obawiał się, że zostanie dziś jednym z męczenników.

## Rozdział 10

W miarę wzrostu temperatury odrętwiałe ciało Johna rozluźniło się. Kiedy schodzili do doliny, jego napięte jak postronki ścięgnię i mięśnie miękły - przynajmniej na tyle, na ile było to jeszcze możliwe.

Przez linię śniegu. Przez skalisty stok. W dół, pomiędzy drzewa.

Nie pocił się już, był zbyt odwodniony. Ciężar spoczywającego na noszach Trautmana przygarbił mu plecy i wyciągnął ręce. Przed oczami miał mgłę, ale już nie z powodu wylanych wcześniej łez. Z wyczerpania. Niemniej ciepło było dobre. Dawało pewną ulgę w cierpieniu. I nadzieję.

Być może najgorsze rzeczywiście już minęło, pomyślał. Może jednak uciekną.

I znajdą pomoc dla Trautmana.

I dla Musy, który tak osłabł od utraty krwi, że omal nie spadł z konia i trzeba było go przywiązać do siodła.

I dla Michelle, nierównym krokiem prowadzącej wierzchowca za uzdę. Jej twarz miała kolor ołowiu, a złamana ręka napuchła do rozmiarów dwukrotnie większych niż zdrowa.

Poranne niebo było jasne i czyste. Gęsty las dawał schronienie. Od strony gór za nimi dolatywał ledwie słyszalny pomruk potężnych turbin Mi-24. Tuż przed świtem dosłyszeli ten łomot również z kierunku, w którym zmierzali. Śmigłowce z rykiem przyleciały do doliny i zaraz odleciały. Od tamtej pory huk ich silników był coraz cichszy. Teraz już tylko kilka maszyn wyło w powietrzu gdzieś w odległych rejonach gór. Ale drzewa, które ich zasłaniały przed widokiem z powietrza, nie pozwoliły również dojrzeć helikopterów. Niemniej ze sposobu, w jaki ich ryk docierał do doliny, Rambo wywnioskował, że ich poszukiwania dochodzą kresu. Najwyraźniej odlatywały do bazy po ostatnim locie nad doliną. Sprawdziły drogę do Pakistanu i odleciały.

Huk silników za plecami, w górach, cichł również. Ostatnia maszyna opuściła przestrzeń nad doliną przed nimi. Zapadła cisza. Słysząc tylko poszept wiatru, stukot kopyt i szum strumienia, Rambo polecił Michelle zatrzymać się przy strumieniu. Opuścił nosze. Cisza onieśmiałała

- Myślisz, że naprawdę odlecieli? - spytała Michelle. Rambo niepewnie pokręcił głową.

- Kiedyś musieli przestać. Ale spodziewałem się, że będą szukać dłużej. Może doszli do wniosku, że nas zgubili, że zdążyliśmy dojść do Pakistanu.

- Albo chcą, żebyśmy tak myśleli. - Michelle drgnęła z bólu i oparła się o drzewo. - Może to jakiś podstęp.

- » Jest jedna dobra strona tego wszystkiego... teraz, kiedy znowu przylecą, usłyszymy ich na długo przedtem, zanim się zbliżą.

Przyklął i przyłożył usta do strumienia. Pił długo. Woda była jak górskie powietrze - słodka i chłodna. Napełnił manierkę i podał ją Michelle, - Nie chce mi się pić - powiedziała.

- W nocy mnie też się tak wydawało. Powiedziałaś wtedy, żebym po prostu pił. Teraz ja ci mówię: Pij!

Mimo otępiającego bólu posłała mu uśmiech. - Lekarz słucha poleceń pacjenta.

- Pij!

Skrzywiła się, ale usłuchała.

Rambo zaniósł manierkę Trautmanowi, a potem Musie, zmuszając obu do picia.

Rana pułkownika zasklepiła się i już nie krwawiła, ale był blady jak upiór. Miał gorące czoło. Musa też miał temperaturę, ale przynajmniej był przytomny. Ledwie.

Oczy szczypały Johna z niewyspania. Rozpaczliwie potrzebował odpoczynku.

Ty leniwy skurwysynu!

Napił się jeszcze, dopełnił manierkę, wsunął do ust kawałek chleba i przeżuając, podniósł nosze.



## Rozdział 11

Rahim z daleka obserwował znikające śmigłowce. Odczekał pięć minut i dał znak swym ludziom, aby wyszli spomiędzy drzew, W nocy u północnych podnóży gór, uciekając Przed atakującymi od zachodu helikopterami, przedzierał się po ciemku i niemal zdecydował się już zejść ze swym szczepem do doliny, kiedy jakieś przeczucie kazało mu dokładniej sprawdzić szlak,

Allah dopomógł. Błyszczący księżyc, diament Boga, oświetlił czołgi i transportery opancerzone. Pułapka. Śmigłowce miały nas do niej napędzić.

Bez wątpienia po przeciwnej stronie gór, na południu, taka sama pułapka czekała na Khalida. Rahim modlił się o bezpieczeństwo Khalida, swoje i swoich ludzi. A ponieważ zachód, północ i południe niosły śmierć, pozostawał tylko jeden kierunek. Wschód. Pakistan.

Teraz, o poranku, poganiał swoich ludzi. Wyszli z lasu, przeszli skalisty stok i doszli do linii śniegu. Tam odnaleźli szeroki szlak wydeptany przez wiele koni. Rahim zrozumiał, że to ślady Mosaeda. Obawiając się powrotu śmigłowców, odwracał się co jakiś czas i spoglądał w niebo.

Ale pozostawało puste i czyste. Rahim minął odchodzący od głównego szlaku ślad. Zrobiło go dwa konie i troje pieszych. Nie rozumiał, kim byli ani dlaczego poszli przez zaśnieżoną stromą przełęcz. Rahim poprowadził swoją grupę łatwiejszą drogą, wydeptaną przez wcześniej idących tędy ludzi.

Wciąż ponaglając swój szczep do szybszego marszu, przeszedł ponad granią i zaczął schodzić w dół. Minął śniegi i skały, dotarł do gęstego lasu. Tutaj jego ludzie odpoczęli.

Ale coś się poruszyło wśród drzew.

Rahim podniósł broń, wybrał cel.. I zdjął palec ze spustu. Pojawił się Khalid. - Na południu zastałem pułapkę. - Na północy też była. Khalid pokiwał głową. - A więc jednak jedziemy razem.

## Rozdział 12

Doszli do podnóża zadrzewionego zbocza. Przed nimi otwierała się trawiasta, odkryta przestrzeń doliny.

- Nie możemy przejść przez nią, Michelle. Gdyby wróciły śmigłowce, złapałyby nas bez osłony.

- A więc?

- Idziemy między drzewami. Po prostu obejdziemy dolinę dookoła. - Daleko przed sobą Rambo ujrzał skalisty szlak wiodący w górę, do Pakistanu. ~ To tylko trochę dalej. - Przyjrzał się rannemu na noszach. - Pułkowniku, słyszysz mnie pan? Jesteśmy prawie na miejscu.

Trautman go zaskoczył. Miał zamknięte oczy i wyglądał na nieprzytomnego, ale słabo skinął głową.

Nadzieja dodała sił mięśniom Johna. Znowu ruszyli. Prowadzeni przez Michelle, szli między drzewami otaczającymi nieckę doliny. Rambo słabł ze znużenia. Trzy razy musieli się zatrzymać i odpocząć. Ale godzinę później stanęli przy ujściu doliny.

Michelle wprowadziła konia na wydeptaną przez zwierzynę ścieżkę pomiędzy drzewami. Wyszli na polanę. Dalej szumiał strumień, jeszcze wyżej gęstniał las. I skalisty szlak.

Udało się! - pomyślał Rambo.

Po drodze przez polanę zerknął z ciekawością na szlak powyżej. Przyśpieszył kroku.

Usłyszał nagły pomruk silników.

I zachwiał się.

Nie!

Drzewa ożyły. Szereg transporterów opancerzonych wyrwał się spoza kamuflażu z gałęzi i z rykiem runął w przód i stanął.

Nieeeee!

Rozpacz go sparaliżowała.

Sytuacja była beznadziejna. Nie było nawet sensu próbować ucieczki. Armaty rozniosą ich na strzępy. Mógł się tylko modlić o łaskę wrogów. Może pomogą Trautmanowi, może zawiozą go do szpitala.

Z bólem i frustracją postawił nosze na ziemi.

I padł na ziemię, powalony wybuchem pocisku.

## Rozdział 13

Ziemia zadrżała.

- Stop! - wrzasnął major Azow. Pułkownik Zajsan zignorował go.

- Jeszcze raz! Teraz z lewej! Ognia!

Armata ryknęła ponownie. Ziemia wybuchła obok grupki ludzi. Koń szarpnął się w tył. Stojąca na czele kobieta padła na plecy, uderzona kopytem. Jej prawa ręka wisiała na temblaku.

- Jeszcze raz! - polecił Zajsan. - Z tyłu.

- Nie! - zawył Azow.

Działo odezwało się po raz trzeci. Trawiasta polana za plecami Rambo uniosła się w górę.

Spłoszony koń poniósł. Przywiązany do jego siodła ranny mężczyzna kiwał się bezwładnie na wszystkie strony. Wleczone za zwierzęciem nosze podskakiwały.

- Przed koniem! - rozkazał Zajsan.

- Nieee! - wrzeszczał Azow. - Oni nam nie zagrażają!

Pocisk wybuchł przed koniem i zwałił go z nóg. Zwierzę padło na bok, gniotąc nogę rannego i przewracając nosze.

Z polany dobiegło więcej okrzyków i jęków bólu. Ignorując dochodzące zza pleców wściekle skowyty Azowa, Zajsan zakomenderował:

- Jeszcze raz! Amerykanin usiłuje wstać! Strzelajcie tak blisko, żeby upadł!

- Ty sukinsynu!

- Zapłacą mi za to, co zrobili! - syknął Zajsan. - Za podważanie mojej kariery! A potem ty dostaniesz nauczkę, Azow!

Łupnął strzał. Ziemia znów się zatrzęsła. Amerykanin przewrócił się ponownie.

- Kaemy! - rzucił pułkownik. - Ostrzelać ich z boków!

Ale zamiast basu cekaemów Zajsan usłyszał pojedynczy strzał z karabinu.

Blisko. Za sobą.

Odwrócił się na pięcie.

Major Azow właśnie osuwał się na ziemię, a z jego czoła płynęła strużka krwi. Trzymał jeszcze w ręce pistolet. Wyjął go i wycelował? W kogo?

We mnie? Zajsan zamrugał oczami i przeniósł spojrzenie na sierżanta Kurowa, którego AK-47 jeszcze lekko dymił.

- Sierzancie, dostaniecie za to medal!

- Nie chcę medalu! - odparł z obrzydzeniem sierżant. - Chcę awansu!

- Ale to jest niemożliwe! Nie macie podstaw do awansu na oficera! Z pewnością wiecie...

Karabin Kurowa przesunął się w stronę Zajsana.

- Zaraz! - krzyknął pułkownik, kiedy palec sierżanta zbiegał na spuście. - Jasne! Jeśli chcecie awansować, to...

Jeden z transporterów eksplodował.

## Rozdział 14

Rambo znowu upadł. Ale tym razem wybuch nastąpił nie na polanie. Nie spowodował go pocisk armatni. Ekspłodowała rakietą, wystrzelona pomiędzy drzew za transporterami. Wybuch oderwał wieżyczkę pojazdu i rozerwał załogę wozu, Druga rakietą wyleciała z za drzew.

Drugi transporter wyleciał w powietrze.

W lesie grzechotały strzały, widać było błyski z luf.

Poderwawszy się na nogi, Rambo dostrzegł radzieckiego dowódcę, wykrzykującego rozkazy do swoich ludzi. Narastająca kanonada pomiędzy drzew spowodowała, że musiał on jeszcze bardziej podnieść głos. Wieżyczki transporterów drgnęły i zaczęły przesuwać działa w stronę lasu.

Ale zanim zdążyły...

Trzeci transporter eksplodował. Serie z broni maszynowej siekły żołnierzy.

Jedna z armat cofnęła się w odrzucie. Drzewa zmieniły się we fruwające szczątki.

## Rozdział 15

Walcząc z odrzutem broni, Mosaed krzyczał do swych ludzi, żeby nie przerywali strzelania. Opróżnił magazynek, wsadził nowy i znów nacisnął spust.

Jego przeczucie sprawdziło się. Miał rację. I wrócił do “Kraju poza kontrolą”.

Choć właściwie nie tyle dokonał wyboru, co usłuchał nakazu. Przymus, jaki odczuwał, był wszechogarniający. Przecież śmigłowce nie przenosiłyby tak daleko czegoś, co coraz bardziej mu wyglądało na transportery opancerzone, gdyby Rosjanie nie planowali pułapki. Na kogo zastawianej, nie wiedział. Może na pozostałych wodzów. Może na Amerykanina. Nieważne.

Lojalność go zniewoliła.

Przeznaczenie.

Wola Allaha.

Czekał ze swymi wojownikami przez cały poranek, niewidoczny wśród drzew. Wreszcie zobaczył z daleka, jak Amerykanin wychodzi ze swymi poranionymi towarzyszami na polanę.

Spod kamuflaży wyprysnęły sowieckie transportery opancerzone. Zagrzmiały armaty. Amerykanin upadł. A Mosaed polecił swym ludziom podczołgać się tak blisko Rosjan, jak to możliwe. Chciał wykorzystać przewagę, jaką dawało mu odwrócenie uwagi wroga.

Jeden z jego wojowników odpalił RPG-7, łup z ostatniej bitwy. Transporter opancerzony eksplodował.

Tak!

Mosaed krzyczał w duchu.

Przeznaczenie!

Wciąż strzelał ze swego karabinu.

Właściwe miejsce!

Idealny czas!

## Rozdział 16

Rambo nie miał pojęcia, kto zaatakował. Wiedział tylko, że pierś uniosła mu się nadzieją. Wciąż jeszcze mamy szansę! W lawinie na przełęczy zgubił swój karabin, ale miał jeszcze łuk. Złożył go błyskawicznie i wystrzelił granat. Grupa żołnierzy zniknęła w wybuchu. Wystrzelił drugi raz, trzeci. Żołnierze ginęli od płomieni i odłamków. Strzelał, dopóki nie zabrakło mu granatów.

Podbiegł wtedy do Trautmana, żeby uwolnić go z noszy. Niejasno zdał sobie sprawę, że koń jest martwy, że Musa ma przygniecioną nogę, a Michelle leży nie opodal, nieprzytomna. Chciał im pomóc, ale musiał ratować Trautmana.

Uniósł nosze i drgnął, słysząc nowe strzały.

Ale nie spomiędzy drzew przed nim.

Ich klekot dobiegał z tyłu. Odwróciwszy się w tamtą stronę, Rambo zobaczył wściekłą szarżę konnych, świętych wojowników, wykrzykujących imię Allaha. Patrząc na ich atak, powtórzył ten okrzyk.

Żołnierze odwracali się w stronę niespodziewanego drugiego ataku. Zdołali postrzelić kilku atakujących.

Jeden z trafionych Afgańczyków padł u stóp Ramba. Jego karabin uderzył Johna w kolano.

Rambo złapał broń bez namysłu, przytrzymał konia, wskoczył na siodło i pogalopował. Mimo zmęczenia, pewną ręką trzymał karabin, strzelając regularnymi, krótkimi seriami w stronę radzieckiej kolumny. Puste łuski wylatywały z jego Kałasznikowa.

Po lewej miał Khalida, po prawej Rahima. Nie wiedział, jaka moc ich tu sprowadziła, ale oddał jej w myślach cześć i strzelał dalej.

Koniec naboju! Odrzucił karabin, ale galopował naprzód. Pod wpływem impulsu dobył noża. Wyciągnął go, jakby szarżował z mieczem w: dłoni, i wrzeszczał wraz z innymi wojownikami.

Transportery opancerzone rosły w oczach. Większość z nich płonęła. Ledwie kilku żołnierzy odważnie próbowało się bronić.

Dowódca wroga, który rozkazał ostrzeliwać zmaltretowaną grupę Johna z armat, był teraz ze strachu i uciekał.

Rambo wbił pięty w boki konia, zmuszając go do biegu ponad siły...

Przeskoczył strumień...

Galopował do lewego, skrajnego transportera...

Poderwał wierzchowca do skoku...

Jakby zawisł w powietrzu...

Spojrzał w dół...

Zobaczył pod sobą uciekającego w panice wrogiego dowódcę...

Cisnął nóż...

Ciężkie ostrze wbiło się w tył czaszki Rosjanina aż po rękojeść.

Koń spadł na ziemię, stracił równowagę, potknął się, upadł i zrzucił Johna.

Rambo odbił się jak piłka.

Przetoczył.

I z zapierającym dech łupnięciem zatrzymał się na pniu drzewa.

Pierś paliła. Brakowało powietrza. Ból. Wszystkie mięśnie odmówiły posłuszeństwa.

Ale hałas bitewny już opadł. Walka się skończyła.

John był otoczony dymem i płomieniami. Zmusił się do wysiłku i usiadł. Wokół niego leżeli święci wojownicy. Osiągnęli obiecany przez Allaha raj. :

Potężny, łysy jak kolano Rosjanin wyrósł nad Rambo jak wieża. Sierżant. Trzymał w ręku karabin i z marsem na czole przyglądał się wystającemu z czaszki pułkownika nożowi. Przeniósł wzrok na Johna, wycelował w niego broń i nagle rzucił karabin na ziemię.

- Nie rozumiem - powiedział Rambo.

Sierżant był wyraźnie zaskoczony, że Rambo mówi po rosyjsku.

- Dlaczego mnie nie zabiłeś? - dopytywał się Amerykanin.

Sierżant wskazał trupa dowódcy.

- Ten skurwysyn uciekł z pola walki. Zawsze wiedziałem, że stchórzy. Właśnie miałem go zabić, ale byłeś szybszy.

- Ale ja jestem twoim wrogiem. Dlaczego nie zabiłeś mnie?

- Życie to cierpienie.

Zaskoczony znajomymi słowami, Rambo wpatrywał się w Rosjanina. Przypomniał mu się klasztor w Bangkoku i przepelniła go siła Pierwszej Prawdy Buddy.

- Wiem.

- Ja uczyniłem z cierpienia swój zawód. Ci ludzie uczynili z niego swe życie. Są twardsi ode mnie, Powiedz im, że będę walczyć dla nich.



## Rozdział 17

Rambo dopadł noszy, z wysiłkiem przewrócił je i odetchnął, kiedy Trautman jęknął.

- Dzięki Bogu, żyje pan! Zabiorę pana do szpitala, pułkowniku!!

Trautman słabo kiwnął głową.

Afgańczycy podnieśli konia i wywlekli spod niego Musę, który wył z bólu. Koń przygniótł jego zranioną nogę. Rambo modlił się, żeby nie była strzaskana. Z ulgą zobaczył, że Musa zdołał nią poruszyć., Michelle odzyskała przytomność. Dwóch mudżahedinów pomogło jej wstać. Ból promieniujący ze złamanej ręki sprawiał, że chwiała się na nogach, ale podtrzymywana przez Afgańczyków, była w stanie iść.

Mosaed podszedł i powiedział coś szybko.

Rambo odwrócił się do Michelle.

- Wiem» że jesteś ranna. Naprawdę, wołałbym cię już nie męczyć. Ale czy mogłabyś mi powiedzieć,..

- On mówi - przerwała mu - że jego ludzie będą opowiadać o tych kilku ostatnich dniach, o tej bitwie i o tobie przez tysiąc lat.

Rambo poczuł, że coś go ściska w gardle.

- Powiedz mu, że nigdy nie zapomnę jego, jego ludzi i ich odwagi. Zrobię wszystko, żeby zorganizować im pomoc.

Mosaed skinął głową i złożył Johnowi największy komplement - uścisnął mu dłoń. Ale kiedy znów przemówił, miał zatroskany głos.

- Martwi się o śmigłowce - powiedziała chrapliwie Michelle, której bladość sięgała alarmującego odcienia. Kiedy będą próbowali wywołać tę kolumnę przez radio i nie dostaną odpowiedzi, powrócą.

- Ale wtedy będziemy już w Pakistanie! - zawołał z triumfem w głosie Rambo. Ukłąkł obok Trautmana. Słyszysz pan? Pakistan! Wezmę pana do szpitala! I wyzdrowieje pan! - Nie chciał jednak kusić losu, więc dodał ciszej: - Jeśli Bóg zechce.

Podniósł wzrok na szlak do Pakistanu i przypomniał sobie słowa rosyjskiego sierżanta.

“Życie to cierpienie. Ja uczyniłem z cierpienia swój zawód.”

Tak. Teraz już było wszystko jasne. Wreszcie zrobiłem to, czego chciał Trautman.

Zaakceptowałem swoje przeznaczenie.

Ta myśl go zdumiała.

Przeznaczenie? , A co to właściwie jest?

Odpowiedź pojawiła się natychmiast. Bóg wyznaczył go na wojownika. I dopóki niewinni ludzie cierpią, jego życie ma sens.

Ma ochraniać. Cierpieć, żeby inni nie cierpieli.

Uśmiechnął się patrząc w stronę szlaku do Pakistanu, do przyszłości i, jeśli Bóg zechce, ocalenia.

Koniec